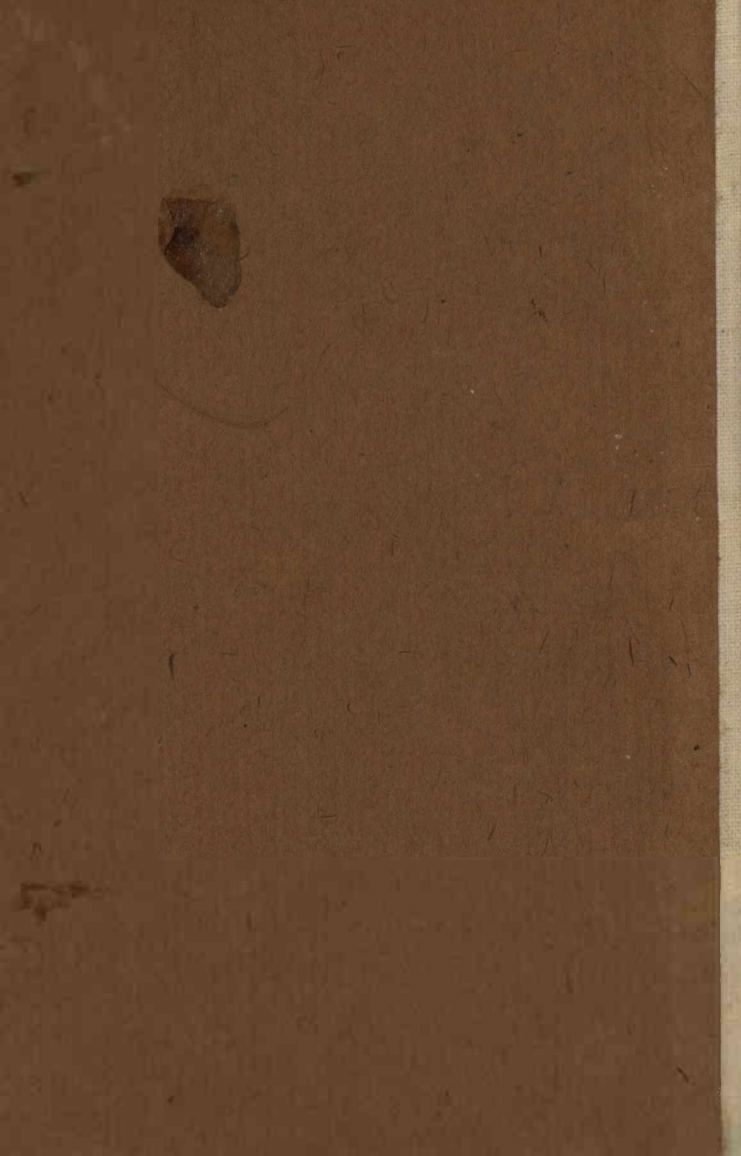


Tow. Przyjaćół Nauk w Przemyślu.

3885 D

A



Żygar.

L1722/1

SABATH ŻYCIA

Lib

TEGOŻ AUTORA:

ZA CENĘ KRWI. Tragedya z czasów słowiańskich.

NA TLE POŻOGI. Dramat z r. 1846.

PRZERWANE PIEŚNI. Poezye i cykle.

GRZESZNICA. Powieść na tle Wielkiej Wojny.

W przygotowaniu:

W DUCHOCIE MĘKI. Szkice wojenne.

ŚWIT I PRÓCHNO. Nowele.

HETERA. Powieść buduarowa.

PRAWA AUTORSKIE PRAWNIE ZASTRZEŻONE.

PAWEŁ STAŚKO

==

L1722

SABATH ŻYCIA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA
W DWÓCH TOMACH

Wyd. Przyjaciół nauk w Przemysku

3885/1

D

TOM I

1722

VII-3-12



SKŁADY GŁÓWNE W KSIĘGARNIACH
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
POZNAŃ — M. NIEMIERKIEWICZ

A-1924-9/1

3147353



1000173258

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

literat. 13a

K.1160/56/1505

NAKŁADEM AUTORA
KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1917

I.

Wiosna śmiała się posiewem kwiatów. Zieloną runią oblała obszary pól i łąk, drzewa wydziergała liśćmi rzęsiście i w słońca jasnocie pyszniła się niby urodą królewnianą, która każdego omamia i do stóp swoich kloni w miłosnem poddaństwie.

Śmiała się ulewą krasy i lubieżnością młodego, wonnego ciała.

Łagodne, owalne wzniesienia gór podała naprzód przed siebie, jak gdyby pełne grona piersi w namiętym przegibie — tych piersi, które wydyma wartka wręcotą krwi — i wabią swoją pełnością zachłanną i odurzającą — więcej, niż usta wilgotne nektarem upragnionego kochania — obiecując sen przerozkoszny, nieodrzucony i konieczny, ulewny pragnieniem i szalejący powodzie szczęśliwości.

Wabiła ku sobie każdą postać dziewczęcego ciała, każdym drgnieniem i ust oddechem ciepłym.

Leżała rozkoszą ciała tętniącego niby bulgoty górskich strumieni, legła jakby w pólśnie namię-

tnych zmysłów, a przecież taka hoża w onem uśpieniu czaru i pragnąca, iż zdało się, że porwie się lada chwila w szale nieugaszonych chęci i tarzać się pocznie nieupamiętanie, pozrywa szaty z siebie i swoją nagość da na łup słońca, w jego jasności się zatopi, a potem przywrze do siebie w nieobronnym uścisku to słońce — i sko-
na w jego pieszczocie.

Dyszała niespokojną piersią przewalając się na wsze strony w oczekiwaniu przyścia kochanka...

A słońce, jakby się lubowało jej królewnianą krasą, wzbiło się na najwyższy strop nieba i poglądało chciwie na te ponęty pieściwe i pałające.

Kładło się na nich snopami grotów promiennych, obejmowało swoim pożarem i wpijało się jak w usta kochliwie rozchylone aż do zatury upożeń ciężkich, bezwładnych.

W takim szczęśliwie pogodnym wdzięku i topieli słońca kąpał się ogród olszowieckiego dworu.

Stare, rozłożyste drzewa, ulścione świeżemi szaty, tworzyły górą jakby baldachim ze splotu tysięcznych liści i gałązek.

Pomiędzy tą swojską, drzewną gawiedzią rosły porozrzucane amerykańskie sosny i włoskie limby w miłym nieładzie.

Wyżwirowane aleje przebiegały po cieniu ziemi, jak rozmotane wstęgi.

Mędzy lasem tych drzew, a owocowym sa-

dem, pysznił się ogromny klomb kwiatów, po-
naznaczany symetrycznie południowemi palmami
po bokach i narożach, z olbrzymim kaktusem
w pośrodku.

W różne odcienia, elipsy i koła posiane kwiaty
na amfiteatralnem wzniesieniu klombu rozkwi-
tły świeżo pieściwą oko pstrokacizną kolorów.

Jakby uroczę lice rozkwitającego dziewczęcia
zdała się śmiać, wdzięczyć ta pościel różnorakiego
kwiatowia, wabiąc ku woniom, co jak odurza-
jące etery rozmgliły się w powietrzu milionami
atomowych wibrów i pyłków pachniejących.

Cały klomb zasiany słońca jasnością zdawał
się ulatniać w aureolną tęczę, wiszącą misternie
i drgającą nad ziemią symfonią rozpyłą.

Jakąś przedziwną moc wlewał ten urok w czło-
wieczą duszę, nastrajał ją marzycielsko i wzbu-
dzał pragnienia tysięczne, a bezustanne.

Chciała czegoś ogromnie rozśniona dusza, bez-
miaru szczęścia, które nie dawało się uchwycić
w jedną całkowitą chęć — cały ten objaw psy-
chiczny był jednym wielkiem, rozemgłonem ma-
rzeniem i nieodgadnioną tęsknotą.

Takby się serce dało wziąć w dłonie i pieścić,
tak pragnęło jakiegoś zadowolenia, szczęścia i roz-
koszy, tak się chyliło w bezmiarze nieuchwytnego
chcienia i swej konieczności...

Jak niezmorzona siła narkotyku upajał on
urok i kazał kochać bezwzględnie te kwiaty, li-

stki strojne w misterne desenie, ździebelka traw, blasku powódź przejasną, tą woń i ciepło balsamne, cienie i gąszcze zielone — i wszystko...

Milować zmuszał i zatonać w umiłowaniu onem w ostatnie głębie i topiele — i wzmagał w duszy tęsknotę jeszcze większą, nie pojąć za czem, czy za królewną nieznaną, urodziwą aż do złudzeń i oślepienia, czy za miłością rozkoszy życia i zatratnych upojeń, odurzeń aż do męki przedziwnie błogiej i słodkiej — rodził i wzmagał wylew tęsknoty wielkiej, koniecznej.

Wśród tego rozszalałego wdzięczenia czaru zbliżał się wolno odwieczerz. Świat skupiał się w sobie, zmieniając refleksy barw i oświetleń.

Od strony okazałego dworu, przebijającego białemi ściany przez gąszcze drzew ogrodu, ukazała się niespodzianie w alei Kwietu Dolańska, córka olszowieckiego dziedzica, jedynaczka. Szła w cieniu drzew, raczej płynęła wolno, jak biała złuda, albo bogini leśnych ruczajów, tak wyglądała wiotko w powiewnej bieli szat, jakie zachwycająco drapowały się na niej. Ukazywały porywające kształty, jak gdyby z zgęszczonej mgły rzeźbiła je dłoń samego Piękna, tak były subtelnie łagodne i wdzięczne. Cała jej postać zdała się mówić rozgłośnie:

— Patrzcie, otom jest piękno pierwotne, nieskalane... Tęcza Wiosny zrodziła mię i ukraśniała sobą... Z szafirów dała oczy, kolory lic z róż raj-

skich i jedwabistą ulewę włosów Arachny —
patrzcie, jak lśnią jasnym hebanem...

Słońce kuło mi ciało z alabastru w tajnem
zamiłowaniu...

Oto na imię mi: Piękno i Rozkosz...

Patrzcie na usta jak nektarami dyszą i rubi-
nem i obietnicą szczęścia...

Pochylcie czoła ludzie i kwiaty, bo oto idę
ja — bóstwo...

Zdawało się, że sieje temi słowami zbliżająca
się postać i że urokiem swym zmusza do pokło-
nu — nawet tą wiosnę.

Zatrzymała się przy klombie i złączyła się
z nim długim, głębokim wejrzeniem.

Porwał ją czar i przykuł do siebie.

Pierwszy raz od lat kilku nie widziała wiosny
na wsi. Zagraniczny pensjonat, w którym spędziła z wakacyjnymi przerwami prawie lat pięć,
mimo, że miał wspaniałe park i ogród pysznych
kwiatów, nie uczynił na niej nigdy tego wrażenia,
jak ten wioskowy klomb.

Tam bywała wiosna tylko w ogrodzie, bo za
murem był już świat inny, a tu ona wszędzie,
na całe okola i bezmiary rozległa się przemożnie,
jak nieprzejrzone oceany.

— Kwiaty, kochane kwiaty... — pochyliła się
nad kwietną kępą i zanurzyła w nią twarz, jak
w wodę. Pachnące czuby objęła pięściwem oto-

czeniu rąk i poczęła je tulić, całować i mówić do nich:

— Kochane kwiaty... takie tu same... nikt nie popieści, nie ugłaska cacanych liczek, nie ucałuje tak... tak... — zasypywała je prędkimi pocałunkami różanych ust i czuła radość ogromną z tej pieśszoty i tulenia się do nich.

Wyprostowała się za chwilę i odetchnęła głęboko, jakby zmęczona, nie odrywając od nich spojrzenia.

Szczęśliwość wielka przebijała się w jej uroczej i jako ranek świeżej twarzy i ciemno-szafirowych oczętach, nakrytych gęsto-ciemnymi pół-elipsami brwi.

Stała zapatrzona bez ruchu z falującą niespokojnie pierśią i wzdymającą się prędko, jakby w jakimś bojaźliwym zamyśle.

— Och, wiosna! — wybiegło jej mimowoli z ust, jakby radość wewnętrzna wyrzuciła to miłe westchnienie w hołdzie wiosennej krasie. Do gron piersi, które czaiły się pod wiotką bluzką dziewczycymi wykwity, przytuliła mocno dłonie, ścisnąc je prawie boleśnie, a dech wstrzymany równocześnie oblał ją momentalnie niby ekstazą szczęśliwego zachwytu. Wilgotne usta rozchyliła nieco, a aksamitny mat żrenic zegnały niespokojne błyski, jakby pragnące jakiegoś szалу, czy tańca nieupamiętanego wśród onych kwiatów i wonnych ziół.

— Wiosna!... — powtórzyła nagłym opadem piersi i całym zasobem tchu. Zerwała główkę czerwonego goździka, przycisnęła go do ust silnie, aż do rozdarcia korony, popatrzyła na splaszczone płatki i, zeskubawszy je delikatnymi paluszkami na szczątki, rzuciła nimi, jak confetti.

Uczyniła to bezwiednie prawie, pełna dziwnego i nieokreślonego uczucia w piersiach i całym ciele.

Drobne jej nóżki ubrane w białe, atlasowe buciki i także pończoszki poczęły posuwać się w głąb alei niespokojnie, rozgrymaszonem i charakterystycznie leniwem stąpaniem.

Idąc rozglądała się wokoło, to podnosiła wzrok do góry, przystawała co chwilę i zrywała listki bzu, którego gąszcze tu rosły. Kwitnął właśnie całą kaskadą kwiecica.

Wszystko ciąгло ją ku sobie wabiąco, pobudzając w myślach coraz większe rozmarzenie.

Pierwszy raz pragnęła czegoś bardzo, z czego nie umiała zdać sobie sprawy należytej.

Ośmnastoletnie serduszko ciążyło jej w piersiach błogim niepokojem i jakąś dziwną zmianą. Nie wiedziała skąd to pochodzi i czemu tak trapić poczyną, chociaż nie boleśnie.

W takiej milej rozterce wyszła z ogrodu na drogę, wiodącą w pola. Droga ta prowadziła od stodoł dworskich aż za las i dalej, dzieląc pańskie grunta od chłopskich.

Kwieta spojrzała przed siebie. Jak okiem dobiegła daleko, ciągly się pola z zielonością zbóż, naznaczone gdzieniegdzie szarym, podłużnym czworobokiem ziemi. Świeża zieleń powiewała zewsząd chłodną lubością.

Kwieta nie dbając, że trawa soczysta powala jej białe trzewiczki, poczęła iść walkiem drogi w głąb pól. Czuła niezmożoną radość, patrząc na rozlane morze zieleni, otaczające ją wkoło i ludzi przycupniętych kolorowemi szaty tu i ówdzie, jakby egzotyczne kwiaty. Porwała ją wzbudzona wesołość i lekkość przedziwna. Zdawało się jej, że mogłaby unieść się w powietrze i bujać po przestworzu czystem, niezachmurzonym, jak wielki, niebieski ptak.

Och, jakby miłem było takie fruwanie, jak strasznie miłem...

Podniosła duże oczy ku niebu z blaskiem nieprzepartej chęci w źrenicach.

— O-o, tak bujać i tarzać się po powietrzu, jakby w kryształnej wodzie... Ach, czemu to niemożliwe?... — zapytała sama siebie i z miłą rezygnacją opuściła oczy.

— A jednak i tu jest pięknie na ziemi wśród zbóż, kwiatów i słońca, o... — musnęła spojrzeniem cały okrąg.

Posuwała się znów dalej, głaszcząc dłonią, wysypujące się już nieco kłosy żyta. Poczęła pól-

głosem nucić jakąś melancholijną piosenkę, nie podnosząc ócz z powodzi żytnianego gąszczu.

Miała piękny srebrzysty głosik. Subtelny, jak dźwięki skrzydełek nad wodą bujającej świtezianki i miły w tonie niezmiernie.

Szła, nucąc coraz głośniej.

Właśnie skończył się łąn żyta. Kwietka stąpnęła jeszcze krok i urwała nagle. Niespodziewany przestрах wstrzymał ją w jednej chwili i oblał nieznaczną bladością.

Tuż za żytem na trawie leżał mężczyzna, trzymając w ręku otwartą książkę.

— Jezus! — krzyknęła Kwietka i zawróciła prędko, jakby spłoszona łąnia.

Mężczyzna zerwał się z ziemi i wybiegł na wałek. Poznał ją już po głosie, gdy się zbliżała i nie ruszał się, ciekawy jej nagłemu lękowi.

— Panno Kwieto, pocóż uciekać? — zawołał za oddalającą się. — Tak się pani przestraszyła... panno Kwieto?

Kwietka przystanęła w biegu i obejrzała się poza siebie. Poznała go w jednej chwili.

Zygmunt Ossocki, śmiejąc się, zbliżył się do niej.

— Przepraszam, przepraszam, że byłem powodem lęku pani, ale nie wiedziałem przecież, że pani tutaj przyjdzie. Nie przypuszczałem nawet, że pani wogóle jest w Olszowcu... Przepraszam

bardzo... — wyciągnął dłoń na powitanie i uściśnął ją z niskim ukłonem.

— Wie pan, tak się przestraszyłam, że jej... tak mi serce bije...

— Biedne serduszko, tak się wylękło... ale uspokoi się, panno Kwieto, uspokoi zaraz. Czym tak straszliwie przestraszająco tam wyglądał?

— Nie, lecz tak niespodziewanie spostrzegłam nieznanomego mężczyznę, a nie wiedziałem, że to pan... Nie grzeczny pan, że tak ludzi wystrasza... — dodała śmiejąc się i dawny róż powrócił jej znowu do twarzy.

Zygmunt wpatrzył się w Kwietę, jak w słońce. Dwa lata będzie już w lipcu, jak jej nie widział. Ostatnich wakacyi nie było jej w Olszowcu — spędziła ferye z rodzicami za granicą. Znał ją inną, nierozwiniętą, szesnastoletnią panienkę, nawet na wiek swój za szczupłą.

Przypomniały mu się teraz minione lata, kiedy to jako student bywał na letnich majówkach z oną Kwietą i całem dworskiem towarzystwem.

Piękna była już wówczas, jak pięknym jest zwinięty pączek róży. Dzisiaj rozkwitła już prawie — i patrząc na nią, zdawało mu się, że go oślepi swoją anielską urodą i oszałamiającym wdziękiem.

Była porywająco piękna. Biel okrycia, który oblekał jej postać, dodawał jej całej takiego uro-

ku, od którego nie odrywa się ócz, ale się patrzy bez drgnienia powiek, zachłannie.

Włosy oblane wieczorowem słońcem zdały się lśnić jakimś nieziemskim blaskiem. Jak z obrazka wychylała się jej twarzyczka z gładkiej kądzieli jedwabnych pukli. A te różane usta, oczy i te brwi czarne... zdały się hypnotyzować i przykuwać do siebie w śmiertelnej rozkoszy patrzenia.

Zygmunt był zupełnie olśniony. Czuł, że mu poczyna brakować pewności siebie — bo teraz nie była ona tamtą, niewinnie naiwną Kwieteczką, ale jakąś gwiazdną boginią, która zmusza każdego do hołdu i pokornego uchylenia głowy.

Brakło mu słów w jednej chwili kiedy się wpatrywał w nią, nie wiedział po co ją wstrzymał, a jednak było mu przecież niezmiernie miło, że może przy tej bogini stanąć w pobliżu i nawet rączkę uścisnąć i mówić do niej.

— Pani dłuższy czas nie była w Olszowcu? — zapytał, nie spuszczając z niej wzroku.

— Przed tygodniem dopiero powróciliśmy z Włoch. Szczęśliwam, że już nareszcie w domu. Nie ma pan pojęcia, jak nie lubię podróżować. Wprawdzie piękna jest zagranica — och, Neapol... Wenecya... ale po stokroć wolę tu na wsi, u nas... Naprawdę, jaka u nas w Polsce wiosna jest piękna... Boże! Nie taka jaskrawa i wulkanicznie porywająca, jak przypuścmy we Wło-

szech, ale taka cicha pięknem i melancholijną urodą... Mówi się: vide Neapoli, epoi mori... — ale jabym powiedziała: zobacz naszą wiosnę, uko-
chaj ją i tu żyj!

— Cudnie to pani powiedziała, panno Kwieto.

Zygmunt zdziwił się wielką zmianą, jaka stała się w pannie Kwiecie, w tej nieśmiałej i prawie milczącej panience przed dwu laty. Dziś mówiła dużo z poetyckim polotem i uczuciem piękna.

— Prawda, — dorzucił Zygmunt — że przecież piękna jest nasza ziemia, choć uciekamy od niej zagranicę.

— Nie uwierzy pan, że stokroć wolę nasze stawy wieczór, lub przy nocnem świetle księżyca, niżli tak wychwalane weneckie laguny — och, stokroć wolę... Wie pan — poczęła mówić dalej, zmieniając nieco ton głosu — zaraz na wstępie rozgadaliśmy się o pięknie przyrody różnych krajów, a tam gotów sobie jaki ptaszek zrobić gniazdko z pańskiego kapelusza, albo uczyć się abecadła z pańskiej książki.

— Omyliła się panna Kwieta, bo to nie elementarz...

— Czyta pan jaką powieść? — zwróciła się doń prędko.

— Pierwszą księgę Dżungli, Kiplinga.

— Nie znam tego, lecz czytałam recenzje — ma to być wspaniała rzecz, prawda?

— Światowej sławy dzieło. Jeśliby sobie pani życzyła — owszem, mogę pani pożyczyć.

— Dziękuję; jak pan skończy.

— Skończyłem właśnie przed chwilą i położyłem się dla wytchnienia, ażeby jeszcze raz objąć myślą to wspaniałe dzieło, kiedy usłyszałem śpiew pani... potem cisza, lękliwy krzyk, aż wreszcie zobaczyłem ucieczkę... — zaśmiał się szczerze.

— Panie, niech mi pan nie wspomina... — grymasiła przemiłym układem ust — jeszcze się trzęsę cała...

— Proszę wybaczyć, nie wspomnę już, panno Kwieto. A teraz pójdziem po Kiplinga, dobrze? Pani chyba do domu jeszcze nie wraca? — zapytał nieco niższym głosem, w którym była jakby prośba wielka, by nie odchodziła jeszcze.

— Owszem, mogę zabawić jaką godzinkę jeszcze. Tu tak pięknie...

— Czy pani w domu tak skonweniowana czasi?

— Nie, ale dzisiaj prawdopodobnie będziemy mieć gości koło siódmej wieczorem.

— Ach tak. Zapewne Ruczewskich z Wołkowic?

— Właśnie.

— Czy pan Henryk Ruczewski jest teraz na wsi?

— Wracając z Włoch spotkaliśmy się z nim we Wiedniu i powrócił razem z nami. Narzekał,

że mu się Niemki znudziły już i Wiedeń zbrzydł, jak żadne miasto. Tacy ci mężczyźni nieukontetowani... — dodała, uśmiechając się figlarnie. — Was tylko bawi nowość i ustawiczna nowość...

Powiedziała to bez właściwego zrozumienia — ot, jak to nieraz czytała w książkach.

— Kiedy to pani tak zaobserwowała? — zapytał Zygmunt, ubierając słomkowy kapelusz i podnosząc książkę.

— Ot, choćby przed tygodniem u pana Ruczewskiego. Dopiero miesiąc jak zamieszkał w Wiedniu i już mu się znudził do obrzydzenia.

— Taka to już natura ludzka... — uśmiechnął się Zygmunt pod gęstym, nie dużym wąsem. — Zresztą miasto nie ma na wiosnę prawie żadnego uroku; coś nieprzeparcie ciągnie każdego na wieś. Co innego w zimie...

— Ma pan poniekąd słuszość; zresztą co nas to może obchodzić co się komu podoba, lub nie, co kogo bawi, lub nudzi... Na długo pożycz mi pan to dzieło? — zwróciła się do Zygmunta, zmieniając w jednej chwili temat rozmowy.

— Na jak długo zechce tylko urocza czytelniczka.

— Jak zauważam, pan lubi prawić komplementa?

— Czy prawdę można uważać za komplement? — spoglądała na nią całą uwagą wzroku, że Kwietka mimowoli spuściła oczy ku ziemi.

Tak miłą rozmowę przerwał im dworski lokaj, poszukujący panny Kwiety.

Właśnie wcześniej, niż się spodziewano, przybyli państwo Ruczewscy, zatem wypadało Kwiecie być w domu.

Zygmunt odprowadził ją do ogrodowej bramy i pożegnał.

Chciała go zabrać z sobą, lecz odmówił, tłumacząc się nieodpowiedniem ubraniem. I rzeczywiście to tylko było powodem. Jednakowoż przyrzekł wizytę na dzień jutrzejszy.

We dworze bywał dosyć często, jeszcze jako student. Lubiano go za wesołość i dowcip. Dziś zmienił się tylko tyle, że zmęźniał i spowaźniał, ale dobrego humoru nie zabrakło mu nigdy.

Zygmunt szlachcicem był, nawet znakomitego rodu, chociaż jego ojciec piastował w Olszowcu urząd organisty.

Podobno dziadek Zygmunta posiadał wielki majątek na Litwie, który rząd za jakieś winy polityczne temuż skonfiskował. W lat kilka po tym wypadku umarł Ossocki, a w miesiąc po tej śmierci i jego żona. Jedyne dziecko nie skończyło nauk i tułał się jakiś czas u krewnych, aż w końcu wyjechał do Ameryki. Podobno powodem wyjazdu miała być niefortunna miłość. Jednakże nie posłużyło mu szczęście na drugiej półkuli i za lat kilka powrócił do »starego kraju« z niewielkim kapitałem. Tu ożenił się z chłopką i objął nie

długo wakującą posadę organisty. Znał muzykę i grę na klawikordzie jeszcze z rodzicielskiego domu. Nie szukał lepszego zajęcia — zrezygnowany był na wszystko. Pomimo mnóstwa krewnych nie dano mu wykształcenia i niezaopiekowano się nim należycie. Rozgrymaszony chłopiec sam sobie rady nie dał. Tak syn bogatej i zasłużonej rodziny został wioskowym organistą. Spełniał ten urząd w Olszowcu od początku, prawie lat trzydzieści. Powodziło mu się dobrze, jedynego syna wykształcił i dwie jeszcze córki uczyły się w mieście. Ale zaduma jakaś widniała zawsze na jego wysokiem czole. Nikomu jednakże nie zwierzył jej przyczyny.

Zygmunt zauważył przy pożegnaniu, że Kwietą niechętnie wracała do domu. Spostrzegł to na jej twarzyczce, która oblała się pewnym smutkiem i niezadowoleniem. Ale pierzchnęło to momentalnie, bo zaśmiała się serdecznie z jakiegoś powiedzenia Zygmunta i podając mu rączkę — odeszła.

Zygmunt zawrócił w stronę pól. Obejrzał się kilkakrotnie za odchodzącą, jakby jeszcze chciał upoić oczy jej do ułudy piękną postacią.

Gdy znikła za krzakami bzu, opuścił oczy ku ziemi. Nagły huragan myśli owładnął nim przemocnie.

W oczach stała mu Kwietą, a w uszach szumiał bez przerwy jej słodko-metaliczny głosik.

— Psiakrew! — zaklął niewiedząc czemu —
co za urodziwe stworzenie...

Przebiegł go dreszcz, jak prąd, chciał się otrzą-
snąć z tego nagłego wrażenia, lecz nie mógł.

Z obrazem Kwiety w oczach i rojem myśli
o niej szedł w jasne pola.

II.

Zaraz za owocowym ogrodem był wielki staw, należący do dworu. Brzegi jego obrosło gęste sitowie i las wysokiej trzciny, wynurzającej się z wody tysięczną wiechą lancetowatych liści.

Było to siedlisko żab i cowieczne estrady ich chórów.

Na wałku, opasującym wodę ogromnym pierścieniem, rosły topole i białe brzozy, przeglądające się w wodzie, jak w lustrzanej tafli.

Mnóstwo drzew wszelakiego gatunku poprzyczepiało się do brzegów, niby mur z zielonych gałęzi i liści.

Powłoka żabiego skrzeku spała na pościeli wody około brzegów, jak odcień ciemnego szmaragdu.

Przedziwnie pięknym i spokojnym był ten zakątek małego jeziora, ujęty w ramy zieleni i różnorodnych krzewów, posianych wokół bezładnie.

Słońce już zaszło przed godziną. Leciuchny mrok rozsiał się misternie nad całą okolicą nieprzejrzaną kaskadą ciemnego tiulu.

Uroczystą ciszę majowego wieczoru głuszyło tylko nagle, chóralne grechanie żab.

I nastawał znów spokój, jak w przerwie jakiejś przyrodniej symfonii, aby za niedługo uderzyć w dalsze akordy, rozdzwięczyć się, to uciścić.

Z pomiędzy obeliskowych słupów topól wychylił głowę księżyc, niby ciekawy intruz, lub ironiczny obserwator. Błady blask padł szeroką smugą na staw i rozlał się momentalnie po cichej wodzie i całym otoczeniu.

Świątynne piękno, zdawało się, że wypelzło z podziemi, rozlało się na wszystkie strony melancholijno-poważnem rozlewem i przywarło do ziemi nieodpędzenie, z królewską godnością czarownego panowania.

Cienie padły od drzew na matowe lustro wody.

Czarodziejskim był on mrok i owe cienie fantastycznie wydłużone.

Lęk brał, aby nie podnieść głosu i ciszy tej niezamącić i by nie skalać falami słów.

Lecz jakby na urągowisko tego spokoju, ukazało się na brzegu stawu kilka ludzkich, śmiejących się postaci.

Było to nieliczne towarzystwo od Dolańskich, prócz pani domu Anny, której dziś szczególnie dokuczała migrena.

Przy brzegu stały dwie łódki, docierające koń-

czynami do ziemi, jakby niekształtnemi szyjami, wpraszącemi się do przejażdżki.

Pan Maciej Dolański, jako sternik, siadł w tyle łodzi, zaś państwo Ruczewscy na środkowem siedzeniu, zostawiając pierwsze pannie Mery, dwunastoletniej swej córce.

Henryk, syn Ruczewskich, siadł z panną Kwietą do drugiej łódki, mogącej pomieścić najwyżej cztery osób.

Tych dwoje młodych zostawiono sobie, dając im sposobność do poufalszej rozmowy, albowiem był podobno plan obojga rodziców skojarzyć tą parę małżeństwem i dwa sąsiadujące majątki połączyć razem; jednakże głośniej nie mówiono o tem jeszcze.

Henryk nie myślał o podobnym zamiarze na seryo i nawet śmiał się z tego, znając Kwietę z przed dwu laty, jako takie — ot, najzwyczajszą dziewczę, przebywając bowiem zagranicą, niby dla ukończenia studyów, miał sposobność i możność ku temu, aby rozkoszy życia zaczerpnąć całą pierśią i całym tchem niem się odurzyć.

W jakichkolwiek zamiarach nie myślał o Kwiecie nigdy. Ale po dłuższem niewidzeniu, gdy spotkał ją teraz niespodziewanie w Wiedniu, nie mógł jej poprostu poznać, tak był zdumiony jej nagłą zmianą i porywającą urodą. To go skłoniło do powrotu na wieś i już w czasie podróży zakochał się w Kwiecie po uszy.

Wśród wesołej rozmowy łódki odbiły od brzegu.

Henryk kilku silnymi ruchami wiosł wymi-
nął towarzystwo, kierując łódź na środek stawu.

— Cudowny wieczór... — wyszeptał w unie-
sieniu, opuszczając wiosła na wodę.

Kwietą, siedzącą koło niego, powtórzyła to
samo.

W istocie wieczór był cudny.

Henryk spoglądał na Kwietę. W bladawem
świetle księżycy wydała mu się jakby nieziemską
istotą, która stąpiła na ziemię, aby tylko siać roz-
kosz i szczęście.

Nie spuszczał z niej oka, jakby ją chciał wchło-
nać, lub zamagnetyzować i wypić wówczas krew
z jej warg, zkąsać rumieniec twarzy w szale pod-
nieceń, i do ciepłego alabastru jej rączki przy-
wrzeć ustami, choćby na chwilę.

Henryk nie tyle był przystojny, ile pięknie
ułożony w ruchach. To dodawało jego postaci tej
mocy, że mógł się podobać nawet wybrednym ko-
bietom. Liczył rok dwudziesty szósty. Nauk nie
skończył, bo nieprzeparta chęć wojażowania i za-
baw nie pozwoliła mu na to.

Umiał czarować stalowym głosem i skończe-
nie pięknym układem ust w uśmiechu. To było
u niego szczególnie charakterystyczne.

Był zapalonym balamutem i ufał w pe-
wność siebie. Miał na tem polu liczne dowody
swego zwycięstwa. W miłość prawdziwą nigdy nie

wierzył, lecz teraz zadał kłam swemu dotychczasowemu mniemaniu.

Pokochał Kwietę.

Spostrzegł w sobie, że nie jest przelotnem uczuciem ta miłość, że to nie szal chwilowy, lecz coś trwalszego, nawet »coś«, czego-by nie był w stanie już się wyprzeć, ani tej mocy odegnąć od siebie na chwilę choćby.

Im więcej wpatrywał się w nią, wyrabiał sobie coraz silniejsze przekonanie, że bez tej boskiej Kwiety nie mógłby żyć — o, nie!

Odczuł teraz niezmierną wdzięczność do rodziców, że z nią pragnęli go połączyć.

Przeszkód nie widział żadnych, chyba tylko tą niepewność, czy Kwietta zechce. Zresztą wierzył w siebie. Bo dla czegożby nie? Zauważył, że chętnie z nim rozmawia, a nawet szuka jego wzroku.

— Jak bosko wokół... jaki czar... jak gdyby w bajce lub śnie — nieprawdaż, panno Kwieto? O proszę... — zwrócił się do niej, pokazując dłonią na otoczenie. — Jak ten blask oblał wodę i kąpie się w niej rozkosznie, jakby to było jego jedynem szczęściem i pragnieniem...

— Rzeczywiście, że wymarzony wieczór — odpowiedziała, zapatrzona w rozlaną toń stawu i gwiaździste niebo, przeglądające się w wodzie, jak gdyby na jej dnie rozsiano tysiące świętojańskich robaczków i cudnych światełek.

— Takby serce chciało coś kochać, siebie widzieć kochanem w taki wieczór, w taką świetlistą noc... naprawdę, słodkie marzenia...

— Marzyciel z pana. Tęskni pan za swą bogdaną, nieprawdaż? Można wiedzieć, gdzie pan zostawił serce: w Paryżu, Warszawie, a może w Wiedniu?

— Panno Kwieto, czy pani uwierzy, że takie słowa mię ranią?

— Co? — zapytała ciekawie, zwracając głowę ku niemu.

— ...że takie słowa mię ranią...

— Niby dlaczego? nierozumiem. Jeślim faktycznie dotknęła jakiej struny, która coś panu przypomina, jakie bolesne przejście, czy zawód — to przepraszam. Nie miałam najmniejszego zamiaru, ani powodu zadrasnąć panu serca... niech pan wybacz...

Henryk nie spuszczał oczu z mówiącej.

— Pani mię nie zrozumiała i nie pojęła mych słów, panno Kwieto?

— Naprawdę, teraz to już nic nie rozumiem, o co panu chodzi.

Po twarzy Henryka przebiegła jakaś myśl i głębsze postanowienie. Nie znosił takich scen i ich przeciągania, trzymał się zasady, że jak coś czynić, to prosto z myśli.

— Bo ja, panno Kwieto, ja nie kochałem nikogo, a jeśli kocham, to tylko... — chwycił ją

nagle za rękę i przywarł ustami do niej — to tylko panią... tylko panią! — powtórzył gorączkowo kilka razy i spojrzał na nią oszalałym z oczekiwania wzrokiem.

Kwietą w pierwszej chwili zbladła.

Nie spodziewała się takiego zwrotu rozmowy i podobnego zajścia. Porwało ją oburzenie. Silnym ruchem oswobodziła swą dłoń.

— Panie! niech się pan nie zapomina... To jest bezczelne!... Co sobie o mnie pan myśli, że ja Wiedenka, której się można przy pierwszej wizycie oświadczać?

Słowa te wydały się jej samej dziwne; pamiętała je z jakiejś powieści. Nie postąpiłaby może tak gniewnie, ale Ruczewskiego nie lubiła bardzo. Podobne zaś sceny ciekawiły ją wielce. Ale żeby to nie był Henryk... Zła była, że przy tej pierwszej sposobności był właśnie on.

Henryk nie spodziewał się podobnej odpowiedzi. Krew nagłym bulgotem uderzyła mu do głowy. Widział, że się przenaglił.

Opanowała go wściekłość na siebie, że wolałby się raczej spalić.

Jakoś udało mu się Kwietę uspokoić i przeprosić. Brakło mu teraz do niej odwagi, by prosić, choćby o nadzieję.

— Proszę, niech pan w tej chwili dobije łódką do brzegu. — Głos jej drżał, jak usta dziecka po długim płaczu.

Zdawało się jej, że jest bohaterką jakiegoś romansu.

— Proszę, zostańmy jeszcze tu; towarzystwu wpadnie w oczy tak nagły powrót... panno Kwieto, ja panią proszę...

Kwiera zgodziła się w końcu.

Prawie w milczeniu poczęli opływać staw. Przy przeciwległym brzegu spostrzegli drugą łódź i popłynęli za nią wolno, leniwie.

— Pani mię bardzo obraziła — przerwał milczenie — stosując do mnie aluzję o Wiedeniach... To musi być obrażające...

Trzeźwość wstąpiła w niego zupełna i nie dał jeszcze za przegraną.

Spojrzał na nią, przygryzając wargi.

— Pan mię do tego zmusił przez swoje postępienie.

Czyż aż do tego stopnia było złe? — zapytał z napół dzikim blaskiem ócz.

— Powiedziałam panu, że było bezczelne.

— Ha, ha... — zaśmiał się niesamowitym głosem. — Więc pani nie byłoby wolno ani kochać?

— Co znaczy to »ani«?

— Znaczy, że wyjawienie tej miłości byłoby już zbrodnią i bezczelnością, jak to pani nazwała...

— Kochać?... dlaczego nie wolnoby było komuś mię kochać? Tego nikt nie jest w stanie zabronić.

— A przecież pani zabrania — mówił przez zgryźliwie ułożone usta.

— Nieprawda! nie zabraniam kochać, ale i nie pozwalam na podobne wynurzenia i niby konieczne przy tem całowanie rąk.

— Więc można panią kochać tylko w tajemnicy? Naprawdę, że to ciekawe...

— Jak się komuś podoba. Ale myślę, że również ciekawym jest objaw, jeśli można, widząc kogoś dwa razy powiedzieć, że się już kocha tą osobę...

— Ja panią znam od dziecka, panno Kwieto.

— Kiedy jakoś nigdy nie okazywał pan najmniejszego zajęcia się mną, chyba, że czasem z... kurtuazyi.

— Pani się myliła.

— Mniejsza o to. Zresztą można sobie zwierzać uczucia, jeżeli się dane osoby należycie znają i rozumią, a ja, przyznam się, że pana nie znam bliżej, ani jego duszy, jednym słowem: nie znam.

— Mogę się starać o to, ażeby mię pani bliżej poznała, jeśli tak mało zna, a raczej zupełnie nie?

— Jak pan chce. To zostawiam panu. Tylko zastrzegam się, by nie z tej strony, co przed chwilą.

— Ach, więc tylko dla urozmaicenia, dla poznania typu psychologicznego?

Kwieto nie odpowiedziała nic.

Henryk czuł, że krew uderza mu znowu do głowy.

— A gdybym pani powiedział, że na marne to studyum, bo...

— Bo co? — przerwała nagle.

— Bo pani pomimo wszystko będzie moja! To jest ma wola, rodziców pani i mych.

— Co? — zapytała złośliwym tonem.

— Że pani będzie moją... moją żoną...

— No, to zabawne! Chciał pan powiedzieć: niewolnicą, nie żoną...

— Powiedziałem i tak być musi!

Zacisnął zęby i nie spuszczał z niej oka.

— Taki pan pewny? — zaśmiała się ironicznie.

— Tak! bo panią kocham i, bym miał świat potargać, to się to stanie!

— A ja panu powiem, że nie!... po stokroć nie!

— Rodzice panią zmuszą! Zresztą pani sama się zgodzi, gdy mię pozna.

— Nikt mię nie zmusi, nikt! Słowa pańskie są zbójeckie! Teraz pana już znam, och, już poznałam pana dobrze... Nigdy, żebym miała życiem przyplacić, nigdy!... — rumieniec oblał ją ogniem. Czowała, że trzęsie się z oburzenia.

— Niech pan dobije do brzegu natychmiast!

— Służę... — i począł wiosłować ku drewnianemu pomostowi.

— Niech się pani nie dąsa... trzeba czekać i starać się pokochać...

— Pana? chyba znienawidzić!

— Dowolny wybór, a jeden cel...

— To niskie!... — wyrwało się jej szeptem z ust i odwróciła od niego twarz.

— Dziękuję za pierwsze spostrzeżenie studium...

— Menażeryjne spostrzeżenie...

— Niech się pani liczy...

Nie odpowiedziała nic, tylko w kątach ocz ukazały się jej krople łez. Była oburzona do najwyższego stopnia. A jednak i cieszyła ją ponieważ ta rola, jaką właśnie odgrywała. Miłość знаła tylko z powieści, jako coś nieuchwytnego, ciekawego i miłego zarazem.

Henryk, milcząc, poglądał na nią co chwilę. Czuł, że znienawidziła go prawie do wzgardy, lecz nie uważał nic jeszcze za utracone. Zły był tylko na siebie i swoją zapaleńczą nagłość, jak również i ufność w siebie. Wściekły był, że wypił za dużo wina przy podwieczorku, bo to przyczyniło się przeważnie do jego nagłych zwierzeń. Nie mógł się opanować, patrząc w nią, jak w złudne zjawisko, a do tego to wino... czar wieczoru i blask miesiąca... Tak go to wszystko nastroiło, a zresztą pragnął ulgi dla kochającego serca — i zwierzył się... Nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. Że go zlekceważyła niespodziewanie, to jesz-

cze nic rozpaczego i końcowego. Poniekąd miała rację. Przedtem nie interesował się nią wcale. Później nie widzieli się kilka lat, a teraz przy drugim spotkaniu zwierza jej już miłość... Miała słuszość — potakiwał sobie w duszy. Zresztą tego wieku kobiety, nie kochające jeszcze nigdy, z wszczepioną przez matki niewiarą w mężczyzn, zawsze są takie. Bojaźliwe, nieufające. Chcą, by ich miłość zdobywano z trudem i długo. To samo musiało powodować i Kwietą. Nic nie szkodzi. Wydąsa się, przestanie i pokocha, gdy pozna lepiej.

Tak sobie kombinował i wierzył w to najzupełniej.

Dojechano do brzegu.

W milczeniu poczekano na resztę towarzysstwa.

Zdziwiono się ich krótką przejażdżką i zauważono jakieś nieporozumienie między młodymi.

W powrotnym spacerze do dworu pan Maciej, ojciec Kwiety, pozostał z córką nieco za towarzysstwem. Kwietą była wielce zdenerwowana.

— Cóż znów wpłynęło na zmianę twego humoru? — zapytał.

W głosie jego była pewna troskliwość, jak również i niezadowolenie.

— Bo pan Henryk jest bezczelny! — odpowiedziała drżącym jeszcze głosem, zwalniając kroku.

— No, cóż takiego uczynił?

Kwieta stanęła.

— Chodź, chodź, dziecko, nie możemy za towarzystwem zostawać. Mówże, co uczynił?

— Powiedziałam, że jest bezczelny! Mężczyzna dobrze wychowany nie odważy się porywać kobiecie rąk i całować je...

Ojciec starał się ją udobruchać, lecz Kwieta okazała się stanowcza. Pomimo pewne plany, przecież zachowanie córki spodobało mu się wielce.

— Nie okazuj tego, proszę cię, bądź wesolą i nie daj powodu, by goście odjechali niezadowoleni. To byłoby wstydem dla naszego domu. Do Henryka mów i udaj, żeś już zapomniała. Chodź prędzej... patrz, gdzie już odeszli!

Kwieta, nie chcąc robić przykrości ojcu, przyrzekła »udawać« ile potrafi.

Razem z wszystkimi weszli na obszerny ganek dworu.

Tu był już przygotowany stół z herbatą i ciastkami. Niedługo miano podać kolację.

Ruczewskim nie spieszo było do odjazdu.

Noc była ciepła, jasna. W poświacie onej to-
nął wspaniały dwór w stylu rokoko, z domieszką
polskiej architektury, okazującej się w dużym, na
czterech filarach opartym ganku, oraz piętrze,
wystrzelonem z pośrodku dwóch rozłożonych
skrzydeł, w kształcie czworościennej wieży. Front
obydwóch skrzydeł, z wyjątkiem trzech pokoi go-
ściennych, zajmowali dziedzice, oficyny zaś odda-

ne były oficjalistom i pokojowej służbie; piętro, zamieszkiwane zwykle przez guwernantki, służyło obecnie za mieszkanie rządcy, bo tych Dołańscy, od czasu oddania córki na pensję, nie trzymali.

Na tyle dworu ciągnęło się wielkie, czworoboczne podwórze, obramowane licznymi zabudowaniami. Po stronie prawej stały w pewnej odległości czworaki, dalej stajnie dla stadniny bydła i trzody chlewnej, lewą zaś zajmowały olbrzymie gumna i sterty słomy; czworobok zamykały trzy wielkie spichrze, barak na lokomobilę parową i inne narzędzia gospodarskie, kuźnie i warsztat kołodziejski.

Cały ten olbrzymi czworokąt otaczał wysoki głogowy płot, stykający się koło czworaków z bukowym rodem warzywnym, dalej sadem i parkiem, który wydostawał się przed front potężnym lasem wysokopiennych drzew. Tędy główną aleją, prowadził dojazd do dworu.

Księżyc, spinając się coraz wyżej na niebo, siał ciche strumienie blasków na czuby drzew i całe otoczenie.

Biały sen nocy uspił ziemię narkotykiem dyamentowej rosy.

Kwietka zapomniała na chwilę o oburzeniu. W tą cichość nieskalaną ulatywała teraz jej myśl ukradkiem, wyczuwając, że tam gdzieś w tej urodzie wiosennej stwarza się dla niej takie ogromne

a cichutkie szczęście... że przyjdzie po nią jakiś czar, ogromna miłość ją porwie, a nie wiedziała do czego lub kogo, że niesłyszana pieśnią rozkołysze, upoi niekosztowanym nektarem, odurzy szczęśliwością — i czuła w sobie, że ten powiew przesłodki, a tak nie do pojęcia upragniony — już do niej płynie... płynie...

III.

Była godzina piąta popołudniu, gdy Zygmunt Ossocki szedł do dworu z wizytą.

Wczorajsze spotkanie z Kwietą stało mu w myśli ustawicznie. Zły był sam na siebie, iż tak mu się to mózgu czepiło, a nie mógł znaleźć właściwego powodu tego roztargnienia i opętańczych myśli.

Piękna jest i podoba mu się szalenie — to wszystko, na co mógł znaleźć odpowiedź.

Wiedział, że Kwietą nie dla niego, bo naturalna rzecz, gdzieżby agronom, syn wioskowego organisty śmiał marzyć o córce właściciela prawie magnackich dóbr, bogacza, szukającego koligacyi i majątku? Zresztą wiedział także i o planie Dołańskich względem Ruczewskiego.

Wprawdzie Zygmunt nie miał żadnych myśli dotyczących Kwiety, nic go zupełnie nie obchodziła — nawet czyby ją kochać mógł, nie byłby w stanie odpowiedzieć na to, czuł jeno, że wdarła mu się w mózg silniej, niż którakolwiek z kobiet, jakie znał w życiu.

Było to jeno większe wrażenie, jakie wywarła na nim ta dorastająca lania — nic więcej.

O miłości do Kwiety nie myślał wcale. Wiedział naprzód jakie przeszkody stanęłyby w poprzek jego chęciom i pragnieniom — i wierzył, że byłoby nie inaczej. A na to był za dumny. Nie zniósłby wzgardy, jakaby spotkała go z pewnością. Cokolwiek on obmyślił i postanowił — to musiało być święte, a w tym wypadku uczucie jego zostałoby wyśmiane i wystawione na drwiny. Tego upokorzenia onby przeżyć nie potrafił.

Miłość rozumiał, jako coś świętego i stanowczego. Mimo najrealniejszy pogląd na świat, w tym względzie był idealistą aż do przesady.

Konwenansów żadnych nie uznawał i potępiał je bezwzględnie. Jak silnem było to przekonanie, tak wielką była i jego osobista duma. Chociażby Kwietę pokochał — nie zwierzyłby jej nigdy swego uczucia, mając nawet dane, że odrzuconym nie byłby. Zakrawałoby to więcej na chęć zdobycia majątku tą drogą, niżli prawdziwą miłość. Osobista godność była w jego pojęciu spotęgowana do absurdu — i tylko w tym wypadku odnajdywał pewne różnice pomiędzy ludźmi.

O przyszłej żonie nie myślał dotychczas nigdy na seryo i nie zastanawiał się nad tem bliżej i poważniej. Przeważnie bywał zajęty pracą i stu-

dyami. Jeśli nieraz wybiegał poza obręb codziennych myśli, to tylko śnił o przyszłości, aby kiedyś posiadać własny szmat ziemi, na niej się zagospodarzyć — i zrość się z nią. Ziemię kochał ogromnie, a zdobycie jej było jego jedynem marzeniem i ustawicznym snem. Była ona dlań droższa, niż wszystko, czego mógł jeszcze zapragnąć. Dla niej poświęcił się w zawodzie i ofiarował swe zdolności. Doszedł na tem polu do rzadkiej wiedzy i właściwego zapoznania jej potrzeb i wymagań.

Zygmunt, dochodząc do dworu, spotkał na ganku dziedzica, pana Macieja, który powitał go uprzejmie, jak zawsze. Ujął go pod ramię i wprowadził do obszernego salonu.

Właśnie Kwietka siedziała przy fortepianie, przeglądając zeszyt nut. Usłyszawszy rozmowę wchodzących panów, obejrzała się ku wejściu.

— Mam gościa, Kwieteczko, poznajesz?

Kwietka powstała z miejsca.

— Ach, pan Zygmunt...

Zygmunt skłonił się nisko, ściskając podaną dłoń.

— Przecież pan nie zapomniał o starych znajomych — zwrócił się do Zygmunta pan Maciej. — Zmieniliśmy się wszyscy — nieprawdaż? Ja już do reszty wyłysiał, Kwietka podrosła, a i panu wąsik się sypnął... Dwa lata, jak my się nie widzieli, kawał czasu...

— Tak, dwa lata, myślę, a może nawet dłużej.

— Na panu zmiany nie widać, panie dzie-
dzicu, trzymamy się rycersko, jak dawniej... ale
co się tyczy panny Kwiety, tobym nawet nie po-
znał... — tu Zygmunt zwrócił się do Kwiety z mi-
łym uśmiechem.

— Prawda? Wyrosła, spoważniała, widocznie
francuski klimat sprzyjał niespodziewanie jej
zdrowiu.

— Przepraszam, tato, ja byłam zawsze po-
ważna — przerwała Kwietą, uśmiechając się do
ojca z udaniem miłego obrażenia.

— Tak, tak... byłaś poważną, ale teraz, wi-
dzisz, to jest inna powaga... więcej subtelniejsza,
bardziej z nią do twarzyczki... — żartował pan
Maciej.

Tak przekomarzając się wesoło, zabrano miej-
sca przy stole. Zygmunt trzymał jedną i drugą
stronę, przeplatając zdania pochlebnymi żar-
tami.

— Szkoda, że mamusia tu nieobecna — ubo-
lewała Kwietą — ona tak lubi słuchać pana...

— Czy wyjechała gdzie pani dobrodziejka?

— Nie, jest w domu, ale od kilku dni pozo-
staje w łóżku. Migrena jej dokucza, ale to już
przechodzi.

— Mamusia mówiła, — wtrąciła Kwietą — że

jutro już wstanie. Czuje się prawie zupełnie zdrową..

Wtem przerwało rozmowę nagle rżenie konia i w tej prawie chwili zobaczono przez okno jeźdźca.

Był to pan Henryk.

— Mamy znów gościa: pan Ruczewski przyjechał. Panowie się znacie? — zwrócił się pan Maciej do Zygmunta.

— Owszem, poznałem go u państwa.

— Ach, prawda; przecież razem urządzaliśmy majówki. Jak to człowiek zapomniał... Przepraszam bardzo, ale w tej chwili wróć, tylko stajennego zawołam, by konia odebrał. Ten zawsze gdzieś się kręci poza obowiązkiem... — dodał, wychodząc.

Po twarzy Kwiety przebiegło wielkie niezadowolenie. Zygmunt to dostrzegł, chciał coś zapytać, ale się wstrzymał.

— Bardzo jestem panu wdzięczna, że pan przyszedł... Pan nas będzie codziennie odwiedzał, prawda?

Zygmunt zauważył, że ton jej głosu zmienił się nieco.

— Jeśli to jest życzeniem państwa, skorzystam z tego z prawdziwą chęcią.

— Nie powinnam może, ale przyznam się panu, panie Zugmuncie, iż Ruczewskiego nie cierpię. Nie znoszę podobnych ludzi...

Zygmunt słuchał w milczeniu.

— Dziwię się, że on przyjechał dziś. — ciągnęła dalej, przebierając drobnymi paluszkami po stole, co było u niej oznaką zdenerwowania.

— Słyszałem, że pan Ruczewski stara się o panią, czy to prawda?

— Ach, panie, nie mówmy teraz o tem... — przerwała nagle. — Ja to panu opowiem przy sposobności — dobrze? Naturalnie pan o tem zamilczy. Boże... dlaczego ja taka zdenerwowana? dorzuciła i powstała od stołu.

W tejże chwili wszedł do pokoju Ruczewski, a za nim pan Maciej.

Henryk skłonił się Kwiecie dość oziębło, na co ona odpowiedziała również tem samem. Podali sobie ręce więcej niż kiedykolwiek ceremonialniej, co pana Macieja dotknęło niemile.

— Mam wrażenie, — zagadnął do nich — że się zjechały dwie ambasady, tyle w waszem przywitaniu poważnej ceremonii... — uśmiechnął się z przymusem, ażeby łatwiej pokryć niezadowolenie.

Henryka ucieszyło poniekąd to powiedzenie, domyślając się w niem aluzyi do Kwiety.

Ona jednakże zaśmiała się szczerze, zapytując o charakter zjazdu tych ambasad...

— Ruczewski — przedstawił się Henryk, podając rękę Zygmuntowi.

Ten ostatni wymienił również swoje nazwisko.

— Jakto, panowie się nie znacie? Pan nie poznaje pana Zygmunta Ossockiego? — zapytała Kwietą, stojąc przy nich.

— Ach, prawda... Nie poznałem w pierwszej chwili... Zmienił się pan bardzo od ostatniego naszego widzenia.

— Trzy lata nie taka różnica... ale zawsze człowiek się zmienia. Do tego nie każda osoba o każdej osobie myśli... — mówił powoli Zygmunt i usiadł przy stole.

— Chociażby... — dziwiła się Kwietą — ale do tego stopnia, żeby nie poznać, to nie pojmuję... — widząc jednakże, że słowa jej wywarły na Henryku wielce niemiły skutek, dodała prędko: — Wprawdzie pan Zygmunt dużo się zmienił... stał się jeszcze piękniejszy, naprawdę, do zakochania...

Zygmunt zaśmiał się głośno.

Nieuzasadnione pochlebstwo, panno Kwieto... Ale przyznam się, że mnie to wzbija w dumę...

— Ja wiem. Teraz żałuję, że to powiedziała... Gdy się mężczyznom pochlebia, stają się zarozumiali.

— Nie zawsze; chociażby nawet pochlebstwo było słuszne — zaprzeczył Zygmunt.

Rozmowa zawiązała się żywa, mając charakter niewinnej kłótni.

Pan Maciej rzucał dorywkowe zdania, przytakując tej, to owej stronie. Głaskał przy tem świe-

cącą łysinę, to średnie szpakowate wąsy, które jego na półowalnej twarzy dawały wyraz powagi, a nawet pewnej surowości. Pomimo jednak, bił z niej jakiś dobrotliwy blask, który, jak się zdawało, pociągał nawet większą sympatyą.

Najmniejszego podobieństwa nie było między nim a Kwietą, chyba tylko piękny wykrój ust dostał się córce w udziale, co mogło zdradzać pokrewieństwo.

Wysoki był i szczupły i mimo sześćdziesięciu czterech lat, trzymał się dziarsko, jak młodzian. Głowę tylko miał już kompletnie łysą. Tą łysinę lubiał pan Maciej gładzić co chwilę, jakby z dawnego przyzwyczajenia, gdy jeszcze był właścicielem fryzury podstrzyżonej w »jeża«.

Kwietą rozmawiała wesoło, jak rzadko kiedy. Przeważnie zwracała się do Zygmunta, co Ruczewskiego doprowadzało do wściekłości. Nie dawał jednak poznać tego po sobie i udawał, że mu to zupełnie obojętne.

Pan Maciej, jak mógł utrzymywał równowagę, spoglądając co chwilę na córkę dwuznacznem wejściem.

Kwietą, jakby nierozumiejąc tego, nie przedstawiała dokuczać Henrykowi, co widocznie sprawiało jej wielkie zadowolenie.

Ruczewski nie dawał się zbijać z tropu, odpowiadając Kwiecie śmiało, a czasem jakby lekceważąc jej powiedzenie, skandował słowa właści-

wym sobie tonem. Wiedział, że to odnosi zawsze pewien skutek, rozbrajając trochę przeciwnika. W żaden jednakże sposób nie mógł tego zauważyć u Kwiety. Był pewny, że się maskuje i udaje najobojętniejszą, a nawet niezadowoloną z jego obecności, chociaż nie okazała mu tego bynajmniej, trzymając się wszelkich towarzyskich form jak najprzykładniej. Czuł to i wiedział, że zachowanie jej nie jest szczere, jak tylko rozmyślnie odgrywane. Myślał, że uplanowała to dlatego, iż czem więcej okaże mu obojętności, tem będzie dla niego ponętniejszą i droższą. Że tem chce go zniewolić do szaleństwa i niewolniczej uniżoności.

Bywały chwile, że patrząc na nią obojętną, byłby się zgodził na wszystko, co rozkazałaby ona, byle uzyskać choć trochę względów, lub najmniejszą odrobinę wzajemności. W głowie zawracało mu się na myśl, ile szczęścia chowa w sobie ta przerozkoszna postać, ile słodczy może dać jej nie wymuszona chęć, własna pieśczoła, tulenie się do niej, splot białych ramion, uścisk gasnący w słodkiej błogości — a te usta wilgotne, szyja i te piersi... piersi...

W oczach mu się ćmiło, gdy to imaginował i zaprzysiągł sobie w duszy, że choćby za cenę wszystkiego, ona jego być musi i będzie!

Nie zdradzał jednak swych myśli i jak mógł

silił się na obojętność, chociaż sprawiało mu to przykrość niemałą.

Na Ossockiego był wściekły za jego swobodny ton rozmowy, jak również niezwykłą przychylność, jaką okazywała mu Kwietka.

Ossocki wiedział, że Henryk zlekceważył go w pierwszej chwili, udając, że go nie poznaje »jego pańskość z Wołkowic« — i teraz coraz częściej począł się zwracać do niego uszczypliwymi słowy, na co Zygmunt odpowiadał z spoutęgowaną energią ciętych zdań i pewności siebie.

Pan Maciej nie spodziewał się bynajmniej podobnych starć, choć nieostrych — lecz nie mogąc znaleźć odpowiedniej i pośredniej roli — milczał przeważnie. Jednakże pewność i ciętość Zygmunta spodobała mu się ogromnie. Nie spuszczał z niego oka, wchłaniając w uszy każde jego słowo i zdanie.

— Słyszałem, — odezwał się w toku rozmowy Henryk — że pan już absolwował agronomię — nieprawdaż?

— Tak. Złożyłem już ostatnie egzamina. Jak wnioskuję, przecież pan zupełnie o mnie nie zapomniał...

Ruczewski, obracając na palcu wielki herbowy sygnet, odrzekł niedbale:

— Słyszałem to bezwiednie. Mówiono mi również, że pan na razie bez posady?

— Nie staram się o nią li-tylko dla wypoczynku.

— Ach, tak... Zaproponowałbym panu korzystną posadę u mnie w Wołkowicach — podniósł na Zygmunta oczy, kładąc szczególny nacisk na słowo »u mnie«.

— W Wołkowicach? To znaczy u pańskich rodziców?...

— To wszystko jedno. Na początek byłoby to dla pana doskonałą rzeczą.

— Dziwię się dlaczego państwo potrzebujecie administratora teraz, gdyście się do tego czasu mogli obejść bez tego...

— No, to już nie do pana należy. Rozchodzi się tylko o to, czyby pan podjął się tego zadania?

— Z wszelką pewnością nie! — odparł Zygmunt, domyślając się w tem niedorównanej pańskości, jaką mu przez to Henryk chciał okazać.

— Czy stoją panu jakie rzeczy na przeszkodzie?

— Owszem, nawet wielkie.

— Czy można wiedzieć jakie?

— Ot choćby te, że majątek za mały i w nim byłoby za ciasno memu działaniu... — odpowiedział z dosadną śmiałością, wlepiając w Ruczewskiego oczy.

W pierwszej chwili zaperzyło to Henryka, oblewając mu twarz lekką bladością. Wściekłość porwała go szalona, że byłby się rzucił na niego, jak

podrażniony tygrys, lecz pohamował się całą siłą woli.

— Tak? nie wiedziałem. Dla pańskich genialnych zdolności za małą widocznie byłaby cała Galicya — i w niej byłoby panu za ciasno?

— Śmieszne powiedzenie... Ale niech pan będzie łaskaw przestrzegać przyjętych w towarzystwie form i nie wykluczać delikatności, jaka cechuje inteligentne jednostki. Jak zauważyłem od pierwszej chwili obrał mię sobie pan za przedmiot drwin, okazując mi w każdym zdaniu nie wiedzieć jaką wyższość i lekceważąc mię ustawicznie. Osobista ma godność na to pozwolić nie może i ostrzegam pana, by się to po raz drugi nie powtórzyło.

Pan Maciej chciał coś powiedzieć i powstał z miejsca, lecz przerwał mu Ruczewski:

— Co się tyczy form towarzyskich, to u pana lekcyi pobierać nie myślę, ale i nie wiem czem w gruncie rzeczy mogłem pana obrazić.

— Wszystkie pańskie aluzye, skierowane do mnie, były prostacko obrażające.

— Nie ma pan w repertuarze odpowiedniejszego określenia?

— To uznałem za najodpowiedniejsze.

— Na razie mniejsza. Że zaś zaproponowałem panu posadę u mnie, to nie jest obrażające, bo to pański fach i, przypuszczając, że pan nie będzie pomagał ojcu na chórze, wspomniałem panu o tem.

— Nie wypominaj pan ironicznie fachu mojego ojca, bo nie wiesz pan jakie okoliczności zmusiły go do tego. Zresztą żadna uczciwa praca nie jest ublizającą, jedynie bezmyślne lenistwo jest godne wzgardy. I niech pan również przyjmie do wiadomości, że ród Ossockich był już rycerskim, kiedy jeszcze o Ruczewskich nie słyszano!... — pomimo panowania nad sobą nie mógł się powstrzymać od oburzenia. W wypadkach, gdzie się rozchodziło o obronę jego rodu, był w czynie nieupamiętany.

Na twarz Henryka wystąpił płomień.

— Ależ panowie, — odezwał się pan Maciej — poco jakieś kłótnie? Naprawdę, obrażacie panowie mój dom... Ni stąd, ni zowąd się sprzeczać, przy kobiecie... ach... dajcie panowie spokój... — i stanął między nimi, jakby chciał pośredniczyć do zgody.

Kwieta nie wiedziała co czynić.

— Panie dziedzicu, nie miałem najmniejszego zamiaru obrażać pańskiego domu, bo przyznam się, oddawna żywię doń prawdziwy szacunek, ale ja jako gość zostałem w tym domu obrażony. Był pan świadkiem od początku naszej rozmowy, proszę zatem powiedzieć, czy dałem czemkolwiek powód do podobnego traktowania mię przez pana Ruczewskiego? Nie! Na pierwsze drwiny nie reagowałem zupełnie, zostawiając to na odpowiedni czas i miejsce, ale gdy ktoś traktuje mię uparcie,

jak żaka, który się wkręca w niewłaściwe sobie towarzystwo i hańbę mu przynosi, to, pan raczy wybaczyć, postępowania takiego tolerować nie mogę — i jako szlachcicowi jest mi nie wolno. Że jestem synem organisty, to nie dowodzi niczego jeszcze, chyba prawdziwego patryotyzmu, który był powodem, że memu dziadowi skonfiskowano nie... Wołkowice, ale dobra Jeshary!

— Ależ na miłość boską, panu nikt nie ubliża, panie Ossocki — starał się go uspokoić pan Maciej.

— Właśnie ubliżył mi ten pyszałek, czego nie przebaczę! — i spojrzal na Ruczewskiego piorunującym wzrokiem.

— Niech się pan liczy i uszanuje dom swego dziedzica — odparł Henryk, nie spuszczaając również oka z przeciwnika.

— Panowie, nie bądźcież dziećmi! — błagał gospodarz, zwracając się do nich.

Zygmunt, nie mogąc się pohamować, odezwał się znowu:

— Wiedz pan, że gdyby to nie był dom pana Dolańskiego i nie było onej szanownej damy w naszym towarzystwie, tobym...

— No?

— Spoliczkował pana!

— Co, pan mnie?

— Powiedziałem!

Henryk zagryzł wargi i nie odpowiedział nic.

— Państwo wybaczą, że jestem zmuszony opuścić dom, a pan, panie Ruczewski, raczy pozwolić ze mną na słowo.

— Zgadzam się — odrzekł po krótkiem namyśle.

— Panowie, ja was tak nie puszczę! Jeśli szanujcie me dobre imię, nie róbcie głupstw i zgódźcie się... Panowie, ja was proszę...

Słowa jego nie odniosły żadnego skutku. Wiedział, że ich nie pojedna i Ossockiego nie wstrzyma.

Zygmunt skłonił się Kwiecie, która nie wiedziała co począć.

— Nie, pan nie odejdzie, panie Zygmuncie! Ja proszę pana, niech pan zostanie, ja bardzo proszę...

Stanowczość Zygmunta była większa, jak wszystko.

Kwiecie spłynęły łzy po policzkach. Dostrzegli je wszyscy.

— To owoc pańskiego zachowania, panie Ruczewski. Kobiety pan zmuszasz do płaczu... — skłonił się jeszcze Dolańskiemu, który stał, jak zwaryowany. — Proszę wybaczyć, panno Kwieto, jeśli co było nietaktem z mej strony, — zwrócił się do niej jeszcze w progu — ale przecież jest obowiązkiem każdego bronić swego honoru... pani wybaczy... — pochylił się ku niej prawie przesadnie i wyszedł.

Obaj panowie wyszli za nim, zamykając za sobą drzwi.

Kwiera przeczuwała coś złego. Serce zadygotało jej prędko i niespokojnie. Podeszła prędko do okna, skąd mogła doskonale widzieć ich na ganku. Ganek bowiem był tuż przy oknach salonu. Dzikie wino, pnące się po kratkach ganku, zasłaniało ich nieco.

— Nie chciałem z wszelkich względów załatwiać naszej sprawy przy kobiecie, przeto prosiłem pana, by wyszedł — przy tych słowach Zygmunt dobył z kieszeni portfel. — Chyba jestem kompetentny, panie Ruczewski — proszę, oto mój bilet... Czas i broń zostawiam do wyboru. Jestem gotowy do usług każdej chwili.

— Ależ panowie... — przerwał pan Maciej — nie róbcie awantur i skandalu!

— Rozprawa honorowa nie może być skandalem, panie dziedzicu.

— Nie przyjmuję, panie Ossocki, bo bić się z panem byłoby dla mnie ujmą...

— Dlaczego? — zapytał groźnie Zygmunt.

— To pozostawiam sobie.

— A gdy pana obecnie spoliczkuje?

— To odpłacę panu temsamem, ale pojedynku nie przyjmę.

— To jest wykręt i tchórzostwo godne pogardy! W takich wypadkach różnice majątkowe nie

wchodzą w grę, ale urodzenie! A ja potem mam większe dane, niż pan.

— Co?

— Tchórzy pan podle!

— Zatem przyjmuję. A wiedz pan sobie, że nie dla satysfakcyi, ale by dać panu nauczkę...

— To się okaże.

— Wybieram pistolety, a czas, jutro o godzinie trzeciej po południu na grobli lasu pana Dołańskiego.

— Z całą przyjemnością...

Na nic się zdały perswazyje pana Macieja i przekonywujące słowa.

Ossocki skłonił się i odszedł.

Kwietka stała w oknie jak oniemiała.

Henryka znienawidziła jak nigdy dotąd. Nie wiedzieć czemu, strach o Zygmunta porwał ją, jak burza. Nie wiedziała, co ją tak ciągnęło do niego — i w tej chwili wydał jej się drogim, ogromnie drogim i kochanym. Chciała płakać i lecieć za nim, w końcu nie wiedziała sama co począć. Wtem przyszła jej do głowy nagła myśl i wybiegła przez pokoje tylną bramą do ogrodu.

— Upokorzę, jak psa! — wyrzekł Ruczewski do pana Macieja, sycząco, zaciskając zęby.

Pan Maciej przedkładał mu jak mógł, a nawet radził przeprosić, tłumacząc, że on przecież dawał pierwszy powody do sprzeczki i ubliżył Ossockiemu.

Henryk nie dał tego sobie w żaden sposób powiedzieć, zwalając całą winę na Zygmunta.

Dolański był bezradny.

— Ha, trudno! Czyńcie, co chcecie. Ale co powie pański ojciec? Broń Boże, w razie wypadku...

— Bądźcie wszyscy spokojni... Przecież chyba znacie moją rękę i oko?

Rzeczywiście, Henryk był pierwszym strzelcem w okolicy.

O następstwach, jakie mogły z tego wyniknąć, na razie nie myślano.

Wrócili do salonu. Kwiety nie było nigdzie, a Henryk chciał się pożegnać.

— Uciekła przede mną... — zauważył i począł szukać kapelusza.

— Ależ, co też pan mówi... jakżesz można ją o to posądzać?

— Mam do tego widocznie pewne dane.

Dolańskiemu przyszło na myśl wczorajsze zajęcie na stawie.

— Panie Henryku, jeśli by Kwietą postąpiła kiedy niewłaściwie, niech pan tego tak do serca nie bierze... dyc to jeszcze dziecko... nie zna życia, dopiero wchodzi w nie... jednym słowem, dziecinna jeszcze...

W tym wypadku sąd ojca okazał się mylny, a może tylko rozmyślnie określił córkę w ten sposób, by uspokoić Henryka.

Ruczewski zatrzymał się jeszcze krótką chwilę i, nie doczekawszy się Kwiety, odjechał.

Kwietą tymczasem przebiegła przez ogród z myślą spotkania Zygmunta na drodze, która koło ich ogrodu prowadziła do wsi. Przed spotkaniem Ruczewskiego nie miała obawy, bo choćby zaraz odjechał, to droga jego wiodła w przeciwnym kierunku, do Wołkowic, a zresztą ewentualne spotkanie było jej najobojętniejsze.

Prawie wybiegła na drogę, gdy Zygmunt nad-
szedł.

— Panie Zygmuncie...

— Ach, to pani, panno Kwieto... — i zatrzymał się przy niej.

— Panie Zygmuncie, ja pana bardzo przepraszam, że w domu naszym spotkała pana tak wielką nieprzyjemność, ale przecież pan wie, że nie z naszego powodu... — spojrzała na niego mokremi od łez oczyma, co w Zygmuncie rozpałiło jeszcze większą wściekłość na Ruczewskiego.

— Ależ panno Kwieto, proszę być najzupełniej spokojną...

— Ja się tak boję o pana, panie Zygmuncie...

— Dlaczego?

— Pan wydał Ruczewskiemu pojedynek, słyszałam z ganku...

Twarz jej pobiadła, jak biała róża i co chwilę wstrząsał nią dreszcz febryczny.

Zygmunt starał się wyprzeć, by nie robić roz-

głosu, ale bezskutecznie. Słyszała przecież, więc nie wypierał się dłużej, jak tylko starał się ją uspokoić nadmieniając, że może jeszcze przyjść do zgody i skończy się ta cała sprawa na niczem.

W taki obrót rzeczy Kwietą nie wierzyła wcale. Czuła, że do pojedynku przyjdzie stanowczo i że Zygmunt może przypłacić to kalectwem, a nawet życiem. Czuła również, że go powinna bronić, lub przeszkodzić tej walce, ale nie miała na to sposobu. Lęk ją brał coraz większy o Zygmunta — stawał jej się w sercu i duszy tak drogi, jak prócz rodziców, nikt dotąd. A może nawet droższy... odnajdywała w sobie, nie wiedząc skąd to pochodzi.

Najzupełniejszy i żartobliwy spokój pana Zygmunta dodawał jej trochę otuchy, ale lęku o niego nie zmniejszył wcale.

— Kochany panie Zygmuncie, niech pana Bóg strzeże... — rzekła mu półgłosem, gdy odchodził, na co on odpowiedział gorącym uściskiem dłoni.

Byłby z rozkoszą przycisnął tą rączkę do ust, ale obawiał się, by kto nie spostrzegł. A zresztą po co? Czułość podobna między młodymi zdradza miłość, albo jej wstęp, a czy on Kwietę kocha? Nie. Nie wiedział nawet, czyby mógł. Po kilku latach spotkali się wczoraj, widzą się dziś — i znów się mogą rozjechać na całe lata... Zresztą ona obywatelska córka, a on?... Starał się więc

o tem nie myśleć. A jednak siedziała mu w głowie uparcie, jakby coś koniecznego...

Kwiera zatrzymała się w ogrodzie i patrzyła za odchodzącym. Stała tak pod drzewem, dopóki nie znikł na zakręcie. Wtedy łzy puściły się jej z oczu, jak perły.

Poczęła wolno iść ku domowi. W piersiach czuła jakąś ogromną zmianę i szalone pragnienie czegoś, co istnieć musiało i było duszy coraz bliższe. W załzawionych źrenicach stanął jej Zygmunt...

IV.

Powoli kończył się dzień.

Słońce jasnym szkarłatem schyliło się ku zachodowi, pożogą czerwieni oparło się o horyzont i błyszczało w tej krwistej ulewie, jak wielka, wybałuszona żrenica.

Zorza wieczorna purpurzyła się coraz bardziej i wielmożniej, doszła do najpełniejszego rozkwitu, do rażącej prawie czerwoności — i poczęła powoli przygasać, nieznacznie, a bezustannie.

Bładła i topniała z każdą chwilą, jak gdyby z umierającego lica schodziło powoli życie i ten wyraz duszą po twarzy rozlany.

Atomy zorzy nikły niewidzialnie i rozpraszały się, jak mgła, po zachodnim splechciu nieba, ulatniały się gdzieś eterycznie, nie zostawiając najmniejszego śladu na cicho-lazurowym firmamencie.

W miarę czasu poczęła spływać na ziemię jakaś bogini z powiewem chłodu i rzeźkości, by za niedługo rozsiać przez szat swoich muśliny niepolicone kropelki rosy. By odzież ziemi zie-

loną, powiedlą w ciągu dnia pod ogniem słonecznych promieni — ostudzić i zwilżyć krynicznym chłodem.

Trawa, kwiaty i listki drzew czekały w utęsknieniu tego rośnego posiewu, który było już czuć w powietrzu, jak się do rozpylania przygotowywał.

Asysta lekkiego zmierzchu szła nierozłącznie za wiewną szatą bogini, jak gdyby cień niewolniczy, trzymający się jej wszędzie i wiecznie.

Cichość była wokoło rozwiewna i cieplutka.

Kwiera wyszła do ogrodu i usiadła na małej pręcianej laweczce wśród kwiatnych grządek. Coś ją tu ciągnęło w ten wonny zakątek, obiecywało jakieś słodkie zwierzenia i miłe słówko — — samotność wabiła ją do tej pościeli kwietnej, nęciła ciszą i błogosławioną szczęśliwością — po co?

Nie była w stanie odgadnąć tego, jaka moc szeptała jej o samotności — i dlaczego była tak upartą, nie dającą się odpędzić, ani przygłuszyć w sobie — tak koniecznie rozkazującą.

Samotności pragnęła, myśląc, że tam w jej ciszy odnajdzie coś, co ją powita w szczęściu i napoi nieodgadnioną słodyczą, że ją pieściwie utuli i baśń opowie złotą, słoneczną o niewidzianym królewiczu, co to ma włosy, jak len srebrzyste i oczy duże, jako dwa chabry i cudny jest, och, cudny... jako ułudny sen aureolnej tęczy...

jako te kwiaty woniejące... jako to słońko wieczorne...

Przyszła z tą myślą i piersią przepelnioną tem oczekiwaniem, takim słodkiem i jakby bojaźliwym...

Drżała jej w piersiach jakaś subtelna struna, jakby się bała odezwać głośniej, by nie obudzić serca, co kojarzyło jakieś marzenia po pierwszy raz w swojej istności, które poczęło snuć i zwabiać dalekie dźwięki pieśni w słodkiem skupieniu i ciszy wnętrza...

Czuła w sobie tę błogość nienazwaną i pewien niepokój prawie dokuczliwy.

Gdzieś-by chciała biedz — wszystko pociągało ją ku sobie, samotą więziła również...

Tęskniła za czemś tak bardzo, aż do smutku, i nie mogła dojść przyczyny onej zmiany wewnętrznej — i zarazem nie chciałaby się jej i pozbyć...

Dobrze jej było z tem i lubowała się uczuciem, co ją nawiedziło i przyszło do niej prawie razem z tą wiosną.

Woń poczęła działać na nią marząco.

Siedząc niedbale i patrząc w cichości na grządki kwiatów, przyszła jej świeża i, jak wszystkie, przelotna myśl.

Chciała teraz pieszczoty. Nie rozumiała, czemu tak właśnie, ale pragnęła, by ją wziął ktoś w ramiona, otoczył uściskiem gorącym i tulił do siebie... Żeby jej rozplatał warkocze i rozwiał włosy,

jak kité lnu, po szyi, ramionach i strugą rozrucił po plecach...

Gdyby to był Zygmunt... och, nie!... Wstydzilaby się jego, musiałaby się spłonić, jak wiśnia, i oczy zasunąć rzęsami... Lepiej może, żeby to nie był on — a zresztą... Myśl od Zygmunta nie chciała odchodzić i trzymała się jego, niby nitkami.

Och, nie... Nie wstydzilaby się wcale — niby dlaczego? On taki dobry i piękny... ma taki metaliczny głos... Nie, wcale-by się go nie wstydzila — i chciała teraz, żeby to był on...

Omotałaby mu głowę włosami... onby jej włosy pieścił i gładził i opowiadałby jej coś miłego, a on tak umie...

Siadłaby mu na kolanach, dłonią objęłaby za szyję i patrzyła mu w oczy bez końca... Och, jakież on ma przepastne oczy, takie, jak stał błyszczące...

Pochyliłaby się bliżej na jego ramię, bardzo blisko, tak, żeby wyglądała, jak dziecko, kiedy śpi na rękach niańki...

Takby obwisła na jego ramieniu, a onby mówił do niej kochane słowa...

Gładziłaby mu dłonią czoło, policzki, a nawet jego równiutki kark... Toby mu zapewne sprawiało przyjemność, a i jej również.

To przecież musi być miłe...

Wspomniała sobie, jak kiedyś leżąc w łóżku przybiegł do niej kotek angorek, jak jej stapał de-

likatnie po piersiach — naprawdę, jak jego drobne pazurki lechtały ją mile...

A ona leżała bez ruchu, by go nie spłoszyć i on dotykał gołego jej ciała wąsikami, to szyi, to nagich ramion...

Takby ona pieściła Zygmunta i cisnęła się do niego coraz więcej i mocniej...

Przecież on chyba by zechciał i nie bronił jej tego...

A potem ona by się dała pieścić jemu... Takby się bawiła z nim słodko...

Chciałaby, by jej całował ręce aż do łokci, albo i wyżej... później szyję, policzki, oczy, nawet pozwoliłaby, żeby i usta...

Wyobrażała sobie, że to musi być bardzo miłe, nawet ogromnie, tak się przytulić wargami do siebie nieoderwanie...

Och, chciałaby, żeby taki pocałunek trwał nieskończenie długo...

Czytała nieraz o tem, że tak czynią młode osoby, co się kochają.

Więc to jest widocznie miłość, gdy się dwie osoby tak piezczą...

Raz nawet śniło jej się, że jakiś cudny młodzian porwał ją w objęcia i zaczął nieupamiętnianie całować, a później, jak na skrzydłach, unieśli się w powietrze wysoko, i tam bujali razem.

Był to ogromnie miły sen i nie do pojęcia słodki...

Chciała, żeby jej się tak co noc śniło.

Zapewne byłoby to to samo, gdyby się pocałowała z Zygimuntem...

Nie broniłaby mu się zupełnie, nawetby sama chciała, a onby jej przecież nie odmówił...

Przyszło jej teraz na myśl, że to uczucie, jakie żywi do Zygmunta, to musi chyba być miłość.

Ogromnie pragnęła, żeby on teraz tu był.

To wszystkoby mu zwierzyła tak cichutko do ucha i rzuciłaby mu się na szyję.

Nie miałaby odwagi powiedzieć mu to głośno i patrząc mu w oczy.

Zdawało się jej, żeby się odważyła i tak...

A później onby przed nią klęknął i wyjawił jej swoją miłość. Albo by sobie razem to powiedzieli.

Och, dlaczego on nie był wczoraj z nią w łodzi na stawie... tylko ten wstrętny Henryk...

Byłaby zupełnie inaczej postąpiła i byliby się od tej chwili kochali... Schadzaliby się codziennie i pieścili się wzajemnie.

Czuła, że miłość musi być ogromnem szczęściem i niezmierną rozkoszą. Że jest słodyczą nieopowiedzianą i największą, jaka tylko jest w świecie.

Ach, gdyby tu był...

Przedstawiała go sobie w myśli wyraziście, jakby się patrzyła w niego obecnie i czuła, że

myślenie o nim sprawia jej rozkosz w sercu i napelnia dziwną błogością.

Całą myślą utonęła w nim i patrzy... A on kłania się jej mile i siada przy niej na ławeczce. Zdaje jej się, że widzi jego i siebie, jak siedzą razem. Nie wiedzieć czemu, mówi do niej cichutko, prawie szeptem. Ogromnie słodki jest ten szept... Czuje, że wargami dotyka jej policzków i że te wargi mu drżą... Błaga ją o coś, o jakieś słowo, którego ona nie rozumie i nie pojmuje w całości — acha, domyśla się, że pewnie pyta ją o wzajemność...

Odpowiada mu, jak czuje, że go kocha. Nie kłamie nic, ani jednym słoweczkiem. Widzi, że mu to sprawia szaloną radość. Ta wiadomość nie może mu się pomieścić w piersiach — — czuje, jak dyszy i jak ją porywa w silne ramiona.

Tuli ją do siebie bez upamiętania i mocno.

Właśnie ona tak chce...

Jakaś rozkoszna siła poczyną jej w piersiach szaleć, jak burza, ogromnie.

Straszliwie tego pragnie i chce, żeby to było wieki.

Zcałowuje jej twarz i dopada ust...

Niewysłowiona słodycz wlewa się jej w piersi całym strumieniem.

Czuje teraz, że jest jeszcze większa rozkosz ponad tą i błaga go, aby ją pieścił bez końca i coraz szaleniej.

Świata wokół siebie nie widzą — — wszystko jest onem szczęściem.

Ciała im drżą w przemiłych dreszczach i stają się bezwładne.

Usta ich się złączyły i zwarły znów.

Tchu im brakuje i pamięci.

Szał ich porywa szczęśliwości i upojenia. — Zygmunt dygocącemi dłońmi odpina jej bluzkę i stanik... Nie wie czy się bronić... nie ma na tyle sił, ani nie czuje wstydu... Wszystko jej obojętne, co nie jest nim i tą rozkoszą...

Nie opiera mu się wcale, tonąc w jego uścisku. Czuje, że dotknął dłonią jej piersi — i dreszcz przeszedł ją po ciele, jak mrowie.

Coś się w niej zagotowało pożarem i poczęło wtrącać prawie w omdlenie.

Myśl poczyną jej gasnąć — i cała postać zniża się w bezdenne jakiś powab, w nektarną, dosytną czarę...

Ciało coraz więcej opada — — — opada...

Potęga rozkoszy zapycha dech, dusi i rozszerza piersi aż do rozdarcia.

Ta moc nie ustępuje, ale się zwiększa, siłuje z sobą, rodząc jakieś straszliwe pragnienia, najmocniejsze, poza któremi nie ma już nic, a które spełnić się muszą — och, muszą... inaczej, wewnątrz i mózg zaleje krew starganych żył — i pęknie serce...

Wtem zaszczekał kilkakrotnie legawiec Largo

i dopadł ucieszony do Kwiety. Wstrząsnął nią nagły lęk, ściskając piersi boleśnie. Ocknęła się, jak uderzona w głowę i oprzytomniała nieco.

Głęboka imaginacyjna myśl poczęła opuszczać ją leniwie, bardzo leniwie.

Pies oparł się łapami o jej kolana, rzucając niespokojnym pyskiem na wsze strony. Wywieszonym językiem oślinił jej ręce i począł, jak oszalały, wyskakiwać wokół swej pani, łaszac się niecierpliwie.

To otrzeźwiło Kwietę prawie zupełnie, tylko ślad poprzednich myśli pozostał jeszcze w głowie, niby żywe wspomnienie, lub wolno głuchnące echo.

Zamiast figlarnej pieśczoły, jakiej widocznie zapragnął pies, uderzyła go ze złości kilkakrotnie dłonią po grzbiecie i odepchnęła od siebie.

Largo, nie spodziewając się podobnego przywitania, jak również nie mając ochoty do niepysznego powrotu, położył się potulnie u jej nóg, nie mogąc w łbie swoim pojąć zaszłego faktu. Postanowił czekać cierpliwie, aż go ta znajoma dłoń pogładzi znowu po sierści i poklepie po szyi, jak tyle razy dziennie.

Wewnętrzny lęk Kwiety uspokoił się powoli. Nagły ten przestrich oblał jej pąs twarzy lekką bladością i nappełnił piersi niemiłym uczuciem.

Spoglądnęła na psa, jakby go chciała ukarać

jeszcze na wyrządzoną jej krzywdę i wytrącenie z słodkiego marzenia.

Lecz prawie równocześnie postać Zygmunta stała jej w myśli powtórnie. Mózg nasunął jej jutrzejszy jego pojedynek, o którym chwilowo przestała myśleć. To zrodziło strach w jej sercu, większy niż kiedykolwiek. Była chwila, że chciała biedź do rodziców Zygmunta, wyjawić im to, o czym on z pewnością zamilczy, a może oni przeszkodziłoby temu. Może na prośby i płacz matki Zygmunt zaniechałby pojedynku, przecież on go wydał pierwszy, więc mógłby cofnąć postanowienie. Takby uniknąć mógł nawet ewentualnego nieszczęścia. Lecz potem... potemby drwił z niego Ruczewski i ogłosił w całej okolicy tchórzem. I tu by Henryk tryumfował, a przy Zygmuncie zostałaby hańba... Nie, takby nie mogło być. Zna dumę Zygmunta i jego ojca. Onby sam nie pozwolił stchórzyć synowi, owszem, kazałby się bić stanowczo.

— Zygmunтови nie stanie się nic złego — podszeptowała jej myśl druga — On taki pewny był siebie, kiedy mu wręczal bilet... Gdyby szło na szable, Zygmunt zwyciężyłby na pewno. On taki silny. Ale tu... tu pewne oko i traf... A nużby?... — bała się myśleć. — Henryk taki osławiony strzelec, dlatego zapewne wybrał pistolety. Ale i Zygmunt zgodził się bez najmniejszego wahania. Nawet uśmiechnął się z zadowolenia. Tak,

Zygmunt zwycięży stanowczo — musi, a tego upokorzy.

Imaginowała sobie Henryka, leżącego we krwi. Raz było jej go żal, to znowu czuła wielką radość i ubóstwienie do Zygmunta. Była teraz pewna, że będzie nie inaczej. Słuszność przecież jest przy nim. Henryk sam szukał zaczepki, wyśmiewając docinkami Zygmunta. Na to honor jego pozwolić nie mógł. I dobrze się stało, że wyzwał napastnika. Inaczej byłby w jej oczach nie rycerski i bojaźliwy.

Za chwilę przyszła jej nowa myśl, co było właściwym powodem tej sprzeczki. Wiedziała, że Henryk od pierwszej chwili począł lekceważyć Zygmunta w różny sposób. Ale dlaczego? Przecież nic nie było między nimi, nie spotykali się tak długo. Więc co? Zapewne Ruczewski zastawszy u nich Zygmunta uczuł zazdrość. Do tego ona więcej rozmawiała z Zygmuntem i bawiła się z nim serdecznie. Zauważyła, że to doprowadzało Henryka do wściekłości. Zaczął więc lekceważyć Zygmunta, by mu przez to dokuczyć, że on większy pan, któremu wszystko wolno, nawet upokarzać drugich. Słyszała przecież całą ich rozmowę. Ale tu się Henryk przeliczył... Spotkał bowiem rywala dużo groźniejszego od siebie. Będą się zatem bić...

Poniekąd Kwietka czuła tu swoją winę, że dawała Ruczewskiemu powód do złości. Uspakajała

się jednak, że po wczorajszem zajściu na stawie nie mogła inaczej postąpić. Oburzona była na jego zachowanie i despotyczno-grabieżce słowa. Zresztą Henryk nie był jej nigdy sympatyczny, a wczoraj obudził w niej nienawiść. Do tego z jego powodu ma jeszcze nieprzyjemności w domu. Przed godziną gniewał się na nią ojciec, że przed Henrykiem uciekła... Przyznała się z płaczem, że go nie znosi i że unikać będzie jego towarzystwa. Ojciec rozzłoszczony ogromnie wyszedł do kancelaryi, trzaskając drzwiami za sobą. By się użalić przed matką, opowiedziała jej wszystko. Nie wspomniała tylko o pojedynku, co ojciec najsurowiej jej nakazał. Postąpienie Henryka oburzyło matkę ogromnie — Zygmunta bowiem lubiła bardzo. Uspokoila córkę i zezwoliła nawet, by postępowała według swego upodobania, byle tylko ojca zbytnio nie drażnić. Kwietka zauważyła wówczas, że matce musiały przyjść na myśl jakieś wspomnienia, bo łzy ukazały jej się w oczach. Poprosiła córkę, by zostawiła ją samą. Kwietka wyszła do ogrodu. Nie wiedziała skąd teraz właśnie przyszła jej do głowy myśl, jak kilkakrotnie widziała matkę, spoglądającą długo w fotografię starego Ossockiego, ojca Zygmunta. W takich wypadkach bywała zawsze smutna i milcząca. Fotografia ta musiała być z lat młodych, do złudy podobna do Zygmunta. Kwietka domyślała się w tem jakiejs tajemniczej zagadki, ale matki py-

tać nie śmiała. Na myśl o zapytaniu uczuła zawsze pewien lęk w piersiach. Dziwiło ją także niezmiernie, że matka nawet w podróż brała ową fotografię, ukrywając ją starannie przed ojcem. Poczęła teraz na ten temat zapuszczać się w różne domysły, lecz klomb kwiatów, około którego przechodziła, rozwiał te myśli niespostrzeżenie. Znowu owładnęło nią jakieś dziwne uczucie, które pobudzała wiosna i myśl o Zygmuncie.

Largo spoglądał na panią co chwilę, podnosząc bure, na pół piwne oczy. Nie mógł się doczekać pieszczoty za którą tęsknił i błagał o nią ślepiami.

Kwieta czuła teraz wielkie zadowolenie, że Zygmunt wyzwał Henryka. To pobudzało w jej duszy cześć i uwielbienie do niego. Odnajdywała w sobie, że kocha go i on ją również będzie miłował. Nie rozumiała tylko, jak to się mogło stać tak prędko — od wczoraj dopiero. A jednak był jej sercu tak blizki już, jakby przez całe lata kochany. I znów pogrążyła się w myślach o nim i o jutrzejszym pojedynku.

Zmierzch począł powoli opadać, a rosa drobniutka dziergała równocześnie niewidzialnymi dłońmi czarowną baśń.

Nanizywała maleńkie perełki na ruń wiosennej odzieży, wilżąc je przyjemnym chłodem.

Marzeniem kołysząca cisza rozlewała się wo-

kół, jak gdyby ledwo uchwytnie tony, usypiającej pieśni, lub śniwe czary.

Balsamicznem tchnieniem wionął rozmodlony czarownym spokojem wieczór.

I tchnienie ono wpływało w duszę niby słodkie, rajskie strumienie, rozlewając po niej niewysłowione ukojenie.

W skupionej modlitwie klękało serce przed majestatem piękna i błagało żarliwie o jakieś szczęście, które się śniło w łaknącej jego głębi, jak niespokojny głód.

A zmierzch ujmował je rozśnione i płynął z niem pieściwie w miesięczną noc...

V.

Kwiecie przeszła noc ciężko, jak nigdy dotąd. Przeróżne sny trapiły ją od samego wieczora, a wszystkie tyczyły się jej i Zygmunta.

Ranne słońce zbudziło ją zmęczoną i z nienaturalnymi rumieńcami na twarzy, jakby je wewnętrzna gorączka wypiekła na subtelnej świeżości liców.

Na przygniatającem oczekiwaniu przeszło jej dopołudnie. Wlokło się niby żółw leniwie i ciężko.

Niepokój wzrastał w niej coraz większy, płodząc czarne przypuszczenia i nieodpartą duszność lęku.

Każda minuta zdawała się ją tłoczyć boleśnie i ściskając szyję, jakby pętlą powroza.

Natrętna myśl zdradzała jej kilkakrotnie obraz Zygmunutowego nieszczęścia, a wtedy gorące łzy ukazywały się w kącikach żrenic i spływały dwoma sznurkami po smutnem liczku. Nie mogła pojąć, co by się stało z nią, gdyby tak Zygmunt padł...

Myśl taka wstrząsała nią, jak silny dreszcz i pchała gwałtem obfite łzy do ocz.

Czuła tę pewność, że jego śmierć jąby zabiła i zdruzgotała na miejscu. Nie pojmowała swego istnienia, jeśliby przestał żyć on, który jej duszę wziął w posiadanie.

— Żeby choć umarł z tą myślą, że ja go kocham... — mówiła do siebie i równocześnie zapytywała się w duszy, czy posiada jego wzajemność, czy ją ten Zygmunt miłuje — no, pewnie, że w tajemnicy... Nigdy nie mówili w podobny sposób, nie było kiedy, cóż, dopiero dwa dni jak się zeszli... taki króciutki czas... nawet nie wypada mówić o miłości pomiędzy sobą w takiej dobie...

Podobne myśli kołowały jej w głowie ustawicznie. Żałowała ogromnie, że zamiast wcześniej do Olszowca przyjechać, udali się do Włoch. Zygmunt na wsi tak dawno już — z pewnością byliby sobie zwierzyli swoje uczucia do tego czasu. A może i do pojedynku byłoby nie przyszło?... Henryk byłby dalej siedział w Wiedniu, a tu ich miłość byłaby wzrosła — och, do takich granic niepojętych, do takich wyżyn... — przedstawiała to sobie co chwilę i poznawała znów, żeby go bardziej kochać nie mogła, jak go już kocha dziś, od wczoraj dopiero.

Czuła, że ta miłość do Zygmunta jest konieczna, bo jeśli zrodziła się sama w tak nagłym

czasie, bez żadnych wyraźnych pobudek, bez zżycia się dłuższego i wzajemnych, ewolucyjnych pobudzeń uczuć — to chyba musiało tak być.

Śród takich rozmyślań doleciał ją głos kościelnego zegara. Biło w pół do trzeciej. Kwietka bała się, by nie zapóźnić — chciała być świadkiem blizkiej już walki. Koniecznie chciała tam być, by w razie czegoś... sama nie wiedziała, co by uczynić mogła, ale czuła, że jej obecność jest tam konieczna.

Ojciec zabronił jej najsurowiej i kazał pozostać w domu, polecając, by zamilczała bezwzględnie o onej sprawie. To dodało jej jeszcze większego lęku i rozbudziło trwogę.

— Dlaczego chcą to utrzymać w takiej tajemnicy? Może wszyscy dybią na niego... na Zygmunta? — zapytywała się po stokroć razy i za wszelką cenę postanowiła tam iść.

Okrażyła staw, kierując kroki ku lasowi.

Wiedziała naprzód, żeby jej nie zezwolono patrzeć na oną scenę, wymyśliła zatem ukryć się w lesie za drzewem. Jak na złość podszeptowała jej myśl, że nie przybędzie na czas, przyspieszała więc coraz bardziej.

Słońce, pomimo, że zeszło już z południa, piekło nieznośnie. Cały firmament nieba raził migotliwym blaskiem i zdawał się żarzyć, jak roztopiona masa szkła.

Trawa przykucnęła do ziemi w omdleniu z ogromnem pragnieniem chłodu. Zboża stały spokojnie z obwiśniętymi lancetami, jakby nieprzejrzane wojska, któremu trud i niemoc pochyliły miecze ku ziemi — i dzierżą je jeszcze w dłoniach ostatnią nitką siły.

Zachodni horyzont nieba oblekł się mało widoczną szarością, niby piaskową barwą. U ziemi był prawie ciemny, tylko czem wyżej, rozplýwał się coraz rzadziej i jaśniej, aż złączył się z dalszą calizną blasku zupełnie niedojrzanie.

Ale ta szara opona, niby szeroka firanka, poczęła się powoli podnosić w górę, jakby ją lekki wiatr wydymał na coraz wyższe stropy — zaciemniała się u dołu prawie gwałtownie i bezustannie.

Zdawało się, że z paszczy ziemi wydobywają się całe zwoje burego muślinu, że jakiś dmuch wywala je bałwanami i rozlewa po niwie niebios, jak fale po wydmach morskich wybrzeży.

Parność czyniła powietrze suchem i ciężkiem. Spiekota wzmagala się coraz bardziej dokuczliwsza, siejąc ze wszech stron ogólne, przemocne omdlenie.

Kwiecie wystąpił pot na czoło. Szła bez wytchnienia w spalonym powietrzu, gnana jego pożogą, stadami przeróżnych myśli i lękiem.

Las był już niedaleko i obiecywał chłodnawy cień.

Bojąc się, by jej skądś nie dostrzeżono, obeszła groblę polami, chcąc dojść do lasu z boku. Było to łatwe do wykonania i ostrożność była niechybna, bo grobla długim półwyspem wrzynała się w pola, stykając się niemi małą polanką. Było to miejsce corocznych majówek i zabaw przy świetle księżyca.

Kwietą, nie wiedzieć kiedy, przebiegła całą drogę, przeszło dwukilometrową i zatrzymała się na rywie lasu.

Chłód owiał ją błogosławionem tchnieniem. Obtarła pot z twarzy, która gorzała jej nabiegłą, rozognioną krwią. Jakby w czerwony kwiat rozkwitła przez drogę, tak pałała rumieńcem rozlanym po całym licu, a ginącym dopiero pod białą bluzką.

Stojąc na skraju lasu nie mogła dostrzedz nikogo, bo nierówna i wysunięta połać drzew zasłaniała polankę zupełnie.

Weszła do lasu, brnąc poprzez paprocie, jak młoda sarna. Za chwilę doleciało ją kilka głosów ludzkich i turkot bryczki. Błądziła niedługo między drzewami, aż ich dostrzegła... Była od nich o kilkadziesiąt kroków, przybliżyła się jeszcze nieco i stanęła pod drzewem. Była pewna, że tu jej nie dojrzą. Piers podnosiła się jej prędko i niespokojnie tak ze zmęczenia, jak i lęku, co będzie...

Wzrok jej oparł się na grupie trzech panów.

Pierwszego poznała Zygmunta, jak stał najspokojniej i palił papierosa, ten drugi okazały mężczyzna — jego ojciec; poznała go po czarnych wąsach i takiej samej długiej brodzie. Po chwili dopiero dostrzegła lepiej, kto był ten trzeci, że to Gąslicz z Olszowca, medyk i serdeczny przyjaciel Zygmunta.

-- Zapewne to sekundanci Zygmunta, ojciec i Gąslicz — pomyślała, kierując oczy dalej.

Prawie nadjechała bryczka. Panowie pokłonili się sobie. Henryk zeskoczył na ziemię z donośnym śmiechem, a za nim zeszła reszta mężczyzn. Dwóch z nich było jej zupełnie nieznanym, tylko w ostatnim rozpoznała lekarza z poblizkiego miasteczka. Ojca Henryka, ani jej nie było.

Panowie zeszli się razem i rozmawiali jakiś czas ze sobą. Słów ich Kwietą dosłyszeć nie mogła. Serce biło jej coraz gwałtowniej, a podniecone uczucie dławiło w gardle, wzbraniając swobodnego oddechu. Trwoga oblała ją, jak ukropem.

Jeden z panów odmierzył przestrzeń krokami. W oczach wszystkich nabito pistolety i mężczyźni rozdzielili się na dwie grupy.

Silny wiatr powiał po czubach lasu — i gdzieś w dali zahuczał głęboko przytłumiony, przeciągły grzmot. Głuchem echem rozszedł się po przyrodzie i zcichł za chwilę.

Po ciele Kwiety przeszedł dreszcz. Spodziewała

się czegoś okropnego, co przyjść miało za chwilę. Ani na moment nie odrywała ocz od stojących.

Zygmunt i Henryk zbliżyli się do siebie, podając sobie dłonie.

Kwiecie zdawało się, że dzieje się to wszystko jeden moment — i całe wieki.

Bolesne oczekiwanie gniotło ją, jak głaz.

Zygmunt i Henryk wrócili na swoje miejsca, zdjęli marynarki i zakasali rękawy koszul prawych rąk, reszta panów odsunęła się nieco ku grobli.

Podniesiono ręce z pistoletami i oczy przeciwników popłynęły po muszce luf ku żywej tarczy — głowie.

Kwiera wstrzymała dech, jak i reszta świadków tej sceny. Oczy wlepiła bez ruchu w Zygmunta, który stał zwrócony do niej przodem.

Moment była cisza, jak między błyskawicą, a hukiem gromu.

Henryk wypalił...

Z otworu lufy wypadł sznurek białego dymu. Ręka z pistoletem opadła mu ku dołowi — spojrział... Ossocki stał, tylko się ręką chwycił nagle za lewy policzek, poniżej ucha.

Kula drasnęła mu skórę do krwi. W jednej chwili zobaczył tą krew na dłoni... Popatrzył w Ruczewskiego... Stał blady, jako wapienny posąg... Mierzył w niego wolno, jak gdyby czas straszego oczekiwania pragnął umyślnie przedłużyć,

jak najdłużej, i tem zamęczyć przeciwnika... Chwila namysłu wlała mu się w oczy i sfałdowała czoło. Czuł stróżkę ciepłej krwi, płynącej mu po szyi na piersi. Rękę podniósł wysoko do góry, prawie pionowo i pociągnął za cyngiel... Padł strzał i rozległ się grzmiącym echem po lesie.

— Teraz w pański kapelusz... — wyjął rewolwer z kieszeni, zmierzył w kapelusz, leżący obok Henryka — i strzelił. Kula przeszła przez jego dno. Teraz rzucił pistolet przed siebie na ziemię, schylił się najspokojniej po bluzkę i począł ją wolno ubierać.

— Możesz pan odejść, panie Ruczewski... sprawa honorowa skończona... — zwrócił się do bladedo Henryka, ocierając krew chusteczką.

Sekundanci byli zdumieni i stali, jak wryci. Henryk zwrócił się ku nim wolno.

Kwiera, jakby jej ciężar spadł z piersi, odetchnęła swobodniej. Widziała wspaniałomyślność Zygmunta i krew na jego twarzy... Wybiegła z lasu.

Osocki zbliżył się do syna pierwszy.

— To nic... małe draśnięcie... — uspokoił go Zygmunt. I rzeczywiście nie było nic groźniejszego. Zygmunt nie pokazał rany lekarzowi, mówiąc, że to »bagatela«.

Ojciec chciał podnieść ze ziemi pistolet syna, lecz tenże zabronił mu tego stanowczo.

— Niech tu zostanie... mniejsza o pistolet...

Kwieta wchodziła na polankę, kiedy Zygmunt, nie chcąc się zejść z Ruczewskim i jego towarzyszami, uklonił im się z niedbałą ceremonią i wzięwszy Gąslicza pod ramię, ruszyli wszyscy trzej wolno ku wsi.

— Trzeba było, psiakrew, strzelić w sam łeb... — złościł się Gąslicz, jak również i stary Ossocki.

— Dyabła mi z jego śmierci... a takie postąpienie jest dla mnie lepszą satysfakcją... Chyba uwierzył, żebym nie chybił, widząc kapelusz... a zresztą, mniejsza. Burza na karku, chodźcie panowie prędzej...

Jakby na sprawdzenie tych słów przebiegła chmury nagle błyskawica i za parę sekund silny grzmot wstrząsnął przyrodą.

Kiedy Kwieta wychodziła z lasu, Zygmunt ją dostrzegł, i teraz, myśląc o niej, obejrzał się nieznacznie poza siebie. Widział, że starano się ją zatrzymać, że Henryk zabiegł jej drogę, ofiarując swą bryczkę. Kwieta jednakże ominęła go w milczeniu i bez słowa skierowała się ku nim.

Ruczewski pod wrażeniem co tylko ubiegłej chwili, drżał z denerwowania i nie nalegał długo. Wściekłość go wzięła piekielna, wsiadł z towarzystwem do bryczki i ruszono pełną drogą do Wołkowic. Z ócz jednak nie schodziło mu spoj-

rzenie Kwieży, które rzuciła mu, jak całą otchłań nienawiści.

Wiatr zawiał silniejszy, rozsiewając rzadkie, duże krople deszczu. Słońce zasłoniły dźwigające się w górę chmury.

Kwieża przyspieszała kroku.

— Panie Zygmuncie... — zawołała zdyszana, biegnąc prawie ku niemu.

Idący zatrzymali się, aż nadeszła. Powitali ją niskim ukłonem kapeluszy.

— Panie Ossocki, co się panu stało? — pytała prędkim głosem, widząc jego skrwawioną chusteczkę, trzymaną przy policzku.

— Ależ nic, panno Kwiezo — ot, lekkie draśnięcie, »bagatela«. Ale skąd się pani tu wzięła?

— Ja byłam tu na grobli... widziałam wszystko i pańską szlachetną wspaniałomyślność... Niech pan obmyje ranę, panie Zygmuncie, to może być niebezpieczne... Ot, tu w rowie można, woda czysta... niech pan pozwoli... — głos jej był drżący i jakby płaczem wewnętrznym przełykany.

Zygmunt, nie chcąc jej robić przykrości odmową, zgodził się chętnie, tembardziej, iż wiedział, iż ona tu przyszła dla niego, jedynie dla niego.

— Moja chusteczka czysta, pańska skrwawiona... — zmaczała ją w wodzie i poczęła mu zmywać policzek ostrożnie, jak mogła najdelikatniej. — Boże, tak panu idzie krew... — ręka dy-

gotowała jej z silnego wzruszenia, jako chabinka na wietrze.

— To nic, panno Kwieto, to się za parę dni zablizni. Och, dziękuję pani najserdeczniej... — trzymał jej lewą dłoń, aby nie wpadła do rowu — po stokroć pani dziękuję...

Wtem błyskawica rozpruła chmury ognistym jęzorem zygzaku i prawie równocześnie zagrechał piorun w powietrzu.

Przerażona Kwieto czepiła się instynktownie Zygmunta, jak przestraszone dziecko, i przylgnęła doń całym ciałem.

— Jezus!... — wyrwało się jej lękliwie z drżących ust.

— Proszę się nie bać... burza za chwilę przejdzie... — uspokajał ją i zauważył, że krwią poplamiał jej bluzkę.

Deszcz lunął, jak z cebra, i przyciemniło się nagle.

— Co prędzej spieszmy do wsi — naglił Gąślicz — schronić się niema gdzie, a w lesie, albo pod drzewem niebezpiecznie.

Kwieto zmaczała jeszcze chusteczkę i obmyła ranę kilkakrotnie.

— Niech pan teraz trzyma chusteczkę przy policzku.

Wyszli na drogę.

— Proszę pani... — odezwał się Zygmunt i właściwym gestem podał jej ramię.

— Nie spieszmy — doradzał stary Ossocki — podczas burzy powinno się iść jak najwolniej... I tak przecież zmokniemy do ostatniej nitki.

Potoki deszczu lały się z góry nieprzerwanie, jak gdyby przesiewane przez olbrzymie rzeszoto.

Wiatr kierował nimi ukośnie i gwałtownymi falami przewalał się pomiędzy zielonem zbożem, jakby je wyrwać chciał z korzeniami.

Coraz częściejsze błyskawice krajały przeraźliwym rozpruciem czarne bałwany chmur i raz po raz wyrzucały gromy, wstrząsając ziemią, jak grudką.

Kwietka, przytulona do Zygmunutowego ramienia, dygotała od deszczu i lęku, jak drobne ptaszę. Cienkie jej okrycie zmoczył deszcz w mgnieniu oka, oblepiając ją niem, jak kostyumem kąpielowym.

Zygmunt spoglądał co chwilę na cudną rzeźbę jej młodziutkiego ciała, rysujące się wdzięki i pociągające linie konturów, i mimowoli doznawał błokiego wrażenia, jak student, zoczywszy pończoszkę pensyonarki, lub gdy ją podpatruje łobuzowsko w dyskretnym stroju na plaży rzeki.

Przez batystową bluzkę, która zupełnie przemoczona przybrała kolor ciała, przebijały koronkowe ząbki gorsu koszuli, pod którymi wiła się, to znikająca wąska, niebieska wstążeczka.

Teraz jej kibić zarysowała się przemilem zaokrągleniem i wcięciem pasa, uwydatniła roz-

chyl piersi rozkwitłych — i linie spływały znów niżej na biodra, tworząc łagodny zarys, mający pewne podobieństwo podłużnego trójkąta.

— Panno Kwieto, czy pani nie zimno? Pani tak lekko ubrana... — zapytał Zygmunt, nachylając się prawie do jej uszka.

— Nie... Tylko się strasznie boję.

Gąslicz i ojciec Zygmunta żartowali z takiego spaceru, co Kwietę rozweselało trochę.

— Żeby był choć łeb przedziurawił temu py-szałkowi, toby nie żał przynajmniej było takiej wycieczki... — ubolewał Gąslicz. — Ale sam dać się statuować, a później strzelać wiwaty, lub niszczyć kapelusz przeciwnika, to godne cięków. Tybyś się kwalifikował, Zygmunt, na gubernatora Warszawy lub Litwy — naturalnie, z tego drugiego frontu... Wziąłbyś nawet Murawiewa-Wie-szatela, jako Strzelatel... — podrwiwał.

— Ha, trudno! Kto się bawi, jak Zygmunt, w rajskiego gentlemana, ten będzie prał Panu Bogu w okna, dziurawił chmury i spuszczał deszcz... — gderał, niby pan Ossócki, ale i w duchu zadowolony był wielce, że Zygmunt taki szlachetny i tak wspaniałomyślnie upokarza.

Dalszą rozmowę przerwała im błyskawica i przeraźliwy grom.

Kwietą przyłgnęła znowu do Zygmunta, jakby się ukryć chciała bezpiecznie pod jego ramię.

Mimo, że wiatr chłostał ich deszczem po twa-

rzach i zalewał ściekami żrenice, Zygmunt dostrzegł, że lice Kwiety oblała pewna bladość i uczył, że drży przy jego boku coraz silniej.

— Tak się pani boi burzy i grzmotów, panno Kwieto?

— Bardzo się boję... naprawdę bardzo... Kiedy jeszcze zobaczę ten czerwono-fioletowy zygzak, to truchleję... Tak mię to przeraża, och, bo to takie okropne, żywiołowe...

— Prawda, jaka potężna i bogata jest natura? Niedawno śmiała się słońcem i pogodą, teraz przeraża błyskawicami i razi gromem. I znów ukaże się słońce i tęcza i świeżość będzie pachniała zewsząd...

Na drodze poczęły się tworzyć kałuże błota i zlewać się strugami wody. Chód stawał się uciążliwy, jednakże do wsi było już blisko.

— Czy rana pana boli, panie Zygmunecie? — zapytała i podniosła na niego oczy duże, troskliwe.

— Proszę mi wierzyć, że prawie tego nie czuję — przycisnął jej ramię do siebie i szli chwilę w milczeniu.

Zygmunt dostrzegł teraz, że Kwietka ma do domu jeszcze stajanie i uczył żal, że ją pożegnać musi. Pomimo największej burzy, szedłby tak z nią bez końca, na kraj świata... Ciepło miękkiego jej ramienia czuł przy swym boku i było mu z tem niewysłowienie dobrze. Trzymałby tak

to ciepłe ramię całe wieki, zawsze z jednaką rozkoszą i ukochaniem. Teraz poznawał, że ta rusalka wpadła mu w serce nie na żarty i żeby bardzo trudno było zaprzestać o niej myśleć, a nawet, kto wie, czyby się wogóle udało... Lecz jak na przekór przychodziły mu myśli inne: ona dzieidziczka, a on... Zresztą była chwila, że nie chciał zważać wcale na jej »pańskie progi«, tembardziej, że widział u Kwiety coś więcej, niż sympatyę. Nie wiedzieć czemu, odganiał jednak te myśli od siebie, jakby mu krzywdę wyrządzały przez swe natręctwo.

Burza poczęła się wzmaczać coraz bardziej i zajądziej. To tam, to bliżej zabłysnął piorun, wyrwał się z chmur i wstrząsał powietrze łoskotem, jakby po dębowych schodach spuszczano ciężką, ołowianą kulę. Bezprzestannie prawie huczało dalsze dudnienie, to bliższe, to jęknął grechot tuż nad samą głową.

Szczęściem doszli do dworskiego ogrodu. Zygmunt poprosił odchodzących, by szli wolniej, gdyż chciał przeprowadzić lękającą się Kwietę jeszcze przez ogród.

Kwietka pożegnała się z Ossockim i Gąsliczem i znów chwyciła Zygmunta pod ramię. Uczyniła to sama, bez przypomnienia jej, trochę może z bojaźni, a trochę z miłości do Zygmunta.

— Panie Zygmuncie, ja się tak cieszę, że pana nie spotkało większe nieszczęście... Boże,

jaki pan szlachetny — mógł pan Ruczewskiego śmiercią pokarać, a pan nie... pan nie wystrzelił do niego... Jak ja kocham pana za to, nie, że Henryk żyje, ale, że pan tak pięknie postąpił ze swoim wrogiem...

— Mściwość, panno Kwieto, nie ma miejsca w mej duszy. Postąpiłem, jak człowiek, który życie rozumie z tysiącznych stron.

— Ach, to nie byłaby mściwość nawet, to sprawa czci... walka o honor...

— Tak, już wiem... Mogłem go tam zostawić, jak pragnął on mnie — ot, ta krew dowodem; ale co mi z jego śmierci?... Postąpienie moje chyba pojmie i uzna swoją nierozumną ekscentryczność, a to może być dla niego jedną nauką więcej, jak się powinno żyć.

— Jaki pan dobry i myślący... Och, żeby pan wiedział, jak ja o panu myślała dużo... tak mi pan zabrał myśli, że... — nie dokończyła dalszych słów, spuszczaając ciemne rzęsy powiek. — Nie powiem panu jeszcze teraz... może kiedyś... ja wiem... za dłuższy czas... — dodała po chwili i spojrzała nań całą ulewą żrenic.

— Dobrze, dobrze, panno Kwieteczko. Jestem szczęśliwy, że mogę czekać na kochane słówka pani... o będę czekał z utęsknieniem...

— Ja już pana pożegnaj... tu już dom... dziękuję panu...

— Niech pani ucieka do łóžeczka, by się nie przeziębic...

— Tak właśnie uczynię zaraz... Oj, tu się w domu muszą o mnie martwić, gdzie się podział — Jezus!... Zmokłam do nitki — ech, wstydę się... wyglądam, jak w kąpieli... — i spojrzała po sobie zarumieniona. — Do widzenia, panie Zygmuncie, niech pan uważa na ranę, inaczejbym się martwiła...

— Wypełnię wszystko, co pani zechce.

— Więc niech pan uważa... — podała mu dłoń, którą on nagle przycisnął do ust, przywarł na moment wargami do niej i, odwracając się prędko, dorzucił przyciszonym głosem:

— Rączki całuję... do widzenia.

Kwiera dobiegła pod dom i znikła w bramie. Na korytarzu, jak się zdawało, przywitał ją Largo wesołym szczekaniem.

Zygmunt wracał aleją z balsamicznym żarem w piersi i sercu. Błogość owionęła mu wnętrze, a na ustach czuł ciepło efebiego ciała jej drobnej rączki.

Burza huczała dalej i błyskawice ćwiartowały powalę chmur przeraźliwymi loty.

Spragniona przyroda piła do syta.

A żywioł grał swoją potężną pieśń i szalał...

VI.

Burza w nocy ustała i rankiem zbudził się prześliczny dzień. Rzeźwem spojrzeniem powitało słońko ziemię, modlącą się, jak na gody, odświeżoną pościelą lasów, łąk i pól.

Wśród takiej nieprzerwanej pogody upłynął tydzień.

Kwiera przez ten czas odwiedziła kilkakrotnie Zygmunta w domu, który z powodu niemocy ojca nie wychodził prawie nigdzie.

Stary Ossocki bowiem na trzeci dzień po pojedynku rozchorował się nagle i od tego czasu pozostawał w łóżku z coraz więcej wzmagającą się gorączką. Zawezwany lekarz stwierdził u chorego niebezpieczne zapalenie mózgu, lecz dał nadzieję, że pacjent za kilka tygodni przyjdzie do zdrowia zupełnie, gdyż ta choroba w starszym organizmie jest łatwiej wyleczalną i nie zostawia po sobie towarzyszących jej zwykle skutków, ale zalecił również jak najstaranniejszą opiekę i gruntowne stosowanie się do przepisanych zarządzeń.

W tych kilku dniach, mimo wszelkich zabiegów choroba przybrała gwałtowne rozmiary. Lekarz polecił teraz stawiać pijawki poza uszema, lecz i to groźnego położenia nie zmieniło zupełnie. Ogólna niemoc i gorączka wzrastała z każdym dniem, niepokojąc domowych coraz bardziej.

Zygmunt czuwał ustawicznie przy łożu ojca, wypełniając wskazówki lekarskie z całą punktualnością.

Na takiej pieczy mijały mu żółwio dnie i prawie nieprzespane noce. Siedział wkulony w fotelu, gotowy na każde skinienie ojca nieruchomy, milczący.

Kwiera nie schodziła mu z myśli, czuł, że przylgnął sercem do tego dziewczęcia, nie wiedzieć kiedy. Odnajdywał teraz w jej mowie, spojrzeniu i serdecznem współczuciu, jakie mu w chwilach odwiedzin, okazywała, że kocha go gorąco, pierwszą miłością, jaka wzbudziła się w jej wiosnianem serduszku, że miłość ta jest wielka, nie dekorowana, ale prawdziwa w swem majestatycznym i słodkiem upodobaniu, że to pierwszy rozpalony płomień, który obejmuje serce całą zachłannością swojego żaru, co się nie pyszni, ani wdzięczy — ale co sercu klękać każe w umiłowaniu, nad jedną postacią rozmotywa modlitwę duszy — i tą postacią przepaja myśli, co dzień nie widzenia się razem, czyni wiekiem szalonej tęsknoty... — odgadł, że taka miłość w niej ży-

wie całą potęgą i że jemu złożona w pierwszej i całopalnej ofierze...

I kochał ją wzajemnie — nie za tą miłość, którą rozgorzała ku niemu, nie za to, że krew zcałowywała z jego chusteczki, którą mu w dzień pojedynku zabrała, a z czem zwierzyła mu się wczoraj bezmyślnie i bez wyrachowania, jako niewinne dziecko — — — nie za to, że mimo spodziewanej burzy przybiegła za nim tam na groblę i drżała o niego, zawijając lęk w sercu, niby mimoza za najmniejszym dotknięciem — — — nie za to, że widział u niej majątek, — o, nie... ale ją kochał dlatego już, że ją pokochać musiał...

Bo miłość ta wdrapała mu się w piersi, jakby z cięciwą strzała, co się wycofać nie da, bo prześła serca i wnętrzności wydarłaby za sobą, gotując śmierć.

Kochał ją, bo to kochanie przyszło do niego jako coś koniecznego, omotało duszę ljanami miłosnych powoju nierozplątanie, przemocnie — — na zawsze.

I żał mu było tego rajskiego dziewczęcia, że je miłować musiał i że ono tak jego pokochało — bo kiedy najwięcej rozkoszował się niem w duszy, przychodziła myśl czarna, jako węglowy miał, że ta miłość na marne... Bo ona Kwietka magnacką córką, urodną jedynaczką, a on... z nazwiskiem tylko — i nic więcej...

Wiedział, że będzie cierpieć, że tej miłości doń

nie wykorzeni — nie potrafi, i że przez to ten kwiat zagubi sobie szczęście i złamie życie.

O sobie tu prawie nie myślał. Tylko nad nią ubolewał już teraz, i żal czuł jakiś ogromny, sam nie wiedząc do kogo.

Przy sposobności wczorajszej z nią rozmowy, ból palił mu serce, jako lawina gorejąca, bo widział prośbę w łaknących jej źrenicach, widział w tych ukochanych oczętach to niezmierne pragnienie jedyne go słowa odeń: że kocha... że miłość jej jest wzajemna — — — a on milczał, niby bez czucia głaz, albo mówił zwykle, najzwyklejsze słowa — — i widział, jak te źreniczne chabry zasnuwał smutek, taki beznadziejny prawie, otchłanny.

Cierpiał, dotkliwie cierpiał, ale słowa upragnionego przez nią nie rzekł — nie mógł...

Postanowił sobie, że swej miłości nie zwierzy jej nigdy, że uda zawsze obojętnego — — a to dla niej będzie kiedyś lżejsze do zniesienia, to przekonanie, że on jej przecież nie kochał...

A z czasem, może zapomni nawet, przecież tak młoda, inne silniejsze wrażenie ją porwie — a chyba i ten kilkudniowy czas ich spotkań tak się głęboko wkorzenić jeszcze nie mógł, że to uczucie, jakie się zwykle przeżywa w podlotczych leciech, — ot, pensyonarska miłość...

Tak sobie uzmysławiał, lecz zapytawszy się siebie o przyczynę miłości swojej, powstałej ró-

wniez w tych kilku zaledwie dniach — nie znajdował najmniejszej odpowiedzi, któraby go zadowolnić mogła, — lecz jeno miłość, stanowczą miłość.

Szukał przyczyny, aby to wmówić w siebie, jako tylko chwilowe wrażenie, ale odnaleźć jej nie mógł, bo w takich chwilach to uczucie wzmagalo się gwałtownie, jakby się czuło urażone w swem świętem zarzewiu i wzdrygało się na podobne przypuszczenia.

W chwili, gdy walczył tak z myślami, ojciec skinął nań przyzywająco. Zygmunt zbliżył się i stanął obok łóżka.

— Usiądź tu na krawędzi, chciałbym pomówić z tobą — przemówił chory, nie spuszczać oczu z pułapu.

Zygmunt usiadł. Ojciec przez chwilę milczał jeszcze, jakby namyślał się nad rozmową, którą miał rozpocząć.

— Trochę mi lepiej... gorączkę w głowie czuję mniejszą...

Zamilkł znowu na małą chwilę.

— Słuchaj, zastanawiałem się nad tem, jak panna Dolańska przyszła za tobą tam na groblę... Zauważyłem jej strach o ciebie i tu już kilkakrotnie odwiedziła cię w domu... W tem musi coś być... Bezinteresownie ona tu nie przychodzi... zresztą, widziałem to w jej twarzy, w jej spojrzeniu... słuchaj Zygmunt, ona się w tobie kocha,

co? — spojrzał na syna, który zbierał myśli, nie spodziewając się podobnej indagacji.

— Ależ, co też tato mówi... Ona podobno zaręczona z Ruczewskim. Gdzieżby zaś... Tak ci się tylko zdaje, ojciec... Dopiero kilka dni jak my się spotkali.

— Tak, tak... — przerwał stary Ossocki — kilka dni, ja wiem... ale mniejsza. Ja ci mówię, że ona w tobie zakochana... ale powiedz mi także, Zygmunt, czy ty się kochasz w niej... ja tak coś pozoruję... powiedz mi to otwarcie...

Zygmunt w pierwszej chwili nie wiedział, co rzec.

— Że mi się podoba — to prawda, nie będę tał, bo przecież każdemu podoba się piękna kobieta, ale żebym się kochał — tego nie powiem, bo oprócz sympatyj, niech tato wierzy, nic więcej do panny Dolańskiej nie czuję... Zresztą, choćby to było coś więcej nad sympatyję, coś, coby zakrawało na pewną niż miłość, tobym sobie odrazu wytłumaczył, że przecież Dolańska nie dla mnie...

Ojciec utkwiał wzrok w syna bez drgnienia powiek.

— Zygmunt, ja ciebie bardzo proszę, powiedz mi prawdę, po co masz kłamać, słuchaj — ja to chcę wiedzieć...

Zygmunt zawahał się. Nie wzwyczajony był do kłamstwa, a w podobnych zdarzeniach zwykł

był zamilczeć na chwilę, by móc się zastanowić nad odpowiedzią — i przez to wiedział, iżby się zaraz zdradził, gdyby skłamał, wybierał więc zawsze prawdę. Kłamstwa bez namysłu rzec nie potrafił.

— Widzisz, — przerwał ojciec jego wahanie — namyślasz się... nie powiedziałaś prawdy, bo nic nie odpowiadasz... ale ja wiem, Zygmunt, ty ją kochasz... Ja po tobie widzę, ja to, synu, czuję...

— A czyby co złego było, gdybym ją kochał? — zapytał, widząc, że nie ma co taić, a wyprzec się i skłamać nie chciał.

— Nic, nic złegoby nie było... nic złego... Żadna miłość nie jest przestępstwem, ani zbrodnią. Ale zaczekaj, ja ci to wszystko powiem... Słuchaj, matka w kuchni gotuje obiad — prawda?

— Tak, mama jest w kuchni.

— Patrz, tam w tej szafeczce ściennej, na pierwszej półeczce pod papierami jest zawinięta w kawałek aksamitu fotografia... Bądź tak dobry i podej mi ją teraz. To, co ci powiem, ma zostać przy tobie, nikt więcej o tem wiedzieć nie powinien...

Zygmunt podał ojcu żądany przedmiot. Ten położył go obok siebie, trzymając na nim rękę.

— Usiądź i słuchaj... — odwrócił oczy znowu na pułap, to przyknął je na chwilkę, jakby myślą wspominał i zbierał dawno ubiegłe chwile. — Nie mówiłem ci o tem nigdy, nie było po-

trzeby... i teraz może jej niema, ale ci powiem... — mówił wolno, wymawiając wyraźnie każde słowo. — Wiesz, kto był twój dziad, a mój ś. p. ojciec... Był to pan rozległych dóbr, człowiek wielkiego rozumu i rzadki miłośnik ojczyzny. Jako udzielny książę włodarzył w swoim pałacu w Jeszarach, gdzie i ja spędziłem pierwsze lata swojej młodości. Byłem jedynakiem. Miałem w domu swojskich i zagranicznych nauczycieli — uczono mnie i wychowywano, jako magnackie dziecko, bo tego rodu byłem. Tak upłynęło kilka lat, aż nadszedł rok sześćdziesiąty trzeci. Wiesz co było... Liczyłem wówczas lat dwanaście. Ojciec do rewolucyi nie należał z różnych politycznych względów, ale pomagał finansowo. Podobno na cel potrzeby ojczyzny ofiarował przeszło pół miliona rubli. Nikt nie wiedział o tem długo, miesiące szły, aż powstanie upadło. W miesiąc po jego upadku znalazł się zdrajca... Był to sąsiad ojca, bo ich majątki stykały się razem, Niemiec z pochodzenia, karyerowicz, zamaskowany denuncjator. Nazywał się Steinhoff. Ten zdradził ojca... Z tego, jak go znano, nikt nie chciał dać temu wiary, a jednak to był on... Ojca aresztowano i wywieziono do Moskwy. Przez rok toczył się sąd, wreszcie uwolniono ojca, a skonfiskowano cały majątek. Nie zapomniano również i o gotówce, będącej w jakimś banku. Był to cios straszny! Ojciec tego przeżyć nie mógł. Zamieszkał w Wil-

nie, i w dwa lata po onem zejściu — zmarł... W parę tygodni po śmierci ojca umarła także i matka... — Ossocki przerwał na chwilę i lzy zaświeciły mu w oczach.

Zygmunt siedział nieruchomy, jak posąg, i słuchał.

Po krótkiej przerwie Ossocki począł opowiadać dalej:

— Tak pozostałem sam... sierota. Brat matki, Orszyłło, wziął mię do siebie do Pogodowa. Tam przepędziłem lat pięć. Edukacyi mojej prawie zaniechano — ot, nie wiem, po co mię nawet wzięto do siebie. W tym czasie wujostwo wydali zamąż dwie córki — więcej potomstwa nie mieli — i majątek rozdzielili pomiędzy obiedwie. Byłem im widocznie ciężarem, bo oddano mię innym krewnym, a mianowicie ciotce, wdowie mającej kilkoro dzieci, a mieszkającej koło Grodna na Litwie. Liczyłem wtedy dziewiętnasty rok życia. U ciotki mieszkalem blisko dwa lata. Było mi tam nie najgorzej — ot, żyłem na łasce i niełasce. Taki już los, gdy braknie dziecku rodziców... W pobliżu nas mieli państwo Giżewscy niewielką posiadłość, Borki. Bywałem często u nich z ciotką i oni zajeżdżali do nas.

— Czy to ci Giżewscy — przerwał Zygmunt — z których pochodzi pani Dolańska?

— Tak ci sami... Ale czekaj, dowiesz się

wszystkiego... — Tu stary zamilczał znów na chwilę.

Zygmunt siedział zaciekawiony, bowiem ojciec nie wspominał mu o tem jeszcze nigdy.

— Tak, bywaliśmy u Giżewskich, a raczej ja najczęściej... Mieli trzy córki i jednego syna. Najstarsza była Ania... Było to dziewczę piękne, jak anioł, i jako anioł dobre. Kochaliśmy się w tajemnicy, schadzali ukradkiem, bo gdy się Giżewscy dowiedzieli o mych amorach do ich córki, prawie, że mi zabronili wstępu do swego domu. Później, jeśli przybyli do nas z wizytą sąsiedzką — to już bez Ani... Wiedzieli kto jestem, a traktowano mię, jak podrzutka... Boże!... co ja przeszedłem... — Tu przetarł ręką po czole, jakby larwę wspomnienia chciał wygnać z myśli. — Jak mnie to dziewczę kochało... a ja je... Bóg tylko wiedział i my nieszczęśni... Wydano ja gwałtem zamąż... Mdląła... popadła w niemoc... aż wreszcie uległa!... Wyszła za Dolańskiego z Galicyi, z Olszowca. Barbarzyńskiego zaprzędania tego anioła przez własnych rodziców, byłem świadkiem... Myślałem, że runę na ziemię lada moment bez życia... Szał mi się chwycił mózgu, bano się mię, jak najniebezpieczniejszego waryata... Nie panowałem nad sobą w tym bólu. Rozpacz szalała we mnie, jak tajfun! Boże... ona mię tak kochała... była mi droższą, niż bóstwo, niż wszystko na świecie!... Och, Aniu, Aniu!...

W oczach chorego ukazały się łzy i poczęły ściekać po rozognionej twarzy na bujną brodę. Boleść wielka widniała w jego obliczu spokojnem i poważnem prawie do wyrazu surowości. Wysokie czoło pofałdowały mu nagle głębokie bruzdy, jakby podłużne nacięcia noża.

— Niech się tato nie wzrusza, to może zaszkodzić. Lekarz zalecał spokój...

— Tak mnie kochała... — przerwał synowi, powtarzając: — anioł to był... anioł... — ból poruszył mu wargami i począł niemi drgać, jak wiatr liściem. — Tyle mi pozostało — patrz... boleść do śmierci i ta oto jej podobizna...

Popatrzył zalżawionemi oczyma na fotografię i podał ją synowi. — To ona, synu, to ona...

Zygmunt wpatrzył się w obraz, ale podobieństwa w nim do dzisiejszej pani Dolańskiej nie dostrzegł prawie żadnego. Chyba układ twarzy zdradzał pewne wspólne cechy, ale i te były jakby zamglone. Tylko, gdy spojrzał w oczy, poznał, że takie same, duże i obejmujące słodką błogością wejrzenia — ma Kwietę. Tak, jakgdyby to oczy, przepastne, ciche...

— W ostatni wieczór naszego widzenia — począł uspokojony nieco Ossocki — dała mi tę pamiątkę... Widziałem ją jeszcze później, gdy odjeżdżała z mężem do Galicyi — — i ona mię dostrzegła... Och, pamiętam — i to spojrzenie w godzinę śmierci będzie mi stało w oczach, jako osta-

tni znak miłości... Jakby to dziś było — widzę, jak wsiadła do pociągu, niby skazaniec, albo cień... Odjechała... A ja pozostał z goryczą w piersi i ze szaleństwem myśli. Powietrze dusiło mię, jak dym siarczany, śmiech ludzi pędził w pola i lasy... sierotą byłem biednym — i to, co ukochałem — straciłem...

Wyjechałem do Ameryki. Nie wstrzymywano mię — owszem, dano nawet pieniądze na podróż.

Po jakimś czasie znalazłem u pewnego bogatego fabrykanta zajęcie: uczyłem jego dzieci gry na fortepianie. Miałem pieniądze, mogłem żyć o własnych siłach. Tak było przez półtora roku. Później fabrykant wyjechał do południowej Ameryki — i znów zostałem bez zajęcia. Podobnego nie mogłem już znaleźć. Poszedłem do kopalni węgla. Pracowałem tam, jak zwierz, przez jeden miesiąc i rozchorowałem się ciężko. Com miał pieniędzy, wydałem na lekarzy — po kilku miesiącach przyszedłem do zdrowia. Byłem bez chleba i grosza. Szczęściem spotkałem Polaka z lepszej robotniczej sfery, ten wystarał się o lekką pracę w tkalni. Po roku zostałem kantorzystą tej przędzalni. Miałem piękne dochody, byłem na drodze do majątku — założyłem własny interes, kupiłem nawet mały dom. Po kilku latach miałem już pokaźny kapitał. Kupcy wciągali mię do giel-

dy — raz zarobiłem w dwójnasób — na raz drugi straciłem prawie wszystko.

To mnie złamało. Myślałem, że po jakimś czasie wrócę do kraju i kupię jaką posiadłość ziemską — niestety... stało się inaczej. Giełda pochłonięła cały kapitał, jaki miałem.

Sprzedałem dom i sklep za marną cenę i postanowiłem wrócić do Polski. Źle mi było i za oceanem — ta nieboga stała mi zawsze w myśli i odbierała hart do wszystkiego. Przyjechałem do starego kraju. Zamierzałem zamieszkać w Galicyi i na jakiej marnej posadzie oczekiwać śmierci. A miałem dopiero lat dwadzieścia ośm...

Szczęśliwym trafem w Olszowcu wakowała posada organisty — dostałem ją łatwo. Charakter zajęcia był mi obojętny — ból gryzł mię zawsze. Wiedziałem, że ona tu jest, ta Ania, bo pamiętałem, że jej mąż przyjechał po nią z Olszowca. Chciałem tu być, by być niej blisko i widzieć ją czasem. Och, gdyśmy się razu pierwszego spotkali... Boże!... Ale to wszystko już przeszło...

Wnet po tem spotkaniu zachorowałem ciężko — i leżałem w łóżku prawie rok. Przez czas ten opiekowała się mną z całym poświęceniem córka tutejszego byłego organisty, młode dziewczę, o złotem sercu. Przychodziła często i pani Dołańska — tak przychodziła...

Nie słyszałem w życiu o takiej pieczy nad obcym człowiekiem, jaką mi ta dziewczyna oka-

zywała — i może dzięki jej staraniom przyszedłem do sił.

Niedługo potem ożeniłem się z nią, tak kochany synu — to twoja matka.

Zakochała się we mnie, byłem jej dłużen morze wdzięczności — zrobiłem jej więc ofiarę ze swego życia. Dobrą była zawsze — och, dobrą, do dnia dzisiejszego, ale jam jej nigdy nie kochał... — tu głos jego stawał się coraz cichszy. — Widziała u mnie zawsze pewną oziębłość, chociaż tej nie okazywałem jej całą siłą woli — jednak to czuła... Nie знаła powodu tego, przypisywała to więc, dla swego uspokojenia, memu usposobieniu. Dopiero, gdy mi dała ciebie i dwie córki, przylgnąłem do niej bardziej, myślałem nawet, że zapomnę o tamtej — ale nie! Tamta do dziś dnia pozostała mi taką, jaką mi była ongiś, tam... w Borkach...

Pogodziłem się z losem, ale boleść w sercu została — i pozostanie do śmierci.

Pokaż, niech się popatrzę jeszcze na nią, jaką-m ją poznał i pokochał, pokaż synu... — wziął z rąk Zygmunta fotografię i oczy na nią wyszczerzył, jakby całą duszę w nie wlewał i wszystkie wspomnienia przywoływał do żreń.

Wtem zaturkotały koła po ziemi i przed dom zajechał powóz.

Zygmunt popatrzył przez okno.

— Pani Dolańska przyjechała z panną Kwietą i jakichś dwóch panów jeszcze... — oznajmił ojcu.

Obaj zdziwili się wielce tą niespodziewaną wizytą.

Przybysze weszli do pokoju. Zygmunt powitał ich niskim ukłonem przy drzwiach i chory również skinął nieznacznie głową.

W tej chwili weszła do pokoju pani Ossocka, zdziwiona nieoczekiwanymi gośćmi.

— Państwo wybaczenie nasze niespodziewane przybycie — odezwała się pierwsza pani Dolańska — ale dowiedziawszy się od córki o niemocy pana Piotra, uważałam za stosowne poprosić dwóch panów doktorów, specjalistów chorób podobnych — i posłałam powóz po nich do miasta. Właśnie panowie przyjechali przed chwilą, towarzyszymy im więc z córką.

Z kolei przywitali się między sobą.

Ossocka i Pan Zygmunt podziękowali dziadczce za tak wspaniałomyślną pamięć — i podano przybyłym krzesła.

Dolańska usiadła na krawędzi łóżka i poczęła wypytywać chorego o stan choroby. Oczy ich spotykały się co chwilę głębokiem wejrzeniem, w którym było jakieś wspólne tętno, jakby jednaka myśl i jedna istota dusz.

Reszta towarzystwa usiadła przy stole, rozmawiając na zwykły, przy takiej okoliczności, temat.

Wzrok pani Dolańskiej nie schodził z twarzy Ossockiego — przylgnął do niej całą siłą myśli i można było poznać, że te myśli musiały być bolesne, że cały chaos niezatartych wspomnień pławił się w nich wyraziście, jakby te obrazy, które w tej chwili przeżywała duszą, stały się dopiero wczoraj, bo wyraz źrenic oblał naraz jakiś głęboki cień, niby czarna opona smutku.

Oto spojrzenie ich złączyła miłość, która przez tyle lat tliła się niewygaśle w ich sercach, która nie zmieniła się nic, bo jeśli nieco przygasła w swoim wiośnianym blasku — za to skamieniała w swej istocie i zrosła się z duszą w jedną całość.

Była to miłość ta sama — jaka rozkwieciła się między nimi — tam, w Borkach, na Litwie, jaka ich rozłączyła na długie lata, i oceanem przedzieliła — i dziś po latach trzydziestu pięciu była taka, jak w on dzień, kiedy słowo »kocham« zwierzyli sobie w skrytości...

Po chwili wzrok pani Dolańskiej zatrzymał się na fotografii, którą obok siebie położył Ossocki, zoczywszy przed domem powóz — poznała ją odrazu...

Chory pod wpływem prędkiego wrażenia nie miał czasu jej ukryć.

Coś, jak ostrze noża, drasnęło serce Dolańskiej.

— I teraz o tobie myśli... — szepnęła jej myśl —

ciągle o tobie... Podobizną twoją się pieści, którąś mu dała wówczas — pamiętasz?... Dziś on po tylu latach patrzy się w ciebie, jakby wierzył, że młodość powróci się — i ty doń przyjdiesz z miłością dawną... przyjdiesz z daniną serca — i zostaniecie w szczęściu na cały bieg żywota, rozmiłowani w sobie rajsko, w urodzie słonecznych chwil...

Obraz dziewczęcych lat stanął jej w myśli, jakby coś strasznie obecnego.

Jedną chwilą przebiegła one czasy — aż do dnia dzisiejszego, po raz już może niezliczony.

...Poznanie... miłość... dnie niewysłowionego szczęścia, a potem... potem grom... Rozłączono ją z umiłowanym, a związano z człowiekiem, którego, nie kochała... którego nienawidziła... Który był dla niej strachem... Miała wówczas lat ośmnaście, a on dwadzieścia dziewięć... Bogaty był, przystojny i niezmiernie dla niej dobry, chociaż wiedział, że wyszła za niego z przymusem, z konieczności...

Były chwile, że płakał u jej nóg, widział się nie kochanym, — czuł się tylko narzędziem, które jej ból przynosi — wiedział, że zawsze kochała tamtego — — — i tak płynęło tępo życie...

Mimo jego dobroć, mimo łzy i niewolniczą miłość, został jej do dziś czemś obcem, dalekiem.

Litość ją brała czasem, za cenę bólu wyrzekła

mu cieplejsze słowo — i tak szły dnie duszno, nieswojsko, jakby więziennie.

Dała mu syna... Czołgał się, jako pies u jej nóg z radości, myślał, że to dziecię zbliży ich serca — a jednak nie...

Dziecię po roku umarło, za kilka lat przyszło na świat drugie — również syn — — i to Bóg zabrał po kilku tygodniach życia.

Od urodzenia drugiego dziecięcia zapadła na zdrowiu na kilka lat. W tym czasie pomarli jej rodzice; brat i siostry odwiedzali ją rzadko — została już tylko sama. Mąż gryzł się, stał się milczący, jak grób, czasami płakał pokryjomu.

Ciężkie było współżycie.

W tym czasie przyjechał do Olszowca Ossocki... Spotkali się... wróciły żywsze wspomnienia i wzmógł się ból...

On, Piotr, zawsze jedną mocą kochany, przybył tu, po tylu latach, jako organista — do tej wsi, gdzie ona była dziedziczką i kolatorką... Wiedziała, że jej nie zapomniał, że kochał, jako wtedy... Mówił jej o swoich przejściach, rozmawiali dość często, chociaż on jej unikał... Żał się odnowił za utraconem szczęściem, jakie kojarzyli kiedyś — — — i tak szedł czas...

W trzydziestym piątym roku powiła córkę — Kwietę. Dziecię chowało się pięknie — to rozjaśniło nieco matkę i ojca. Ciepleszy promyk zbliżył ich trochę do siebie, ale właściwa przepaść

pomiędzy nimi — została. Tej nie mogło zrównać nic — bo ból w sercu pozostał — na zawsze...

W oczach pani Dolańskiej zaświeciły łzy. Tłumiła je nieznacznie, a jednak chory je dostrzegł — wyczuł.

Poznać było po jej twarzy na pół ascetycznej, porytej zmarszczkami i przetrawionej tyloletnim bólem, że mimo pięćdziesięciu trzech lat — jest twarz prawie staruszkii. Włos s'wiał już gdzieś nęgdzie, na rękach widniały sznureczki żył.

Bił od niej całej jakiś marmurowy spokój i wielka duchowa godność.

Nie odrywała ócz od leżącego — wyraz jego twarzy, szczerość wylana i to wejrzenie głębokie — wszystko to pozostało takie, jakie w latach wiosnianych poznała. Tylko broda czarna, z małym odcieniem szpakowatości, zmieniła nieco dawną pogodność tej twarzy i uposażyła ją spizową powagą.

Jednakże wystarczyło jej popatrzeć na Zygmunta, by sobie uprzytomnić młodzieńczy wygląd Piotra, a zresztą... miała go w oczach mózgu i codzien prawie oglądała na fotografii.

Teraz ujęła w dłoń rękę chorego, badając puls. Z całą szczęśliwością byłaby przyłgnęła ustami do tej ręki, błagając o przebaczenie — ból w piersiach naglił ją do tego kroku — — wiedziała, że przez nią nieszczęśliwym pozostał, jednakże wstrzymała się — — — on wiedział przecież,

że to nie było z jej winy, wiedział, że kocha go do dziś dnia...

Teraz zbliżył się do łóża chorego jeden z lekarzy i począł wypytywać o szczegóły choroby.

Za chwilę kobiety wyszły do przybocznego pokoju, pozostał tylko Zygmunt, by w razie potrzeby być na usługi lekarzy. Rozpoczęło się badanie.

Osocka zabawiała panie rozmową, tyczącą się przeważnie niespodziewanej niemocy męża, obcierając co chwilę łzy fartuchem.

Była to kobieta już niemłoda, przeciętnego typu, o nadzwyczaj ujmującej twarzy. Łagodność wielka rozlewała się po jej obliczu, harmonizującym wielce z całą postacią, troszkę za otyłą, jaką zwyczajnie spotyka się u kucharek, zaokrąglonych i rumianych.

Była ubrana po wiejsku, bo tak się od dziecka nosiła.

— A kto to, proszę pani, czy panna Zosia i siostra? — zapytała Kwietka, spoglądając na dwie fotografie, wiszące na ścianie tuż obok siebie, w rzeźbionych jaworowych ramkach.

— Jaśnie panienska nie może poznać? Tak, to moje córki — ta Zosia, a ta druga Anielcia — wskazała palcem Osocka.

— Ach, tak — przypatrzyła się bliżej — rzeczywiście... Pannę Zosię trochę poznaję, chociaż

bardzo źle udana, ale że to Anielcia — tobym nigdy nie zgadła; niepodobna zupełnie.

— Prawda, że obie źle udane? Zdejmował je pan Gąslicz podczas świąt Bożego Narodzenia. Nie było dobrego światła, jak mówił, dlatego takie niewyraźne. Jaśnie panienka widziała ich już dawno, myślę, że ze dwa lata?

— Tak, już przeszło dwa lata. Ale naprawdę, jak one się ogromnie zmieniły... — przyglądała się Kwietka. — Popatrz się, mamó, jakie panna Zosia ma śliczne włosy... — zwróciła się do matki — jakie grube i długie warkocze...

Pani Dolańska przypatrzyła się zblizka, wychwalając również.

— Czy panna Zosia — zapytała — wnet już ukończy szkoły, bo ona, jak mi się zdaje, starsza — nieprawdaż?

— Tak, Zosia starsza. Właśnie tego roku będzie zdawała maturę; Anielcia zaś uczęszcza na drugi kurs. Mieliśmy pisać po nie teraz, gdy się ojciec rozchorował, ale myślimy sobie, po co smucić biedaczki, może się choroba zmieni na lepsze... Bóg-że wie, jak to będzie... — tu znów obtarła łzy zapaską.

— Nie rozpaczajcie, pani Piotrowa — pocieszała ją Dolańska — choroba nie jest znów tak groźna, zresztą panowie ci, specjaliści, jeden z nich profesorem medycyny — da Bóg, że zbadają chorobę należycie i będzie dobrze. Pan pro-

fesor, to przecież słynność u nas w Galicyi, człowiek ogromnej wiedzy na tem polu — nawet zagranicę wzywają go do chorych... Niech pani ma nadzieję, że i tu jego wiedza okaże się owocną — ja tak w niego wierzę...

— Nie wiem czem wywdzięczę się pani dzie-dziczce za taką wielką dobroć — naprawdę, że nie mam słów podziękii...

— Ach, o to się tu nie rozchodzi, mniejsza o wszystko — westchnęła pani Dolańska — żeby tylko pan Piotr był zdrow...

Myśl jej zadumała się teraz nad czemś głęboko i smutkiem wielkiem oblała twarz.

Dostrzegła Ossocka ten smutek, przypisując go niezmiernie dobremu sercu dziedziczki. Nie wiedziała, że tu przed nią stoi kobieta, która od dawnych lat zabrała serce jej męża i więzi je dotąd, że tu dziś pod tym dachem są ci, którzy kochają się od pierwszej młodości, że ta miłość pomiędzy nimi żywie dotąd, że mimo ból i taki przeciąg czasu — ta miłość się nie zatarła, lecz pozostała niezmienną, że tu do ukochanego przyszła wierna kochanka — z tem samem sercem, jak ongiś pokryjomu — — — tak wierna... po-mimo wszystko, wierna...

Że ma przed sobą rywalkę, od pierwszych chwil, że to ona zabrała ciepło serdeczne jej męża, że to on o niej myślał zawsze, że ona była jego zadumą głuchą przez lata one — do dziś...

Kwiera przez ten czas przyglądała się fotografii Zygmunta, którą spostrzegła nad jego łóżkiem. Wyglądał na niej, jako student, w mundurze ośmioklasisty. Radość wystąpiła jej na twarzy — czuła, taki był na niej piękny, tak jej się niezmiernie podobał... Odgadła w sobie, że mu w mundurze lepiej, bo cała postać rysowała się piękniej, — taka była gibka, opięta... Tylko oczy były jakby nie jego, bo te u Zygmunta były stłozne, przejmujące i głębokie w wejrzeniu, jak toń. Na fotografii tego nie można było dostrzedz, tu były jakieś śmiejące się, więcej figlarne.

Postanowiła sobie poprosić Zygmunta, bo rozglądnęła się po pokoju, jednakże drugiej nie było.

Teraz przyszła jej do głowy myśl współczująca, dlaczego Zygmunt mieszka w takim małym domu, gdzie tylko dwa pokoje i kuchnia, a meble takie proste... Cóż to, parę ceratowych foteli, te dwa dywany, jeden na ścianie i ten wytarty na podłodze z desek... Wszystko takie skromne, stół, szafy i kilka świętych obrazów... I tamten pokój taki sam...

Porównując go z pałacem swoich rodziców, gdzie było tyle zbytku i wszelakich ozdób, drogie nakaty i perskie dywany, portyery, żyrandole i drogocenne obrazy, przeróżne dzieła sztuki — słowem, wielkopańskie sprzęty, dochodziła do tego, że ten dom jest bardzo ubogi, prostaczy...

Ale, gdy pomyślała, że tu się Zygmunt uro-

dził i wychował, że tu on mieszka — — to ona chata stała się jej tak drogą i miłą, iżby się chętnie zamieniła na takie ciche, spokojne gniazdo, byle tylko być z Zygmuntem, byle z nim razem — i żyć tu w szczęściu i ukochaniu przez całe wieki.

Po jakiejś chwili skończyło się badanie. Lekarze orzekli, co ich poprzednik — groźne zapalenie mózgu.

Przepisali lekarstwo, nadzieję dali również — i na tem skończyła się wizyta.

Odjechano do dworu, gdzie zaproszono ich na obiad.

Pani Dolańska przyobiegała przysłać lekarstwo wieczorem i przyrzekła swe odwiedziny na dzień jutrzejszy.

Zygmunt odprowadziwszy gości do powozu zauważył, że twarz pani Dolańskiej przybladła wielce. Stała się teraz prawie milcząca. Żegnając się z nim, szepnęła mu na boku półgłosem:

— Słyszałam od Kwiety o pańskim pojedynku — gratuluję panu postąpienia, choć można było strzelić inaczej... Wiem wszystko... Żałuję, że byłam nieobecna podczas zejścia się panów u nas, ale to już przeszło. Przepraszam również za nieprzyjemność, jaka spotkała go w mym domu, czuję to i przykro mi niezmiernie...

— Ależ pani dziedziczko... — przerwał Zygmunt.

— No, no... pogadamy o tem kiedyś przy spo-

sobności, szczerzej, dokładniej... na razie do widzenia... — podała mu rękę, którą ucałował serdecznie.

Kwietka przy pożegnaniu przesłała Zygmuntowi głębokie spojrzenie, pełne rozkwitłej miłości i jakby smutnego oczekiwania czegoś, oraz gorący uścisk dłoni.

Mimo to jednak powrócił do pokoju chmurny, z całym rojem wszelakich myśli i przeróżnych przypuszczeń.

W drodze do domu pani Dolańska zapytała profesorów o rzeczywisty stan choroby, na co usłyszała odpowiedź prawie odmienną.

— Stan nadzwyczajnie groźny i beznadziejny. Jeśli organizm przetrzyma kryzys — umysł przypłaci to kalectwem. Ratunku innego już niema.

Coś, jakby silna, żelazna ręka, ścisło jej serce.

Ossocka pozostała jeszcze przez chwilę w pokoju, wypytywała syna o różne szczegóły — i wyszła do kuchni przyrządzać obiad.

— Czułem, że ona tu przybędzie... — odezwał się po pewnym czasie chory — och, tak czułem... Przeczucie mię nie omyliło.

Zygmunt stał przy oknie milczący.

— Przywiozła do mnie profesorów, — mówił, jakby do siebie — piecziwa była o mnie od początku, niegdyś w całorocznej chorobie — i teraz

nie zapomniała... Wdzięcznym jej, o!... wdzięczny...

Co chwilę urywał, jakby powietrza brakowało mu w piersi, lub jakby słowa grupował w rozpalonym mózgu.

— Jak nieodgadnionym jest los — zaprawdę... jakie niezbadane przeznaczenie... Ludzi poznaje, rozpala miłością — i rozłącza w najokrutniejszy sposób... Do tacek cierpienia zaprzęga niewolniczo — a czemu?... Ludzi — i zwodzi... obiecuje — i drwi... przymila się — i wtrąca w otchłań bólu...

Uśmiecha się do człowieka całą rozkoszą... Ony rozwija urodziwe — — i człowiek wierzy, ufa swą duszą — aby później każdy ten uśmiech, każdy promyczek zakosztowanego szczęścia, każdą chwilę jasno przeżył — zapłacić zdrojem łez, przepaścią cierpień i topielą goryczy...

Och, tak...

Wyhodzi go kwiat, barwami go otęczy, czarem owieje — aby go później przytłoczyć skalą i zmiażdżyć...

Rozpłomieni szczęście, urozkoszy je chwilo-wo — by mrokiem potępienia zalać, zadusić...

I tyle łez, tyle cierpiennych istot zostawia na pastwę swego wściekłego zamysłu, swojego jadu...

Zygmunt słuchał tych słów i wzdrygał się w duszy, by jego to zachłanne, potępieńcze ramie nie dosięgło, by w klatę swych jadowitych żeber nie wciągnęło to przeznaczenie, ten los...

W myśli stała mu Kwietka — ten sen pieściwy... Przyszłość stanęła przed nim w tysięcznych obrazach — to jasnych, to ohydnych, jako oślizgły gad.

Czuł szczęście, co już stwarzało się jemu, powiew rozkoszy słodził mu duszę — — to wyotchłaniała się przed nim czeluść nieszczęścia, jako potwór z jamą pyska, zieżącego chytrą głodu i powojami polipowych macków.

Obrazy te stawały blisko niego, że je odczuwał prawie — to oddalały się, przyciemniały i nikły.

To zjawiała się przy nim Kwietka w tęczy uroku i krasy, z powodnią szczęśliwości w anielskiej twarzy, efebiem ciałem przytulała się do niego głodem pieśczoły — — to widział ją gdzieś na najdalszym krańcu swych pragnień, swojego ukochania — jako jedyny powód i tą siłę, co go pociąga wolno nad oberwisko zatratnej otchłani... na dno zguby...

— Synu, usiądź tu jeszcze... — zwrócił się do niego chory — niech ci dopowiem, co piersi gnienie mi jeszcze, co spokój bierze. Czuję, że tu nie pomogą mi profesorzy, ni specjaliści, chyba... jeden Bóg. Za dużo cierpiało się na świecie, ten ból będzie ostatni... Na więcej nie ma już miejsca, ani odpornej mocy...

— Niech tato tak nie myśli... doktorzy są pewni uleczenia i zdrowia...

— Niech będą pewni... Ja wiem, co się we mnie gotuje, wiem, co ten war w mózgu, czuję... Ale słuchaj... ty Kwietę kochasz?... Ja wiem, co miłość — — ofiarą jestem tej mocy... Dziecko, to będzie dla cię — nieszczęściem!... Jej świat odrzuci ciebie — jej matka... a ty?... wiesz, co ci pozostanie?... to, co pozostało mnie!

-- Znam jej ojca... przyjmie cię, ugości, serdecznym będzie, jak najwierniejszy przyjaciel — ale córki ci nie da!... Znam go, to człowiek nie tego wieku, dawnych przekonań, to stary pergamin, którego treścią jest: koligacya, łączenie rodów i fortun... Ma jedynaczkę urodną — znajdzie... Ja wiem to wszystko!

Ruczewski... to tylko polityka Dolańskiego, to manewr, który teraz jest mu konieczny... To są sprawy pewnych posiadłości, pewnego kupna... Ma w tem swe cele...

Dlatego zwleka — nawet tych młodych nie zaręczono, wiesz przecież...

Tak, on nie myśli o Ruczewskim, on szuka hrabiowskiej korony, lub mitry książęcej...

A ty biedaku co? Jesteś bene natus, z rodu starego, ale brak ci fortuny, nie jesteś posesionatus...

Dziecko, mnie się tak zdaje, że to dziewczę będzie dla ciebie zguba! Po co istota mego nieszczęścia zrodziła kwiat, który znów to nieszczęście przyniesie memu synowi?... — obrócił oczy ku górze i zamilkł na chwilę. — Boże, nie do-

puścić, by szło to w pokolenie... Chociaż tu okazał się miłosiernym, prawdziwym ojcem...

Spojrzał na syna.

— Zygmunt, powiedziałem ci wszystko... Nie jesteś dzieckiem, zrozum tę sprawę, a później... czyni, jak chcesz. Ja swoich myśli narzucać ci nie będę, nie mogę... Niech Bóg to sam urządzi wedle swej woli... Wszystko na świecie jest nam sądzone od pierwszej sekundy życia — — — to Przeznaczenie...

Och, gdyby choć przeczuł... gdybym przejrzał twą przyszłość, co ciebie czeka, co ci pisane — Boże!... Spokojnie ległbym w grobie...

Zamilkł ze łzami w oczach.

Zygmunt oparł się wzrokiem o podłogę, a myśl jakaś przeogromna, ciężarna, przygniotła mu mózg i zadusiła mowę.

Milczenie rozsiało się w pokoju tępe i głucho, niby dno smutku.

A za oknami nizała wiosna marzenia urodziwe...

VII.

Ledwo uchwytny mrok szarzał jeszcze w powietrzu.

Topniał nieznacznie, rozplýwał się, jak szara mgła, bielał stopniowo i nikł, niby płowa kropla w krynicznej wodzie.

Atomy mroku gnały gdzieś, jakby wiatrem pędzone na wsze strony, przyczajały się gdzieś — to znów się gubiły — jakby ukrywały się przed pierwszymi strażami dnia i coraz jaśniejszą falą, co stworzyła się na całej przestrzeni widnokręgu przemożnie, jakby z podziemi wypływając.

Świt...

Nie wiedzieć kiedy, wschodni kraniec nieba przyoblekał się ledwo dostrzegalnym rumieńcem, jak kolor kremowej róży, przebijającej się przez kilka draperyi lekkiego muślinu.

Z każdą chwilą stawał się coraz wyraźniejszy, mocniał w barwie na coraz to szerszym splechciu, jaśniał rumianym uśmiechem, to znów dobierał

sily i nabiegał krwią, niby wyteżona tchem twarz, coraz bardziej, bezustannie.

Zdawało się, że w tą rozpyl różaną wpadł nagle błysk, niby lancet promienia, za chwilę — drugi, trzeci — — to wszystkie znikły znów, ukazały się dłuższe, bardziej jasne, jak błysk sztyletu w słońcu — i te cofnęły się prędko, aby za moment ukazać się w liczniejszych migach i razach.

Grały tak naprzemian i gasły, a niebo czerwieniło się w coraz gęściejszym kolorze i purpurowało.

Zewsząd wiał chłód.

Rzeźwość pachniała w powietrzu, niby silny aromat.

Nieprzeliczona ilość kropelek rosy perliła się na kończynach traw, ząbkach liści i kwiatnych płatkach.

Zbudzone kwiaty pootwierały świeże kielichy-oczy, sen z nich już ubiegł — natomiast wstąpiło w nie życie młode, śmiejące się rzeźkością namiętą, jasnym spojrzeniem i pogodą rozkosznego czaru.

Jakgdyby wilż namiętności, wypłynęła rosa na ich korony ust, czekające na przyjście kochanka-słońca w utęsknieniu, na jego żar spojrzenia, gorący opłot promieni i cichą, ciepłą pieszczotę.

I oto, jakby tęsknota wywabiła ukrytego kochanka, jakby te oczy miłośnie wyczekujące przy-

ciągały go swą mocą kochania, bo z za lekkiego wzgórza, zielenią zbóż strojnego — wystrzelily nagle promienie, niby ogniste race — — i w ich asyście wyjrzał rąbek jasnej jego źrenicy, to znów się ukrył w zwodnej pieszczocie, raketował znów — — i wyjrzał spragnionem okiem wesoło, z powodzią szczęścia.

Czysta jego źrenica, jak nieskalane złoto, spojrziała w rozkosznym umizgu wokół, na całe wy-
czekujące otoczenie — i spoczęła na niem ulewą pieszczot ogromnych, prawie żywiołowych.

Jakby ciche westchnienie rozkoszy, albo wstrzymanie tchu z podziwu — drgnęła czucie przyrody, rozplynęło się, jak fala balsamu na wszystkie strony, do najdrobniejszej szczeliny i trawki — — i omdlało w zachwytnem spojrzeniu, niby w rozkosznej ekstazie.

A jednak to ciche omdlenie było żywe i rzeźwe, jak strumień wody źródlanej — i jako omdlenie młodego dziewczęcia, upojonego be-
miarzem pieszczot, któremu rozkosz zadławiła czu-
cie i ubezwładniła trzeźwą świadomość — ale wyraz liców świeżuchnych pozostał ten sam ru-
miany, podniecony jeszcze pragnieniem krwi i dreszczem młodego ciała.

W uwielbieniu i podziwie spojrzało w naturę słońce, jak rycerz w urodziwą postać wyswobodzonej z zakłętego zamku królowny — — i lawą

pieściwego wyroku padło w objęcia wiosny-kochanki.

Przeliczne głosy ptasząt poczęły łączyć się w hymny i śpiewać ranne hosanna na powitanie dnia i jasną jego szczęśliwość.

Wszechżycie zadrgało bulgotem tętna.

Tam wybiegło na świeżą ruń kilkoro saren, rozglądnęły się, jakby bojaźliwie — i poczęły baraszkować w zgrabnych podskokach, ocierając się o siebie w pieściwych susach, w głębokich i nagłych wejrzeniach, jakby radość rozszalała się im w piersiach i pobudzała do niewinnych igraszek i psot flirtowych.

Tu bocian już brodzi po trawie, kierując złotawym dziobem na wszystkie strony — — tam stado czajek w waryackich młynkach rozkliwiło się żałośnie, samo nie wiedząc czemu — to znów różnorodne ptactwo przelatywało powietrzem — jeden tylko skowronek był stalszy w swych pieśniach, bo zawisł, jak na pajęczej nici w szafirze nieba i nizał donośnym głosem przeliczne strofy — bezustannie, to spadał za jakiś czas na ziemię nagle, wypuszczony kamień z procy — — posilał się widocznie w trawie i znów unosić się począł w przestworze w rozkoszным śpiewie.

Tak, jak strzała śmignęła, zwinna jaskółka, zda się, musnęła czarnymi skrzydełkami zająca, co usiadł w rośnej, ponętnej koniczynie, ruszając wydłużonemi słuchami, jakby się bał, by go nie

spłoszono z porannej uczty — — i poszybowała błyskawicznym lotem, uganiając się w zawrotnych kołach i elipsach za drobiem rozlicznych muszek.

Życie w polu zagrało całą gamą. Tu i tam odezwał się poryk bydła, pastusze nawoływania, które akustyka świeżej przyrody roznosiła donośnem echem, jako codzienną pieśń.

Od strony wsi dolatywały liczne wrzaski i głośne pianie kogutów.

Zadźwięczały metalicznie kosy, trącane klinami oselek — — tu i ówdzie ruszał się rytmicznie kosiarz, kładąc rośne, zielone pokosy.

A słońce wynosiło się coraz wyżej, obejmowało okiem coraz dalsze przestrzenie i zwisało z pogodnych niebios topielą jasnej źrenicy — uszczęśliwione, radosne.

Do białej sypialni Kwiety wpadły przez niezastłonięte okna czerwone blaski promieni.

Piękny, gustowny zegar empire, stojący na etażerce w pobliżu białego jej łóżka, wskazywał godzinę czwartą.

Kwietka spała cicha, jakgdyby życia w niej nie było. Smukła, obecnie bezwładna jej postać, utonęła w pościeli koronek, tylko niebieska, jedwabna kołdra rysowała nieco jej kształty, a wznośząca się wolno pierś zdradzała, że w tej cudnej postaci, podobnej do lekko różanego irysu, jest życie.

Turecki negliż, rozpięty widocznie w czasie nocy, ukazywał świeży alabaster szyi i mało widoczne pącze piersi.

Pastelowo miękki kolor ciała odbijał się, jak świeżo rozkwitła kremowa róża, od nieskalanobiałej pościeli.

Sen zasunął jej gęste, czarne rzęsy powiek, lica okrasił rumieńcem, a usta oblał prawie karmieniem.

Niebiańsko i przerozkoszenie wyglądała w swej bezwładności i w tem głębokiem uśpieniu.

Sen oblał ją jakąś odurzającą ciszą i nieodpartą ponętą.

Słoneczne blaski poczęły biegać po sypialni symfonicznemi smugami, posuwać się coraz bliżej ku śpiącej, aż legły pieściwie na niebieskim jedwabiu kołdry. Tu zajaśniały rozpyłą tęczowej barwy i taczać się poczęły rozkosznie, jakby w jakimś przesłodkiem upragnieniu.

Świetlista struga blasku rozpieściła aureolą hyacenty i anemony, ustawione w żardinierkach, tuż koło okien — — to rozpełzła lubieżnie na niskie meble okryła jedwabiem i drogocenną brokatelą, rozlały się po całym urządzeniu sypialni stylowem i lśniącym — to skupiały się znów w jedną powódź kaskady — i poczęły się zbliżać zalotnie do rozchylnych piersi śpiącej, czaić się do nich przemile, obejmować i tulić — — aż wypłynęły śmiałe na obnażone ciało, szyję i opad

włosów, czerniących subtelnie w miłym nieładzie, w których tonęła główka, niby w ulewie jedwabnych kędziorów, wijących się wdzięcznie dokoła przez sen uśmiechniętej buzi.

Lekka tkanina negligżu wznosiła się na piersiach miarowo, jakby zawieszone w powietrzu tony cichej kołysanki, albo skupione oddechy miłosnych westchnień.

Przejasny, rozswawolony blask przylgnął do nagich prawie piersi, obrzuconych zaledwie lekką koronką, wpił się w nie swoją tęczą i począł pieścić nieupamiętanie, całą topielą pragnienia.

Ale oto ta tęcza dotknęła rzęsów i brwi, ujaśniła barwami twarz i włosy rozpalila pierzchliwą rozpyłą światła, rozchyliła nieco usta, tysiącznem ucałowaniem obrzuciła, jak kwieciem — — i jakby z tej rozkoszy i męki błogich dreszczy powieki podniosły się wolno, sen jakby ciążył jeszcze na nich — — — spojrzała...

Ciemne bławaty źrenic wychyliły się jakby nieśmiało z pod rzęsnych obsłon, poczęły nabierać blasku i myśli, a sen prawie, że już pierzchl i rozwiął się, niby misterny puch.

Równocześnie podniosła do ocząt piąstki i przetarła je, jakby odegnać chciała do reszty czający się jeszcze sen.

Za chwilę przeciągnęła się rozkosznie, wygięła gibkie ciało piersiami ku górze — i z głębokim oddechem opadła znów na poduszki.

Sen uleciał od niej zupełnie — — spojrzała trzeźwemi źrenicami przez okno w ogród.

Tam śmiało się słońce snopami promieni, a na koronach drzew kraśniał świeży, wczesny ranek.

Z kęp okwitłego bzu doleciał ją szczebiot jakowejś ptaszyny, która ćwierkotała tam często, prawie codzień o tej porze.

Radość wstąpiła w piersi Kwieży i objęła duszą, niby splotami licznych, kojących dłoni.

Półśmiej zadowolenia wielkiego wstąpił jej na twarz, blaskiem wewnętrznej uciechy rozlał się po wyspanych licach, niby rumieńcem tajonego szczęścia, które długo w piersi więzione wydostało się wreszcie na zewnątrz wyrazem słodkiego zadowolenia.

Leżała prawie nieruchomo, tylko główkę odwracała co chwilę na ogród rozśpiewany w słońcu, to bładziła oczyma po pokoju, w którym paliło się powietrze tęczowymi blaski.

Nim zdołała o czemś innem pomyśleć, przyszedł jej do oczu Zygmunt, wbił się swoją postacią w mózg i źrenice wszechwładnie, jakby tylko on był jedyną istotą jej myśli i obrazowych złudzeń.

Pierwszy raz dziś śnił jej się w nocy.

Z myślami o nim zasnęła wieczór — i w myślach jej już pozostał prawie do przebudzenia.

Nie mogła tego snu zebrać w jedną całość, plątał się w licznych obrazach — pamiętała tylko

najlepiej, że był to sen przesłodki, jakiego nie zaznała jeszcze, taki pieściwy i błogi.

Śniła, że błądziła z Zygmuntem po dalekich polach, wśród zbóż zielonych i zagajników uroczysk, że on jej opowiadał o szczęściu i miłości, co wiecznie trwa, jak kwiat eliksiru, co nie starzeje się nigdy, ale podnieca młodość nieustannym tchem kochania i niegasnącym żarem rozkoszy i czaru.

Słuchała w skupieniu tych słów, obwisała na jego ramieniu, jako lodyga egzotycznego powoju — — a on patrzył się w jej oczy głęboko, wchłaniał się w duszę, jak w łonie całem wejrzaniem rozmiłowanego serca i całą potęgą wewnętrzną szczęśliwości.

Czuła jeszcze na sobie przepaść jego ócz i ich modlitwę przeogromną, jak strumień stalowej fali, albo-li lśniącej platyny.

Ach, te oczy... te oczy...

Dusza pławiła się w nich taka subtelna i rozlewna jakimś przedziwnem ukojeniem i obiecującą słodyczą, jakim bezmiarem mocy pociągającej ku sobie bezdennością dobrotliwego czaru i morzem nieobjętej serdeczności...

Jak on jej pięknie mówił o szczęściu i miłości, tyle słońca było w jego słowach, tyle rozkoszy w szeptach...

Ale widziała również jakiś smutek w jego zrenicach, jakąś sentymentalną ciszę tęsknoty wiel-

kiej — — — tak, widziała to utęsknienie, rozwiane, niby cień, po całej jego twarzy, takie bezbrzeżne i jakby beznadziejne...

A dostrzegła to najwyraźniej wówczas, kiedy jej mówił:

— Miłość, to nie rodzimego złota, jaka się utworzyła w bryle kamienia w niedostępnych miejscach dzikich gór, to nieskalana nie i nie dotknięta dłonią, ani okiem występuku świata, na którą nie padł cień najmniejszy zbrukanej chmury robacznego życia — — to niesłychanie czysta nie, to — miłość...

Ono oplata dwa serca i dusze zlewa w jedną istotę jaźni, ta nie rozprzędza się na idealnych krosnach dwu jednostek, kojarzy jedną myśl, jedno tętno serca, jedno pragnienia — jedno życie...

Cudną jest, jak egzotyczny kwiat, wyrosły w kniejach dziewiczych borów, cudną, jak tęcza utkana z rubinu i szmaragdu, to najpiękniejsza mozaika i kwiatów i zorzy, blask dyamentu kryształizowanego dłonią natury, to uśmiech wiosny nimbiczny, to — — — miłość!...

To ogień święty, który płomieni się nieskazitelnie, słodycz nektaru i niewysłowny wiew szczęścia...

Miłość — to życie i rozkosz... tęsknota... ból... rozpacz... nieszczęście i śmierć...

Miłość wprowadza w dziedziny raju, pieśnią

kołysze czarowną i wiję słodkie pielesze z woni i róż...

Miłość wiezie w krainę tęsknoty milej i ciężkiej, oczekiwanie rodzi i niepokojem napawa dławiającym, warem cierpienia oblewa, strąca w otchłań rozpacz i wciska narząd samobójczy do ręki, lub narząd zemsty; miłość — to śmierć i zatracenie w toni nienawistnego okrucieństwa...

Pamięta, jak przy tych słowach zawiesił na niej ciężary ócz i patrzył się przepastnie, nieustępliwie, długo...

Aż ją lęk porwał i przebudziła się wtedy.

I później śnił się jej znowu, ale był inny, wesoły i bardzo uszczęśliwiony.

Zwierzili sobie miłość, szli w jaśni słońca zieloną łąką, w powodzi kwiatów i ziół pachnących.

I było im dobrze, tak niewysłownie dobrze...

Nic nie widzieli w sobie, jak jeno bezmiar szczęścia i rozkosz przeogromną.

• To szczęście aż ją dławiło i ścisnęło serce nie boleśnie, ale tak jakoś dziwnie...

I właśnie pierzchnął sen...

I teraz myślała nad tem, co było powodem tego, czy ona śniona rozkosz, czy te słoneczne blaski, co wypełzły na nią i jasnym światłem wtargnęły pod rzęsy powiek i sen spłoszyły niegrzecznie...

Była niezadowoloną w pierwszej chwili, ale

piękny poranek i morze światła za oknami wygnały oną myśl i nasunęły obraz Zygmunta.

Rada już była, że może o nim myśleć w rzeczywistości — och, przy tak przecudnym dniu, gdzie można iść w pola, do lasu, a może i Zygmunt pójdzie z nią razem...

Postanowiła iść doń po południu, lecz nagle wspomniała sobie, iż może Zygmunt nie będzie jej towarzyszył... ojciec chory... nie będzie mógł odejść tembardziej, że choroba się wzmacnia...

Zastanawiała się nad tem i posmutniała.

A może i pójdzie... przecież w domu zostanie matka, on już tak dawno nie wychodzi nigdzie... Powinna go zwolnić na chwilę...

Myśl jej poczęła gdzieś błądzić i ulatać.

Za jakąś chwilę opuściła oczy na obnażone piersi... Poznać było z jej oczu i twarzy, że lubowała się niemi w onej kąpieli światła, że jej słoneczne światło sprawia wielką przyjemność, całując ciało przemile i rozkosznie.

Cieszyła się niewinnie tą słoneczną pieśczętą i radość owiewała duszę z tego igrania blasku i ciepła.

Na pół różowiuchne jej ciało nabrało teraz niesłychanie subtelnej karnacyi. Widziała to i rozkosz wewnętrzna trzymała jej oczy na uwięzi uroku własnego ciała.

Rozpięła staniczek zupełnie i wyłoniła swawolnie piersi na ogień pocałunków słońca... Ró-

żowe ich kończyny zaczerwieniły się w świetle, jak karminowe owoce jarzębiny, albo-li jagody dojrzałych malin.

Pieszczenie i przyglądanie się im sprawiało jej ogromne zadowolenie i oblewało jakimś błogim i niespokojnym dreszczem.

— Oj... gdyby to Zygmunt widział... — przebiegła jej nagle myśl — że ja taka dziecinna, albo... ja wiem jaka...

Uśmiezek przebiegł jej po twarzy, w kącikach ust się zatrzymał — i prędko okryła się neglizmem.

Z pewnym kaprysem leżała chwilę nieruchomo, zasłoniła gołem ramieniem oczy od rażącego blasku i prawie równocześnie wyrzekła sama do siebie:

— Eh, wstanę już... ranek taki cacany... tyle słońca...

Usiadła prędko i nie wiedzieć kiedy, wsunęła przez głowę halkę jedwabną, na półkoronkową. Uczyniła to z wyszukaną zgrabnością i dyskretnym wdziękiem.

Z kolei ubrała z mistycznej tkaniny pończochy i niebieskie, atlasowe sandały — i jako młodziutka łania wyskoczyła z łóżka na biały włosienny szmat niedźwiedziej skóry.

Tuż przed nią stała toaleta z wielkiem kryształowem lustrem, obramowanem seledynowem pluszem.

Słodczy rysów postaci jej odbiła się w lustrzanej tafli, jak nieoczekiwane objawienie rajskiej rusalki.

Włosy zrzuciła na plecy gęstą ulewą, jak strugę szlachetnego lnu, wypieszczanego przedziałniwym grzebieniem, tylko, że ten len jedwabisty był u niej ciemny i wpadający w kolor prawie czarny.

Z pod halki wyglądały zgrabniutkie nóżki, jakby sztuką artysty wytoczone i kryły się pod koronkami, nęcącym owalem mistrzowskiej rzeźby.

Stała tak chwilę, zachwycając się trochę grymaśnie pyszną budową swojej postaci, to obruciła się profilem do lustra, w której to pozie jej kibić zarysowała się precudną pieśczętą linii i nęcących, łagodnych załamań.

Jakieś nieokreślone pragnienie zawirowało jej w piersi i jak prąd rozplynęło się po ciele. Przesłodki dreszcz poczał jej drgać serduszkciem i krásne rumieńce wywionął na różowiuchne lice.

Rozburzone czucie rozpulsowało jej krew gwałtownie i rozpałało w piersiach jakiś niepokojący ogień, prawie do słodkiej męki.

Płomień ten rozsadzał klatkę piersiową, pragnął stanowczego jakiegoś ugaszenia — ale jakiego, nie mogła pojąć — czuła jeno ten dreszcz i puls rozświetnionej krwi, który napelniał ją za-

wieją pragnień i chucią jakiegoś niezdecydowanego szalu.

Skończenie piękna była w tem namiętne zakłopotaniu.

Moment wahała się, jakby w gromadzie doradzających myśli, nie wiedząc, której posłuchać — lecz wszystkie okazały się płache i rozwiane, jak woń, otoczyła tylko dłońmi piersne pagórki — i jak spłoszony ptak, wybiegła do bocznej umywalni.

Zdumione blaski słońca rozglądnęły się po sypialni, i, jakby nie wierząc w zniknięcie cudnej i rzeczywistej wizyi, poczęły płozić się po ścianach i pysznych sprzętach, niby szukając tej czarodziejskiej istoty.

Poruszona w biegu portyera kołysała się jeszcze, jak duży, rozpięty wachlarz.

Struga blasku wybiegła prawie na nią i zagrała w jej kolorach tęczowemi barwy, jak w wielkim, rozkwitłym kwiecie.

Za chwilę doleciał z umywalni plusk wody, jakgdyby ptak rozpoczął poranną kąpiel i załotał po wodzie skrzydłami.

Prawie w tym czasie wchodziła do dworu pani Ossocka z płaczem, lecz szczekający Largo wstrzymał ją na ganku.

Wybiegł lokaj i odegnawszy psa, zapytał o cel przybycia.

Znał jej męża i wiedział, że chory, gdyż od

dwóch tygodni nie grał w kościele, teraz zaś, spostrzegłszy łzy w jej oczach, domyślił się odrazu, że musiało stać się coś nie dobrego.

W tejże chwili ukazał się na ganku pan Dolański. Przywitał ją grzecznie, lecz zobaczywszy łzy na jej policzkach, spochmurniał nagle, zdumiony płaczem i jej tak wczesnem przybyciem.

— Panie dziezicu — odezwała się, tłumiąc łzy — mąż prawie konający... gorączkę ma okropną... od północy majaczy bezustannie i wzywa pani dzieziczki... coś o niej mówi i prosi ją... Jezus, Marya... — rozplakała się głośno — spazmy go biorą... pewnie to już koniec... Woła pani dzieziczki przez gorączkę... ja przyszłam... może to go uspokoi...

— A czy mąż stracił już przytomność? — zapytał przejęty łzami Dolański.

— Czy ja wiem... Przez chwilę mówi do rzeczy i patrzy przytomnym wzrokiem, to znowu rzuca słowa bez związku o jakichś Borkach i Ani... wciąż jedno i to samo... to woła pani dzieziczki...

Dolański zaklaskał w dłonie. Zjawił się lokaj.

— Janek! — zwrócił się do przybyłego — biegnij coprędzej do stangreta niech zaprzęga małą bryczkę i jedzie natychmiast do miasta po lekarza Karnickiego, ale już!

Lokaj pobiegł z rozkazem.

— Niech pani nie płacze, żona tam przyjdzie

za jakie półgodziny, jest jeszcze w łóżku — w tej chwili jej to oznajmię...

Osocka chciała pocałować dziedzica w rękę, ale jej nie pozwolił — i odeszła za chwilę, trzymając chusteczkę przy oczach.

Dolański zatrzymał się na ganku i nagle myśl utkwiała mu w głowie, jak ostrze noża.

Oparł się o filar ujęty w festony wina i oczy opuścił ku ziemi.

— Borki... Ania... — zawyło mu w mózgu — to pewnie ten... ten jej kochanek dawny — on Osocki... — wbiło mu się to w myśl, jak gwóźdź w twarde drzewo i poczęło zradzać przeróżne przypuszczenia.

Interesowała go nieraz troskliwość żony o tego organistę, ale nie przywiązywał do tego zupełnie żadnej wagi, bo cóż ten sługa kościelny mógł mieć wspólnego z jego żoną?... Przypisywał to raczej jej opiekuńczej trosce o mieszkańców Olszowca, którego była przecież dziedziczką. Chociaż była to może za wielka i wpadająca w oczy troskliwość i właśnie temu okazywana, ale nie zastanawiał się nad tem dłużej i puszczał to w zapomnienie.

I teraz on pragnie jej... o niej majaczy i ją nasuwa mu gorączka... to ciekawe... dlaczego tak jest właśnie, dlaczego tak?...

Wiedział o jej miłości do jakiegoś tam gacha z pobliza Borków, ale co go to mogło wówczas



obchodzić?... Piękna była, więc ją wziął sobie za żonę... On pan, to mógł, bo tak mu się podobało...

Prawda, były kaprysy, oziębłość ku niemu, wycierpiał nawet dużo, ale to przeszło. Wiedział jednakże, że ona o tamtym nie zapomniała dotąd.

Pierwsza myśl wróciła mu znów do głowy, niby szarpiący atak.

— Borki... Ania... Tak, to on... on z pewnością... Ale on, żeby był organistą?... Wiedział przecież, że tamten był z sąsiedztwa jej rodziców, ze dworu, jakiś sierota, tułający się po krewnych... syn upadłej zapewno szlachty... Aha, Jeszary... Zygmunt coś o tem wspominał w kłótni z Henrykiem... tak, na pewno, że je miał jego dziad... więc i ten również z szlacheckiego rodu... Nazwiska tamtego nie pomniał, nie ciekawiło go to zupełnie. A może tamten nazywał się właśnie Ossocki?... — nasuwała mu myśl — możliwe, że tak... — wydawało mu się to coraz bardziej prawdopodobnem, a nawet niechybnem. Układał w głowie myśli, jakie wysnuwał ze spostrzeżeń nad żoną i tym zagadkowym organistą i przekonywał się coraz niezbieciej, że to zapewne ten...

Wtem nagła myśl zawiesiła mu się w głowie: Oto, żeby iść do urzędu parafialnego i zbadać papiery organisty, skąd pochodzi i gdzie się urodził.

Ta myśl poczęła go uspokajać, lecz przyszła druga: — A zresztą, po co? Przecież Zygmunt mówił, że pochodzą z Litwy... Tak, to pewne... Tam

dziad stracił majątek, a jedynaka wzięli krewni z Grodzieńskiego, także na Litwie...

Tak, to ten, ten z wszelką pewnością... Ale żeby został organistą?... To nie podobna... Zresztą, dziwne bywają koleje... Inteligentny jest — to prawda. Podobno mówi po francusku i angielsku, skądby zwykły organista znał te języki i posiadał taką ogładę, nawet elegancyę?...

Był już pewny, że ten chory, to dawny jego rywal, to ten nieszczęśliwy kochanek...

Nie wiedział, co ma teraz uczynić: czy powiedzieć to żonie i zapytać się o wszystko, czy całą tą sprawę przemilczeć.

Do pierwszej myśli gnało go coś gwałtownie, lecz znów nie chciał rozdmuchiwać wygasłego ognia i czynić w domu niesnasek.

Mimo przeszło półwieczną starość, obudziła się w nim zazdrość nieokreślona i motywowana nie wiedzieć czem — chyba o dawne, minione lata i serce żony, oddane zawsze tamtemu.

— A nuż po przybyciu umiłowanego na tą kościelną posadę, żona zdradzała go z tamtym ukradkiem... ha!... to także możliwe, dlaczegóżby nie... przecież się kochali...

Może on właśnie za nią przyjechał tu... to przecież także prawdopodobne... — złość jakaś piekielna wpadła mu w piersi, jak klin. — A może i Kwietka nie jego córką, może... może tamte-

go?... — burza zapieniła mu się w sercu i mózgu i wypełzła na twarz bladym wyrazem dreszczu.

Bił się z myślami, jak ze zgrają napastujących wilków, które czyniły w głowie coraz większy chaos i zamieszanie. Żałował teraz, że posłał konie po lekarza — — był wściekły.

Po dłuższym namyśle postanowił nie zdradzać się żonie ze swego niespodziewanego odkrycia tajemnicy i udać się z nią razem do chorego. Spodziewał się, że dowie się czegoś na pewne z ust majaczącego, przekona się stanowczo, a później dopiero powie jej wszystko, a dalej co będzie... nie mógł na razie przewidzieć, ani tego przeczuć...

Jak mógł, uspokoił się, wypogodził twarz i z tą myślą poszedł do wspólnej sypialni.

— Aniu, Ossocki podobno konający... — oznajmił, wchodząc do wnętrza, a w głosie zadrgał mu ton głęboko ukrytej ironii i nieszczerości. — Była tu przed chwilą jego żona, chory cię wzywa i woła przez gorączkę... przyszła po ciebie... — popatrzył badawczym wzrokiem na nagle pobladłą twarz żony z jakimś złośliwym zadowoleniem.

Nagle wrażenie zatkało jej słowa w gardle i dreszczem bolesnym ścisnęło serce.

Wzrok męża nie schodził z niej, ale się wpijał w przybladłą twarz, jak ssawki.

— Konający?... Boże... — wybiegło jej ciężkim oddechem. — Lekarze mówili, że nie przetrzyma...

Trzeba, myślę, natychmiast posłać jeszcze po doktora, może, ja wiem...

— Właśnie posłałem... — przerwał jej suchym głosem — za pół godziny powinien tam już być. Cóżś tak zbladła?... twarz ci zbieleła, jak wapno...

— Konający... — powtórzyła, siadając na pościeli z migotliwym blaskiem w oczach. — Tak mnie to przeraziło... wczoraj był jeszcze zupełnie przytomny, a dziś już...

— Ha, to trudno!... Wszyscy umierać musimy... — włożył ręce w kieszenie i począł przechadzać się po sypialni. Głowę opuszczył na piersi, dyalogując w duszy:

— Tak, to już pewne... to ten... bez wątpliwości ten...

Pani Dolańska w pierwszej chwili nie wiedziała, co czynić. Łzy jej się cisły do ocz, a burza wewnętrzna chwyciła trzewia, jak w szpony, targając niemi drapieżco.

— No, może wstaniesz... — silił się na słodki i spokojny głos — ubierz się, pojedziemy chyba nawiedzić go, co, jak myślisz? Osocka bardzo prosiła, chory o tobie bredzi... Bóg-że wie, co w tem jest... Może twoja obecność go uprzytomni... chorzy mają nieraz różne zachcianki...

— Czy i ty pójdziesz ze mną? — zapytała bezdźwięcznie, wstając z łóżka.

— No, jakżeby... Trzeba go odwiedzić, choćby ze względu na Zygmunta; zresztą był bardzo sym-

patyczny człowiek, choć trochę zagadkowy i skryty w sobie, jak głaz. Wprawdzie nie miałem nic z nim wspólnego, ale go przecież znam dobrze.

Dolańska nie odpowiedziała nic, ubierając się drżącymi dłońmi. Nie chciała mu oponować.

Pan Maciej mierzył dywan krokami z ruchem wielkiego zdenerwowania, które, ile mógł, tłumił w sobie.

— Nie zastanawiałem się nigdy nad nim dokładnie, ale doprawdy, że to bardzo zagadkowy człowiek... — zaczął znów, jakby do siebie, wymawiając dobitnie każde słowo, z małą przerwą między zdaniami. — Z nikim prawie nie żył, ludzi unikał, jak mizantrop, zawsze pochmurny i zasępiony. Ten człowiek bardzo dużo musiał przejść w życiu; musiał go prawdopodobnie spotkać jaki wielki zawód, czy co... bo chyba utrata majątku przez jego ojca nie wpłynęła, myślę, tak zabójczo na jego życie, chociaż... i to możliwe — wtrącił, jakby dla złagodzenia poprzednich słów, bojąc się, czy nie powiedział za wiele w ich sensie. Co chwilę spoglądał na żonę ukradkiem, którą te słowa piekły, jak ogień. — Człowiek to, bądź co bądź, obyty w świecie, języków zna kilka, wysokich manier, jak to tyle razy mieliśmy sposobność zaobserwować u proboszcza na obiedzie i, że takiego fachu się czepił, — to dziwne... Inna rzecz, że gra jak skończony artysta, ale przecież znalazłby był coś lepszego — choćby, jako nau-

czyciel gry na fortepianie. Wspominał mi nieraz proboszcz o nim, że to człowiek, który wiele przecierpiał w młodości, ale, co i jak — tego nikomu nie chciał zwierzyć, nawet proboszczowi z którym, rzecz można, żyje.

Dolańska obtarła pokryjomu łzę, co nieuhamowanie wykradła się z pod powieki.

Pan Maciej po chwili milczenia stanął w progu. Chciał mówić dalej, ale czuł, że denerwuje się coraz bardziej. Postanowił zachować to na później, gdy wróci.

Teraz wydam pewne rozporządzenia służbie, a ty tymczasem się ubierz. Na śniadanie czas będzie, jak wrócimy — wyrzekł, nie patrząc na nią i wyszedł ze spuszczoną głową.

Prawie Kwietka skończyła tualetę, gdy matka weszła do umywalni.

— Toś ty już ubrana? — zdziwiła się. — Dlaczegoś wstała tak wcześnie?

Kwietka ucałowała ręce matki.

— Przebudziłam się i nie mogłam już zasnąć. Do tego taki cudny dzień... Co, mama płakała? — spojrzała matce w oczy, które szklily się od łez.

Zbyła ją jakimś półsłówkiem.

— Wiesz, dziecko, była tu matka Zygmunta — odezwała się po chwili — ojciec jego umierający...

Cień bladości owionął lice Kwietki i wstrzymał dech.

— Jezus!... — wybiegło jej z ust, jak nagły lęk.

— Tatuś posłał jeszcze po doktora, ale to pewno już na marne...

Głuche milczenie zaległo między matką i córką.

A na podwórzu złościł się już Dolański, utyskując na służbę, jak rzadko kiedy. Gniewał się, zarzucając wszędzie niedbalstwo i zbywanie obowiązków. To było u niego objawem złego humoru, który starał się zawsze wyrzucić na podwładnych.

Tym razem zauważyła służba, że to było coś więcej, jak zwykła złość, bo oczy dziedzica poczerwieniały nieco i roztrząsł się, jakby w febrycznym ataku.

Wtem głos kościelnej sygnaturki rozdźwięczył się w powietrzu miłym, metalicznym głosikiem. Rozchybotał się pieściwemi uchu falami i rozłonił się po rannej rosie na wsze strony echem dźwiękliwej muzyki. Płynął po dyamentowych kropelkach, zda się, jakby je strząsał razem z blaskiem słońca — i leciał, jak płóche wibry daleko, hen...

Prawie nadszedł powiatowy lekarz, gdy Dolańscy dochodzili pod dom Ossockich.

Chory rzeczywiście był prawie umierający. Przytomność odeszła go zupełnie i majaczyć przestał również. Pomoc lekarska okazała się już zbyt późna; reszta zawisała od losu i organizmu chorego. Oczy miał na pół otwarte, powleczone ja-

kimś mglistem szkliwem, jak tafla wody przy słabym blasku. Co jakiś czas otwierał powieki szerzej, jakgdyby chciał dojrzeć znajome twarze, zgromadzone około łoża i z bólem wpatrzone w niego, jakby pragnął zobaczyć jeszcze te usta, z których wyrывał się niewieści płacz i lament, jakby im wdzięczność za współczucie okazać chciał swym błędnym wzrokiem — — to dowierał je zupełnie, jakby im mocy brakowało, lub jakiś ciężar obciążał je ku dołowi.

Pierś rzeźbiła mu ustawicznie a prędko i wyrzucała chrapliwy, ciężki dech przez rozchylone wargi.

Rozkotłowany spazm mocował się w nim, jak tamowany wir wody, męczył piersi, rozpierał je, to kurczył, wydymał, jak miech, to zatrząsł całym ciałem, wpadł nagle w całą postać, wyprężył nogi i ręce, jak powrozy, to znów je gwałcił niby gałęzie i szamotał członkami.

Nieustająca gorączka wypchała kroplisty pot na czoło, policzki i obnażona pierś, czerwieniąc się pod skórą nienaturalnymi wypieki.

Burza ta szalała w nim całą mocą, siłąc się ze życiem zapamiętałe i z całą zajądłością.

Ostatki życia, zda się, mocowały się ostatkiem tchu i ostatnią kruszyną siły z tą rozszalałą wściekłością śmierci, tężyły się każdym nerwem i każdym sznurkiem żyły — słabły w omdleniu i wiedły, jak popuszczane struny, to nabierały

energii, stawiając opór całym zasobem swej żywotności i odpornego pulsu.

Silny musiał być organizm i przęśla życiowych krosen, bo spazm rozkotłowywał się coraz bardziej i huraganniej, dobywał ostatnich sił ataku i targał ciałem, trząsał, jak chabiną, kurczył, jak gąbką — i nie ustawał.

Przemocne wrażenie agonii wypiętnowało się na obecnych wyrazem grozy. Kobiety płakały głośno i zawodziły, a kilku chłopów sąsiadów ocierało lzy również połą rękawów.

Dolańska nie powstrzymała płaczu — wybiegł z piersi odrazu, nie wiedzieć kiedy. Zapytywała głośno chorego, czy ją poznaje, pot obcierała mu chusteczką, jednakże nie odpowiadał nic, tylko oczy otworzył błędnie przy dotknięciu, nieokreślonym wyrazem spojrzał ku niej na małą chwilkę — — i przymknął je z powrotem wolno, zmęczenie.

Za późno przyszła, pół godziny dopiero, jak chwyciły go silniejsze spazmy i zgasiły ostatni płomyk świadomości.

Ból niemiłosierny ścisnął jej serce prawie do omdlenia, bo potoczyła się bezmocnie — szczęściem krawędź łóżka uchroniła ją od upadku.

Zygmunt stał u wezglowia ojca milczący, z zaszawionymi żrenicami. Przez czas choroby rodzica i nieprzespanych nocy czuwania zmizerniał znacznie. Oczy zapadły mu się głęboko w głowę i zle-

niwiały w spojrzeniu, jakby je długa apatya przetrawiła do wyrazu ostatecznej determinacyi.

Pan Maciej w pierwszej chwili poglądał na żonę niespokojnie, śledził uważnie wyraz jej twarzy, jednakże potężna powaga cierpienia i agonii rozwiała mu myśli badawcze i ociemniła twarz współczuciem i pewną dostojnością smutku. Nie myślał teraz prawie o niczem, tylko życie stanęło mu w oczach, jak coś strasznie marnego i znikomego w swej istocie. Widział tego oto człowieka przed pół miesiącem w pełni sił okazałej postawy — dziś mocuje się już ze śmiercią, jak dziecko z lwem, albo z jastrzębiem mizerna pliszka...

Lekarz zbadał jeszcze gorączkę i puls, obmacał tylną nasadę czaszki i nie przepisawszy nawet recepty — odjechał, naglony wizytami w miasteczku.

Zygmunt przywalony brzemieniem ojcowskich zmagani z śmiercią nie zauważył nawet nieobecności Kwiety, której ojciec surowym rozkazem nie pozwolił na odwiedziny chorego. Uważał widocznie jej obecność za przeszkodę w zamierzonym planie i zbyteczną w ewentualnej scenie w czasie powrotu — — zostawił ją więc w domu.

Dolańscy zatrzymali się dość długo przy chorym i dopiero na kilkorazowe przypomnienie pana Macieja, że już czas, żona jego podniosła się niechętnie z krawędzi łóżka.

Całą siłą ocz i mózgu zatopila się jeszcze w tej

drogiej, spazmami szarpanej postaci, w tej uko-
chanej, spieczonej twarzy — — jakby po raz osta-
tni widziała ją jeszcze przy życiu... przepaścią
bezdennego wzroku otoczyła leżącego jakby za-
wojem chust, duszą wlała się weń, w każdy jego
nerw i cząstkę ciała — i jakby moc tego spoj-
rzenia uwięziła ją przy nim, jakby związała i sto-
piła w jakąś jedną istotę — — bo z wielkim tru-
dem odwróciła się ku drzwiom, jakby te więzie-
ńczo łączyły ją jeszcze tysiącznemi żyły z chorym
i trzymały nieoderwalnie — bo widać było prze-
możny wysiłek jej oddalania się, jakby jej brakło
powietrza w płucach — i szła, dusząc się głucho,
hamowana ociężałe i boleśnie, leniwie jakowąś
niewidzialną przeszkodą.

W izbie wzmógł się jeszcze płacz większy.

Pożegnano dziedziców ucałowaniem rąk i ukło-
nem »do pańskich kolan«, niskim, jakby jeszcze
poddańczym.

Zygmunt odprowadził ich do drogi i wrócił
ociężałe do izby.

Przez całą prawie drogę do dworu Dolańscy
milczeli. W głowie pana Macieja ważyły się jakieś
niespokojne myśli, bo co chwilę przecierał czoło
i przygryzał wargi boleśnie.

Dziedziczka opuściła oczy ku ziemi, jakby naj-
większym bólem przytłoczona, a żal za tamtym
rozwulkaniał się w jej piersi, jak szalejący odmęt
i sercem szarpał... szarpał... Litość wezbrała

w niej, jak elementarna powódź, niszcząca wszystko po drodze — i nigdy może nie było jej tak strasznie żal, jak właśnie dziś...

— Piotrze, kochany Piotrze... — powtarzała w głębi duszy imię ukochanego — drogi... najdroższy...

Ból dławił ją coraz niemiłosierniej, bez krzty litości.

Na ganku dworu poprosił pan Maciej żonę do swego gabinetu.

Poszła za nim posłusznie, bez słowa, jakby ją pchała anemiczna bezwiedność.

Dolański przygryzł drżące usta, palce zatopił we włosach szpakowatych wąsów i, chcąc jak najprędzej dać ulgę niespokojnemu wnętrzu, zapytał zaraz za progiem:

— Słuchaj... słuchaj... — zasyczał prawie tłumionym głosem — a powiedz prawdę... na miłosierdzie boże, prawdę!... — zamknął nerwowo drzwi gabinetu i wzrokiem drapieżnego sępa spojrział na bezwładnie siadającą żonę. — Ten... ten Ossocki to twój... dawny twój kochanek... To ten tam z Grodzieńskiego... z sąsiedztwa Borków, co?... Powiedz, czy to ten... mów!... — czerwony płomień wystąpił mu na twarz...

— Tak!... ten... ten... — zakryła lica w dłoniach i płacz nią wstrząsnął.

— Kochasz go jeszcze... kochasz?!... — zapienił się, jakby się rzucić chciał na nią.

— Kocham... do śmierci kochać będę...

— I tu zdradzałaś mię z nim — prawda?... za tobą tu przyjechał... Tyś tam bywała... ha, mów!... i Kwietka to pewnie jego dziecię... powiedz... na rany Chrysta, powiedz mi to!... — zdawało się, że jakaś moc rozsadzi mu piersi i twarz i porozdziera na strzępy.

Dolańska podniosła twarz, jakby te słowa wzdrygnęły się w jej uszach szarpiącym prądem.

— Nie, nie! To twoje dziecko... twoje!... Nie zdradziłam cię nigdy, przenigdy!... — Tu głos ten wypadł niekłamnie i silnie, jak ton strojnego spiżu.

— Kłamiesz!... piekielnie kłamiesz!...

— Jezu!... co ty mówisz?... słysz!... przysięgam ci, czystem sumieniem się świadczę — nie kłamie!...

— Jeśli ty kłamiesz... jeśliś zdradzała mię i ona córka nie moja, to... — wciągnął dech w płuca i rozparł klatkę piersiową, jakby w jakimś zamysle zacisnął pięści kurczowo, a z ocz sypnęły mu się skry, jak rozrżone opilki żelaza.

Lecz w tejże chwili Dolańska padła na podłogę, rozkrzyżowała ręce w stronę świętego obrazu na ścianie i poczęła bełkotać urywanie:

— Na tego Chrystusa i jego rany... na jego święte oblicze i sąd, nie kłamie, nie!... nie!... — zawahała się na kolanach, zadygotała, jak liść osiki, w oczach stanęły jej tysięczne plamki, bez-

władność objęła ją momentalnie i usunęła się ciężko zemdlona.

Głuchy stuk rozległ się po pokoju...

— — — — —
— — — — —

Tego samego dnia koło południa minął kryzys u Ossockiego, silny organizm przetrwał śmiertelną walkę.

VIII.

W naturze było już czuć odwieczarz, kiedy Henryk Ruczewski wyjechał konno w pole. Od ostatniej swojej bytności w Olszowcu nie wychylał się prawie z Wołkowic, spędzając czas to na czytaniu pism i książek, to samotnych przechadzkach po polach.

Wściekłość za zlekceważenie go przez Kwietę, jak również i Ossockiego przy pojedynku, dotknęła jego ambicyę do takich granic, że przeszło dwutygodniowy przeciąg czasu nie potrafił go uspokoić i przywrócić do dawnego stanu.

W Olszowcu był jeszcze na trzeci dzień, lecz i tym razem przywitała go oziębłość Kwiety, mająca znamię prawie ignorancyi. Mówiła doń tylko z konieczności i to ze względu na ojca, ale i ta rozmowa jej była nacechowana nieukrywanyimi docinkami do tego stopnia, że czuł, iż jego obecność sprawia jej wielką nieprzyjemność, a nawet, jak zauważył, obrzydzenie. Wszystkie jej słowa piekły go nieprzyjemnym ogniem zawiści, jaką czytał z jej ócz, z konieczności zwracanych

na niego. I to wzbudzało w nim szaloną wściekłość tembardziej, że im dłużej patrzył się na nią, tryskającą urodą i jakąś niewysłowioną świeżością, tem wydawała mu się ponętniejszą — wprost czarującą i zarazem coraz dalszą od jego upragnionych celów. Każdem spojrzeniem odsuwała się od niego o całe morza, co napawało go nie dającym się zlagodzić zwątpieniem — i to piekło go w piersi, jak rozpalony piach. Nie stracił jednakowoż nadziei zupełnie i wierzył, że ona przecież przychyli się do niego, że dąsy jej dziecinne i coś, jakby miłość do Ossockiego, że to wszystko u niej przejdzie i przejść musi, że to jeno taki chwilowy stan i podlotcza, grymaśna płochliwość, a w końcu zostanie jego, bo on tak chce i tak będzie.

Postanowił nie bywać u Dolańskich tak często, prócz niedzielnych, sąsiedzkich wizyt, nawet i te uważał za stosowne ograniczyć do rzadszych.

Przypuszczał, że to musi zmienić całą sprawę. Dolańscy dorozumieją się przyczyny tegoż, poczną na córkę nalegać, aż się upamięta; jego będą zapraszać, bojąc się, by nie zmienił zamiarów przez oziębłość Kwiety, a wówczas wszystko będzie po jego myśli.

Mimo taki plan, napadało go często wielkie zwątpienie, wynikające z niejasnego zachowywania się Dolańskiego i jego nie wyraźnych chęci i postanowień. Bowiem w on dzień pamiętnej

przejażdżki po stawie ojciec Henryka zagadnął wieczór Dolańskiego w sprawie ich dzieci, a raczej oświadczył otwarcie chęć zaręczyn, a nawet ślubu. Jak zwykle w takich wypadkach tak i teraz pan Maciej nie odchyłał się od tego, ale zaznaczył wymijającemi słowy, że jeszcze czas, że Kwietka prawie dziecko, zresztą, ceremoniał taki, jak zaręczyny, jest zupełnie zbyteczny, że w czasach dzisiejszych to nawet nie konweniuje, jak dawniej, a młodym odbiera wolność i już przysposabia ich do pewnego znudzenia się sobie i spowszednienia — jednym słowem, nie mają dla siebie tej wartości i obopólnej chęci, widząc się już niejako swoimi. W przeciwnym zaś razie powstaje między nimi jakaś niepewność, która przyciąga ich bardziej ku sobie, zacieśnia więzy miłości coraz trwalej i mocniej, stają się sobie droższymi przez tę właśnie niepewność, która rodzi głęboką i stałą miłość, nieraz na zawsze.

— Przecież wiesz, kochany panie sąsiedzie, — przekonywał wówczas pan Maciej — że Kwiety komu innemu nie dam, chyba, czego Boże broń, żeby ona nie chciała wyjść za mąż, bo co do pana Henryka, to wiem, że go rada widzi, a nawet goni za nim oczyma. Udaje tylko, udaje — ot, jak taka młoda lania, co to dopiero wchodzi w życie, a nie rozumie go jeszcze i chce, by ją podziwiano i zdobywano jej względy, jak najcenniejsze tajniki fortec. Czy to i myśmy nie zdobywali takich dzier-

latek nim dały w końcu aprobatę, że wolno uściśnąć i pocałować. W człowieku warzyła się krew, jak smoła, a ta mówi, że nie wolno... Ciarki po ciele brały, niczem w polarnej febrze, a taka jejmościanka patrzyła jeno w oczy, trzęsąc się sama, a broniła się przecież... Dopiero po jakimś czasie i nieustępliwej ofenzywie twierdza łagodniała w srogości — aż skapitulowała... — tu pan Maciej zaśmiał się serdecznie i ciągnął po chwili dalej: — Tak też i z Kwietą... Henryk jej miły, ja wiem, kochany sąsiedzie. Niech tylko minie rok, przez ten czas rozrośnie się lepiej, rozwinie, a wszystko będzie po naszej myśli. Po co nam teraz zaręczyny? Niech się poznają lepiej, troszku pogniewają — to przecież miłość zaostrza, a przyjdzie czas i będzie przeznaczenie — to ich złączymy.

Ojciec opowiadał to Henrykowi, sam nie będąc wielce zadowolony z podobnego obrotu rozmowy. Spodziewał się, że teraz Dolański nie będzie już zwlekał, ale postanowi coś konkretnego. Jednakże i tym razem Dolański odwlekał stanowcze przedsięwzięcie. Dawniej tłumaczył się, że szkoda przerywać córce nauk za granicą, aby poczekać dopóki nie ukończy liceum, a zresztą i Henryk wówczas nie nalegał zupełnie, a teraz, gdy się to stało już i jedynaczka wróciła do domu, znajduje znowu przeszkody, że zaręczyny zbyt wcześnie i ona na żonę jeszcze za młoda...

Jednakże ton, jakim mówił Dolański uspokoił Ruczewskiego zupełnie i nie nasuwał mu żadnych wątpliwości. Że pragnął sprawę przynaglić, to były inne powody, pobudzające go do tego. Mianowicie, nadszarpnięty mocno majątek i obciążony długami domagał się koniecznie jakiego opatrnościowego zarządzenia, a takie właśnie uśmiechało się w tym maryażu.

Dolański posiadał fortunę wielką, bez żadnych bankowych obciążeń — i tą naturalnie wniosłaby Kwietta jego synowi. Uśmiechał się w duszy codziennie, układając one plany z tą szczęśliwością niezmierną, jak się raduje człowiek, wiszący nad przepaścią, w którą lada chwilę ma runąć, a zobaczy nagle jakiś punkt ratunku i wybawienia z nieszczęścia.

Ruczewski bowiem był już prawie bankrutem. Jak mógł, lawirował jeszcze w ciasnocie gmatwaniny długów, pożyczał, gdzie się dało i spłacał najbardziej naglące weksle i hipoteczne »wścieklizny«, jak sam się wyrażał w obecności żony i Henryka, ale czuł coraz większą parność tej atmosfery i widział, że długo się wytrzymać nie da. Dlatego zwlekanie Dolańskiego martwiło go srodze, chociaż nadziei nie odbierało, ani nie ćmiło silnej wiary, że przecież da się jakoś dociągnąć do tego szczęśliwego dnia, kiedy znów stanie na pewnych nogach i z całą okazałością błysnie przed światem, do czego był przyzwyczai-

jony i co miało miejsce jeszcze przed kilku laty wstecz.

Obliczył, że co najmniej rok jeszcze wytrzyma. Najbardziej obawiał się jesiennych rat, bo te były niefortunne i dyabło wysokie. W ostateczności uplanował sprzedać kilkuset morgowy las, który już dawno chciał nabyć Dolański i o którego kupnie wspominał bardzo często, bo toby z lasem stworzyło jedną caliznę; lasy bowiem one rozdzielał tylko niewielki rów i wałek. Miał zatem jeszcze sposób do wybrnięcia z tej nie milej sytuacji, chociaż nadszarpnąłby polor, jaki posiada w powiecie, a nawet w kraju — zresztą, to nie będzie żadna sprzedaż, to się wróci przecież tysiącokrotnie oprocentowane z posagiem synowej... przejdzie z powrotem, choć już nie w jego, ale w posiadanie syna... To prawie wszystko jedno. Henryk dostanie część majątku, a w ostateczności — połowę, reszta zaś przy sposobności tej opatrnościowej koligacji zostanie oczyszczona, jak szkło, i ta będzie w przyszłości wyposażeniem młodszego syna, Wacława, obecnie szóstoklasisty gimnazjalnego i córki Mery.

Tak Ruczewski uplanował sobie i dla dzieci piękną i spokojną przyszłość — i oczekiwał w tem błogiem marzeniu przyjscia tak bardzo upragnionej chwili.

Henryk, mimo, że ojciec uspokajał go co do panny Kwiety i słowa Dolańskiego powtórzył

z pewną domieszką swych pochlebnych wymysłów, jednak napadało go pewne zwątpienie, jak w sidła zbłąkanego ptaka, nie mogącego znaleźć właściwego i bezpiecznego wyjścia.

Jechał obecnie w pola, bo świeżość ich i cichy szemrot zbożowych fal działały nań kojąco, jak na splakane dziecko tony muzyki, lub błyskotliwa zabawka.

Nad prawdziwą miłością, jaką odnajdywał w sobie do Kwiety, brały górę przeważnie zmysły i sprawa materyalna. Podobała mu się szalenie przez swą dziewiczą niewinność, tryskającą z każdego jej ruchu i spojrzenia, a postać cała przyciągała ku sobie gwałtownie jego zmysłowe podniety i chęci. Wydawała mu się czemś niezmiernie błogiem i rzadkiem, ale te myśli były jego rodzaju... Taksował ją, jako kobietę w najświeższej wiosnie życia, wyposażoną wszystkiem bogactwem natury, która dałaby nieskończenie długie chwile rozkoszy, któraby była zawsze bardzo miłym stworzeniem przy jego boku, do tego była bogata... A Henryk lubiał się bawić i to już było w jego krwi. Wziął to w spuściznie po ojcu, który jeszcze teraz słynął jako bywalec zagranicznych stolic i prymas szampańskich turniei, jak również i gracz w Monaco. Syn więc nie poszedł inną drogą, ale wstępował wiernie w ojcowskie ślady, czego najlepszym dowodem były sumy, jakie wyciągał z domu i pliki weksli, opiewające na imię

ojca, które tenże rad nie rad musiał spłacać, nie chcąc dopuścić do skandalu.

Majątek Kwiety nęcił go, jak chłodna oaza przemęczonego araba, bo w niem widział niewyczerpany prawie źródło wszelakich uciech i wielkopańskich wybryków.

Ile razy więc wspominał sobie o Kwiecie i jej odporności do niego, zawsze ogarniał go niepokój i jakieś złe przeczucie.

Cudna jej postać i różowiuchna twarzyczka, nie dająca się z niczem porównać, stała mu w oczach, jak nie ustępliwa wizya i zrosła się prawie z niemi.

Wyobrażał ją sobie w przeróżnych pozach — i z każdej wiał do niego nektar słodczy i pieśszcoty, rozbierał ją z szat w myśli wolno, wolniutko... napawając się tajemnicą jej ciała i jego odurzającym ciepłem, zatapiał się w biel koronek ustami — i ta zmysłowa fantazyja przyprawiała go w stan pijany, jakby spowodowany silnym narkotykiem, lub haszyszem.

Tym onanicznym myśłom i wyobrażeniom nie mógł się ograć i sam je do siebie przywoływał.

Była to natura na wskroś chutliwa, płytka i daleka od wszelkich poważnych myśli i celów. Szał był u niego, jakby istotą duszy — — wszystkim. Każda piękna kobieta i białe koronki budziły w nim nieodparte pragnienie zdobycia, nasylenia się — i zwykle po takiej upragnionej

chwili następowało chwilowe obrzydzenie i niesmak. W jednej godzinie za cenę wszystkiego szalał za upatrzoną zdobyczą — i w tej samej godzinie był w stanie spotwarzyć ją i kopnąć gestem nasyconego despoty. Wdzięk kobiecy i jego pociąg miał u niego wartość chwilową, jak napełniona butla szampana.

Prawie Henryk dojeżdżał do niewielkiego przysiółka, rozrzuconego kilkudziesięciu domami między lasem a pastwiskiem, gdy doleciały go liczne ludzkie głosy i krzykliwe nawoływania. Minął rażniej przydrożne krzaki i zobaczył nie daleko gromadę ludzi i kilka podróżnych, szarem płótnem okrytych, wozów.

— Grupa wędrujących cyganów — pomyślał w jednej chwili i skierował wierzchowca w ich stronę.

Rozbijano właśnie obóz.

Kilku starszych, obrosłych cyganów wbijało kołki do ziemi, mające służyć do przytroczenia sznurów z rozpiętych celt.

Cyganki zdejmowały brudne toboły z wozów, krzycząc niezrozumiałym językiem, to na siebie, to na gromadę obdartych dzieci, wałęsających się natrętnie koło ich poszarpanych spódnic.

Jeden osobnik płci męskiej, może sześćioletni, z gołym brzuchem i kilkoma strzępami jakiejś części garnituru, wlaził pomiędzy nogi końskie, to wieszał się na kiściastym ogonie spokojnego

zwierzęcia, które widocznie było już przyzwyczajone od źrebięcia do podobnych umizgów i zabaw.

Jak sądzić można było, było tu ze trzy rodziny, powstałe zapewne z jednego pnia.

Stworzycielem ich był prawdopodobnie stary, osiwiały cygan, co u tego szczepu bywa rzadkością — który przed chwilą zlął ciężko z wozu i stanąwszy w powadze wieku i władzy, jak jaki turecki basza, począł w koło oglądać miejsce, mające widocznie służyć na dłuższy postój.

Cyganie zoczywszy jeźdźca ukłonili mu się z przesadną grzecznością, domyślając się w nim pana onego lasu i przylegających włości.

Henryk odpowiedział na ukłon niedbałym podniesieniem ręki do daszka pikowej dżokejki i wstrzymał niespokojnego wierzchowca.

Z wielkiem zaciekawieniem rozglądał się po bandzie tego dziwnego szczepu, zapalając dystygowanym gestem papierosa.

— A kto tu wam pozwolił rozbijać obozowisko? — zapytał, spoglądając z konia na wyprostowanych cyganów. — Nie wiecie, gdzie dwór, by przyjść i poprosić o pozwolenie?

— Właśnie mieliśmy iść, jaśnie panie hrabio — odezwał się stary cygan, zdejmując wielki, słomkowy kapelusz z długich, kędzierzawych włosów. — Chcieliśmy tylko najniezbędniejsze rzeczy przysposobić i udać się do zamku jaśnie

pana hrabiego o łaskawe pozwolenie, lecz co tylkośmy przyjechali przed panem hrabią...

Stary wlepił oczy w Henryka, mówiąc niezłą polszczyzną. Głos jego był nieco przytłumiony nosowem wymawianiem słów, właściwy ludziom tego pochodzenia. Twarz poorana licznymi zmarszczkami, pociemniała od wichrów i słoń, patrzyła w Henryka z bezczelną otwartością wolnego człowieka, iż w pierwszej chwili można było poznać nieszczerłość jego słów i prośby, natomiast rysowała się w nich wyraźnie pewna nieujarzmiona dzikość i bezwzględna niezależność.

W tejże chwili wysunęła się z za objuczonego wozu młoda cyganka, może dziewiętnastoletnia, z pomiędzy wszystkich ubrana najlepiej, z całą cygańską ozdobnością. W czarnych, rozplecionych kędziorach włosów miała pozawieszane liczne srebrne monety i świecidła, jakby na zdobnych pasach, lub uprzężach. Wielkie koła zausznic wyglądały z pod czarnych zwoi lśnjącemi obręczami, na szyi zaś i na gołych rękach pobrzękiwały również masywne branzolety. Naramienniki miała ze spojonych srebrnych monet, które za każdym ruchem mieniły się od słońca licznemi kółeczkami.

W lekkim, prawie przeźroczystem okryciu, wyglądała, jak prawdziwy typ cyganki, nie ustępując miejsca bogatą urodą. Była smukła i gibka, niby wiewiórkę o smagłej, prawie oliwkowej cerze. Przez tą cerę przebijał się śmiało rumie-

niec, tworzący z matem ciała jakiś ponętny kolor, podobny do jesiennej, ciemnej brzoskwini.

Zoczywszy konnego pana łysła ku niemu dwoma węglami ócz, okolonych czarnemi i śmiałemi łukami brwi.

— Masza — zwrócił się stary cygan do niej — poproś-że pana hrabiego, by nam pozwolił tu obozować... skłoń-że się pięknie do kolan...

Masza jednakże skłoniła tylko głowę nagłym ruchem, przyczem zadźwięczały o siebie gęsto wplatane w włosy monety.

— Pan hrabia pozwoli — prawda? — uśmiechnęła się doń szelmowsko, ukazując białe, jak kreda, zęby.

Henryk oparł się na niej zdziwionym wzrokiem — była dyabelsko piękna. Gibka jej postać i uwydatnione śmiało pełne wzniesienia piersi, przykuwały do siebie lubieżnym wyglądem, co Henryk w jednej chwili odgadnął. Momentalnie otaksował ją w myśli... przyciągała go ku sobie szatańskim uśmiechem i wyzywającą pozą... krew zagotowała się w nim, jak war. Z miną poważną począł się niby gniewać, że łąki kawał stratuja, chociaż to był pastwiskowy nieużytek. Ale na ponowną prośbę cyganów i Maszy zmiękł, a nawet zsiadł z konia. Wyciągnął do niej etui z papierosami, którą wzięła do ręki i oglądała chciwie, okazując wyraźną chęć posiadania tejże.

Reszta cyganów była zajęta pracą z powrotem.

Stary oddalił się nieco, poglądając z jakąś nieufnością na młodego pana, przybliżającego się samczymi ruchy do kobiety ich pochodzenia. Stary znał dobrze chętki różnych hrabiów i przyglądał się im poddostatkiem przez przeciąg wędrownego żywota. Wiedział, czem się to zwykle kończy, teraz więc spoglądał na wnuczkę z ukosa, to podejrzliwie obracał oczy na eleganckiego panicza.

Nieraz wychodzono na tem dobrze, wyzyskując, ile możliwości słabą stronę pana, szukającego względów pięknej cyganki — i na tem się przeważnie kończyło. Bo duma osobista i godność bywa u tych koczowniczych band niebywale tradycyjnie moralna, względem ludzi innego szczepu, a wypadki kupczenia sobą za pieniądze należą u nich do rzadkości, z wyjątkiem chyba damskich kapel i tancerek, żyjących wśród wielkich miast, a i te jeśli się komu sprzedają, to za wysoką cenę.

Masza, oglądając srebrną etui, zwracała co chwilę wielkie źrenice na Henryka, jakby prosiła niemi o ten podarek.

Henryk przyobiecał podarować, ale pod tym warunkiem, że gdy wieczór będzie wracał z pobliskiej wsi, do której wybrał się właśnie, by go czekała o umówionej porze na kraju lasu, który będzie przejeżdżał. Masza nie chciała się zgodzić na przedstawioną propozycję, tłumacząc się niezręcznie bojaźnią o tę porze w lesie.

W końcu uległa namowom Henryka, którego oczy patrzyły na nią pięknie, z zachwytem. Spodobał się jej ten młody panicz, w pięknym, opiętym ubraniu, o zgrabnej figurce i uśmiechającej się ustawicznie twarzy. Chociaż ten uśmiech był jakby wymuszony, na przynętę, bo za nim czaiła się myśl inna, jakaś wielka i nagle zrodzona.

Ta myśl rozlała mu się w żrenicach, palających ogniem, i ogniem tym rzucał na nią, jakby grotami onej tajemnej myśli, którą Masza pojmowała najzupełniej.

Wierzyła w swoją oryginalną piękność, będąc zawsze przedmiotem chytrych spojrzeń wszelakich panów i paniczów. Ale z tych wszystkich, ten udał się jej najbardziej. Przyobiegała więc przyjść na umówione miejsce pokryjomu po przyrzeczoną etui i złotą branzoletkę, jaką jej jeszcze obiecał.

Wiedział, że tem ją zwabi najprędzej. W duchu łykał już ślinę na ten rzadki kąsek, bo to przecież cyganka... Drogocenny okaz do kolekcji zdobytych kobiet, a ta, w jego myśli przewyższała wszystkie. Porównywał ją w wyobraźni do wiedeńskiej Mitzi, tancerki z pewnej nocnej kawiarni, bo ta najdłużej jeszcze zachowała mu się w pamięci.

Ta sama figura, jednakże bystre spojrzenia i nogi... Spojrzał na gołe nogi Maszy. Mógł je widzieć prawie do kolan, bo poszarpana spódnica



odslaniała je zupełnie, ukazując zgrabne, ponętne uda. Krew zapaliła się w nim, jakby benzyna podsycona, uderzając do głowy namiętną zawrotnością. Oszacował ją, jako wytrawny znawca i orzekł w duszy, że warta nie tylko grzechu, ale stu złotych branzołek za jedną godzinę piekielnych pieszczot.

Porozmawiał z nią jeszcze chwilę i podszedł do pracujących cyganów. Widząc, że brak drzewa daje im się odczuwać, pozwolił na ucięcie kilku żerdzi w lesie, za co cyganie chcieli ucałować mu rękę. Chciał trochu zaskarbić ich sobie, bowiem dostrzegł w czasie rozmowy z Maszą ich nieprzyjazne wejrzenia, kierowane na niego i cygankę. Poczęstował ich jeszcze papierosami, co widząc reszta cyganek, przybiegła również z beczelną natrętnością i zapalała chciwie wonny tytoń. Tylko stara cyganka, pokryta bruzdami, jak mokradlany zagon, o cerze spękanej kory wiekowego dęba, nie ruszyła się z pod wozu, pykając krótką, huculską fajkę. Krzaczaste brwi jeżyły się jej nad zapadniętymi oczyma, jak osmalony wrzos. Mimo zgrzybiałą starość, włosy nie zbielały jej ani trochę, owszem, zczerniały jeszcze mocniej i nabrały połysku od długoletniego smarowania ich tłuszczem.

Wśród niskich ukłonów i życzeń zadowolonych cyganów, Henryk odjechał. Zawrócił kłusem z powrotem do wsi. Dawna myśl o Kwiecie

rozwiąła mu się prawie zupełnie. Teraz cyganka Masza wraziła mu się w żrenice i mózg, jak coś, za coby teraz oddał wszystko. Chytre pragnienie zdobycia tej wolnej córy ziemi omotało go tysiącnymi zwojami i obiecywało czarę odurzającego napoju i soczyste chausty rozkoszy. Wszystko, w pojęciu Henryka, było teraz niczem, byle taką pijaną chwilę przeżyć, w niej się zatopić, jak w nektarze i oszołomić, jak siłą opium.

Spoglądał na słońce: było prawie nad samym zachodem. Z Maszą miał się spotkać o wpół do dziewiątej. Zostawił jej nawet pokryjomu kieszonkowy zegarek, by nie zapóźniła i czekała go z całą pewnością. Mimo, że w oczach jej dojrzał jakby cień niewiary zwodniczej, jednakże wierzył, że przybędzie. Lękał się tylko, aby nie przyszła z kimś drugim — lecz sama.

Z czeredą różnych niespokojnych, a podnieconych myśli jechał ku domowi z coraz większym ogniem w piersiach i głowie. Postanowił wyszukać branzoletkę siostry Mery i jej perłowy naszyjnik i dać to na przynętę Maszy. Wierzył, że na te błyskotki zdobędzie ją łatwo tembardziej, iż zaobserwował, że przyglądała mu się ciekawie, a nawet z nietajoną lubością. Zresztą i pieniądze muszą mieć u niej jakąś wartość dogadywał sobie w duchu — i pewny był prawie zwycięstwa. Dostrzeżony brak biżuterii przypiszą za-

pewne komuś ze sług, bo przecież na niego podejrzenie nie padnie stanowczo. Gdzieżby zaś jego o to posądzano...

Myśl uśmiechała mu się coraz radośniej, a różne imaginacyjne obrazy burzyły krew i wartkimi strugi pulsowały nią w żyłach. Czuł błogi przedsmak upragnionej godziny i mimowoli sięgnął po zegarek. Spostrzegł swoją omyłkę, więc spojrzał na słońce.

— Za godzinę... — pomyślał i słodkie uczucie zabiło mu sercem wyraźniej, jakgdyby i ono oczekiwało niespokojnie tej chwili.

Nerwowość jakaś wstąpiła w jego ciało i ruchy, ciasno mu było w piersiach, zebrał więc konia obcasami i jak szalony pognał gościńcem, odrywając od ziemi białe chmury drożnego kurzu.

A słońce czerwieniło się coraz bardziej, chyliło ku ziemi zmęczoną źrenicę i zasuwalo ją wolno powieką daleko majaczących borów i łagodnych górskich wzniesień.

Ruch w polu ustawał, kosy tylko dźwiękliły się donośniej, korzystając z zapadającej rosy, co poczęła się stwarzać niewidzialnie, czyniąc trawy podatniejsze do košby.

Po odjeździe Henryka stary cygan poszeptał coś z Maszą i odszedł gniewny do zbudowanego już z płacht schroniska. Masza odpowiedziała staremu coś niedbale, jak i ojcu i, wzięwszy

z wozu włoską mandolinę, usiadła opodal na pastwiskowym wątku i poczęła stroić instrument.

Przemile tony strun i delikatne, subtelne dźwięki rozniosły się cichemi falami wokół, jak tafla stawu ruszona blaskiem miesiąca, lub pod muśnięciem kończyn jaskółczych skrzydeł.

Za chwilę odezwała się niezrozumiała pieśń i prysnęła słodką kaskadą tonów po rosie — hen, na wszystkie strony pól i lasu.

Nie daleko stała gromadka wiejskich gapiów, przyglądając się ciekawie temu dziwnemu życiu.

Masza rozdrgała struny kauczukowem piórkim, układała dźwięki w jakieś niepojęte strofy, które wpływały w duszę, niby wiew szczęścia i tęsknoty — — i dusza poczęła je powoli poznawać i przyswajać sobie, zżywać się z nimi.

Przeliczne, rozperlone tony wiązały się w cudne girlandy, sprzedzały w złociste ogniwka i łańcuszki, zlewały w jedną całość misternych dźwięków — — i stwarzały muzykę — pieśń...

Była w tej słodkiej gęździe stalowych strun i tworzonej pieśni cała uroczą wiosna, pełna kwiecica i woni, wszelakiej krasy i niezliczonych cudów... Młodość, dzieciństwo drgały, jak upylone skrzydła motyle w blaskach jaśniejącego słońca, niewinność i anielska beztroska, czar złudnego wieczora i złote, śniwe marzenia...

Było upalne lato i gorące południe, srebrzysty szum dojrzałego zboża i jasne, ciepłe noce, noce

pieściwe.... Była młodość-rozkwit, miłość tętniąca w młodem ciele i uśmiech świeży, przerozkoszny, jak rozkwitłego różanego pącza, słodycz upojna i nienasytna, bezmierna rozkosz i pieśń młodzieńczych pieszczot, pragnień, odurzeń zdrojnych...

I była jesień pogodna, złotawa... tęsknota duszy nieokreślona, wyrywająca się gdzieś, w ubiegłe dale, w minioną wiosnę i słodkie lato, była tęsknota wielka i cichy smutek prześnionego serca, melancholijny smutek...

I była jesień zawierusznna, deszczowa, wyjąca tysiącami przeciągłych gwizdów i skomleń żałosliwych, była ponura, oślakła jesień...

I jesień życia skarżąca, płaczliwa i zanosząca się od łez, cierpienia i rozpacz, że szczęście i kwiaty minęły bezpowrotnie...

I była zima, biała matucha, lub siwa, dobrodusznna starusznka — — i życie zgrzybiałe utulone troskliwie w ślimaczych muszelkach — — i było życie stare, wygnańcze, bez dachu nad głową i opiekuńczych dłoni, bez dobrych słów i ciepłych spojrzeń...

A nade wszystko drgało w tej pieśni przemocne pragnienie życia — szczęśliwe, pełne życie, swobodne i nie splamione najlżejszem jarzmem, ani ściśnięte żadną obrozą — — życie w całej potędze i swem bogactwie pośród przestrzeni świata, gdzie świeża trawa — pościelą, ziemia, gdzie dotkniesz — żywicielką, a niebo — dachem... Las —

przyjacielem i miłym cieniem, drogowskazem — słońce, ochłodą — źródło kryształowych rzek, lam-pionami — gwiazdy... Dzień — jasną pieśnią, a noc — pieściwą boginią i kołysanką snu... Gdzie natura układa pieśni i kołysze na łonie swej dobroci, ciepłym uściskiem oplecie i karmi, jak te ptaszyny wolne i robaczki... Gdzie miłość — życiem, dzień — miodną czarą, sen — kołysanką...

A na lzy i smutek niema miejsca, gdzie trosk nie bywa i lęku, krom starczej śmierci...

Drgało pragnienie tego życia i zawiej tęsknot ulatywała z dźwiękliwych strun za onem życiem, którego pragnie dusza wszystkimi siły, całą istotą...

I rozmodliły się struny niezliczonemi falami, wieszały się w powietrzu, chygotały, niby motyle i rozpływały się, jak mgły, po przestrzeni, ląknącej duszą dźwięku ciche, wysubtelnione.

Czar pieśni brał duszę razem z pieśnią wieczoru i usypiającego dnia, czerwone blaski przetykały te pieśni, jak złocistemi włókienkami, misterną przędzą, gasnącej zorzy i rozpraszającego się zmierzchu.

Ton wspólnej pieśni-modlitwy poczęły wzmacniać bladziuchne, ledwo dopatrzone w szmaragdzie nieba jaśniejsze plamki gwiazd, natomiast miesiąc, jak biało-pszenney bochen chleba, wyłonił się z za wiejskich topól, jak z za gotyckich wież, uśmiechnął się naiwnie a dobrotliwie, jako sę-

dziwy pleban — i głową na bok przechyloną począł się pleść rubasznie po niewidzialnej drabinie nieboskłonu.

I słońce zgasło, jak umierający, czerwony kwiat, a dźwięki pieśni leciały za niem, jakby tęsknotą porwane, albo zorznymi blaski — coraz cichsze i słabsze, pastelowane rosą, a kołyszące, niby hymn snu.

Ostatnie tony, dźwięki ledwo dosłyszalne i ledwo pojęte wibry fal — zgasły.

Przez chwilę wisiały jeszcze w powietrzu, jak rozprzędzone włókna pajęczyny, jak niedomówione słowa na ustach, albo milczenie wrażeniem utajone — i znikły, jak kropla karminu w wodzie śpiącego jeziora.

Masza opuściła ręce na kolana, jakby słodkiem zmęczeniem ubezwładniona cicho, a węgle dużych źrenic podniosła przed siebie w górę, jakby ją myśl uniosła w dal niedościgłą — — w ciszę zadumy.

W jej wolnej piersi i sercu swobodnem, niby ptak górski, zrodziła się nagle jakaś tęsknota — czy za tem życiem śpiewaniem przed chwilą przez stalne struny, czy miłość do tego czarui nocy w zmierzchu płynącej, do tego bezbrzeża, tonącego w cieple i ciszy świętej?...

Zżyta była z tą nocą, koczowania wśród dziewiczej przyrody, jak w dobach pierwotnych — stało się jej życiem, ale dusza pragnęła przecież

zawsze jakiejs tajemnicy, o której istnieniu dygało serce, a krew roznosiła to orędzie i wiadomość po ciele — — wolna dusza pragnęła czegoś...

Z mgiełnego zmierzchu stworzył się lekki mrok.

Do lasu ciągnęła ją coś, jakby siła tej tajemnicy nieznanej — wykradła się niespostrzeżenie i poszła.

On tam już był.

Przybyła doń, jako rusalka leśna, wybiegła z gąstwi kniei do kochanka z ludzkich sadyb, albo kapłanka leśnych, nocnych misteryów, lub czarodziejska wróżka.

— Masza!...

— Przyszłam, panie.

— Czekałem na ciebie, jak na przyjście cudnej królewny... — porwał jej ręce w dłonie i począł całować namiętnie, ócz nie spuszczaając z jej twarzy, jak białych, drapieżnych grotów. — Tak się tobą cieszę... powiedz, długo tu możesz pozostać?

-- Za chwilę muszę już być tam... — wskazała obnażonem ramieniem ku obozowisku. — Onby się gniewał, ten starzec nasz, ojciec — bo lepszy... Tamtenby gotów wygonić, lub nawet zabić...

— To jabym cię wziął do siebie... cudne urządził ci mieszkanie — i wszystko dał, wszystko, cobyś jeno zechciała... I kochałbym cię, wiesz Ma-

sza?... — podniósł rękę i chciał ją objąć za szyję, ale usunęła się nagle tygrysim ruchem.

— Wy, boście wszyscy jednacy... Tylko całować chcecie, a to takie obrzydliwe...

— Co mówisz, Masza, obrzydliwe?... Tyś pewnie jeszcze nie całowała, ty nie wiesz jaka to rozkosz, jaka słodycz...

— Nu, gdzie ja nie całuję... ja całuję nasze dzieci, naszego psa, nu, ja i konie nasze całuję też...

— To co innego; ale młodego pana trzeba pocałować, to jest inaczej... no, spróbuj Maszo...

— Nu, po co?

— Słuchaj ty, ja dam ci, widzisz, tą etui, dam ci nawet — spójrz, ten królewski naszyjnik, a wiesz ty, co to jest? To drogocenne perły z morza... to noszą jeno księżniczki — patrz... jakie to śliczne... — rozciągnął przed jej oczyma dwa sznurzy pereł, to przymierzył na rękę złotą, ciężką branzoletkę w stylu łańcuszka, sztucznie pospajanego — widzisz... jabym to wszystko ci dał, za to kupiłabyś taki — ot, kawał pól, jak te, co tu widzisz... ale... ale za to daj mi się pieścić, daj całować i ścisnąć — zechcesz-że, Maszo?

— Nu, niech pan to wskaże — wzięła do ręki perły i branzoletkę i poczęła oglądać chytrze, przymierzając na matową szyję, to na piersi.

Oczy skrzyły się jej, jak dwa ogniki — miała na to ogromną chęć.

— A czy mi tego pan nie odbierze?

— Pan nie odbiera nigdy, jak raz co da, ale za to dasz mi się pieścić...

— Dziś nie... Tam stary będzie mię szukał, wie pan, ale jutro w dzień w tym lesie... w dzień mogę się oddalić na dłużej — nu, powiedz pan, czy dobrze tak?

— Słuchaj Masza, i dziś pójdziesz za chwilę, ja sam nie chcę, by się na ciebie gniewano —

— No, pocałujcie, — nachyliła ku niemu twarz — ale mi nie odbierajcie tego...

Henryk objął ją ramieniem, począł wtulać się w nią namiętnie i całować chytrze spragnionemi usty.

— Słuchaj, usiądźmy na chwilę tu... — dyszał podniecony, a krew w żyłach zagotowała mu się ukropem — usiądźmy, Maszo...

Zanim zdołała coś odpowiedzieć, uniósł ją w górę i, siadając, podrzucił ją sobie na kolana, chwytając dłonią za pierś.

— Panoczku, ja nie chcę siedzieć... — usiłowała wyrwać się z jego objęcia, ale trzymał ją silnie.

— Maszo, ty mi się podobasz, jak piękna królewna, ja ciebie kocham, Maszo...

— Wy mnie kochacie — cygankę?

— Tak, tem więcej cię kocham, żeś cyganka, boś piękniejsza od wszystkich naszych kobiet...

bo masz takie włosy cudne, jak heban i oczy takie same... bo ty mi się podobasz piekielnie...

— To i co, że wy mnie kochacie, kiej macie swoją panią w pałacu, to i co?...

— Nie mam, Maszo... ja samotny, ja ciebiebym wziął, uciekłbym z tobą daleko, gdzieby nas nikt nie poznał — i bylibyśmy razem, Maszo, i byłoby ci dobrze, jak w raju...

— Nu, jabym nie chciała tak, ja wolę przez te lasy i pola jeździć — i tak mi dobrze, ja nie chcę więcej nic... ja wolę tak w bezkres jechać i bujać, jak te cyranki swobodne...

— To tybyś mię, Maszo, nie kochała?

— To ja nie powiem... Ale żeby był cygan, nasz człowiek, to wiecie, jabym wam na szyi wciąż wisiała... jabym się łąsiła do was, jako pies... Wiecie, panoczku, żeby wy nasz był — hej!... wyście taki krasny młodzian...

Henryk rad był z tych słów, cieszyło go to, że się jej podoba i że teraz siedzi przy nim spokojnie. Znów większa nadzieja zdobycia jej wróciła mu do głowy, bo ją w pierwszej chwili poczuł już tracić.

— To jabym zgodził się, Maszo, zostać waszym... Ubrałbym taki kubrak, jak wy nosicie i miałbym długie włosy, smarowane dziegciem, srebrne pierścienie i łańcuchy, a tybyś mię wtedy kochała?

— Kochała...

— No, kochaj teraz, to ja pójdę z wami, kochaj, Maszo... — złożył ją sobie na piersi i począł znowu pieścić nieukształtowanie i zcałowywać do krwi jej namiętnie rozchylone usta. — Maszo, ja tu jeszcze coś mam, patrz... To jest napój najdroższy, aż z za morza... — dobył nie dużą flaszkę z kieszeni i odkręcił metalowy korek. — Napij się, Masza, ze mną, to lepsze, jak najstarszy miód... — przyłożył flaszkę do ust i pił. — Napij się, Masza, skosztuj jakie to dobre...

Cyganka droczyła się przez chwilę, lecz napiła się również. Silny likier ciepłem rozplynał jej się po wnętrzu, jak błoga fala.

— Dobrze to... — wyszeptała cicho. — Jakie wy pany macie różne smakołyki... dobrze wam jest na świecie...

— Napij się, Masza, jeszcze, nic ci nie będzie, to może dziecko pić... to nie odurza...

Masza przyłożyła znów flaszkę, pociągając kilka łyków. Likier smakował jej, piła go pierwszy raz w życiu.

— Dobrze ci tu, Maszo, prawda? A chciałaś już odchodzić.... Siedźmy tu, noc taka piękna i ciepła, patrz się co gwiazd...

I znów ją zaczął pieścić. Dorwał się gołych piersi, które były jędrne i na pół twarde, jak dojrzały owoc.

Odurzał się coraz bardziej i pieścił coraz śmielej, stopniowo realizując swój zamiar. Rozgorą-

czkowana krew burzyła się w żyłach gwałtownym biegiem i pobudziła serce do prędkich, niespokojnych uderzeń. Tłukło się w piersi, jak kamień wpuszczony na sznurku w buchające balwanem źródło, jakby odbijając się od przeciwnych ścian klatki piersiowej rozszalałem wahadłem.

Masza prawie, że nie broniła już pieszczot. Leżała w na pół pochyłonej pozie, roznamietniona, dysząca. Likier począł działać. Pieszczoty mężczyzny podniecały jej zmysły, ciało rozleniwilo się słodką bezwładnością, a jednak drżało, jak w dreszczach, mimo to myśl czaiła się w mózgu trzęska — jakby nie jej, ale obca, chłodna i czuwająca, jak w drapieżnym, tajemnym podpełzywaniu.

Nie odpędzała przesłodkich dreszczy i jego lechtań zapalających, wchłaniała w siebie słodczy namietnej krwi, ale każdy podszept natury, by uledez, odganiała samowładnie z całym spokojem myśli.

Dała się pieścić, tulić i całować, przywierała doń naprężonemi gronami piersi, płaszczyła je o niego, jakby jej wewnątrz dusiły i przeciągała się rozkosznie w lubieżnym płomieniu.

— A co masz tu? — zapytała go w tem odrętwieniu, czując coś gniotącego w jego kieszeni.

— To sakiewka, Maszeńko, chcesz, a dam' ci dużo pieniędzy, lecz nie będziesz się bronić?

— Nie...

Dał jej nerwowym gestem pugilares z kilkudziesięciu koronami, który wsunęła za koszulę. Teraz byłby jej oddał wszystko. Zawrotna namiętność porwała go, jak wir, wzięła w swoje zgrzywione fale i przelewy, rozpalila, jak żelazo do czerwoności.

— A co masz tu, tak mnie to gniecie?

— To rewolwer, czekaj, przełożę go do innej kieszeni.

Znów przywarł ustami do niej. Latał niemi, jak szaleniec, po całej twarzy, wpijał się w wilgotne, rozchylone wargi, odurzał się ich palącym ogniem, jak pianą szampana, tulił się do niej zapamiętale, jakby się chciał w nią wchłonąć.

Szalejącą ręką chwycił ją za udo nogi. Ciało jej było rozpalone, wabiące swoim ciepłem i aksamitną gładkością. Ścisnął jej łydkę do bolesnego uczucia, a usta poczęły mu drżeć i zionąć wewnętrznym pożarem, niby płomieniem, którym była sama zawrotna, rozdmuchana namiętność.

Jako czający zwierz, skradał się drżącą ręką do kolan, dalej do palających owali górnych ud — — — porwał go szal...

Złożył ją na ziemi i przygniótł ciężarem swojego ciała.

Drgnęła pod nim, jak w usiłowanej obronie zacisła kolana i, przyciskając go niby ku sobie, założyła je na sobie i splotła.

W Henryku zawyla burza.

— Nie broń się Masza... nie... nie... — wyla-
tywało mu z ust chrapliwym szeptem — nie broń
się złota Maszeńko...

Rozkrzyżował jej ramiona, nakrył dygocącym
ciałem, czając głowę koło jej kędziorów.

Masza przeczuła jego zamiary. Chciała się po-
dźwignąć z ziemi — nie mogła.

W jednej chwili odgadła, że pozwoliła za dużo.
Podrzuciła jeszcze ciałem całym wysiłkiem, skre-
ciła na bok, lecz rozciągnął ją z powrotem, trzy-
mając silnie piersiami do ziemi.

— Puście panoczku już!... — poczęła prosić
zmęczona, nie mając siły do dalszego oporu.

— Nie puszczę... musisz być moją... cicho Mu-
szeńko... cicho...

Rozpoczęła się walka; Masza nie puszczala
go do siebie. Chwycił ją silnie za kolana, sta-
rając się włożyć dłoń między ich splót.

Poczęli się szamotać Henrykowi uderzyła krew
w oczy i jakby uderzeniem oszołomiła głowę.

Postanowił zgwałcić ją siłą. Jednakże Masza
bronila się uparcie z dorównującą prawie mocą,
rzucając ciałem to w tą, to w drugą stronę.

Kroplisty pot wystąpił na czoło napastnika.

Czuła, że weźmie ją w końcu gwałtem. Siły
poczęły ją opuszczać, bezsilniała pod jego nieustę-
pliwością coraz bardziej. Zaczęła bronić się rę-
koma. Chwyciła go za włosy silnie, wplotła dziko
w nie palce i szarpnęła, jak garścią trawy.

Henryk ani nie czuł bólu — wściekle zacie-
trzewienie głuszyło wszelkie cierpienie.

Masza już ulegała... lada chwila miała paść
ofiara jego rozbestwionych chuci — — zdobywała
się na ostatki obrony. Szarpała jego włosy, jak
pomierzwionym lnem, chwyciła za szyję, wpijając
się w nią szponami palców.

Potargała mu krawat i gors koszuli pomięła,
jak szmatę, aż wreszcie chwyciła ciało zębami.

— Lajosz!... Lajosz!... — krzyknęła co sił
w gardle i całym wysiłkiem rzuciła sobą w po-
drygu.

-- Milcz, bo zabiję!... — syknął przez zaciśnięte
zęby i ponowił atak.

To oprzytomniło go nieco. Teraz z całą zaja-
dłością rzucił się na nią, nie dbając na nic. Był te-
raz zdolny nawet do zbrodni.

— Ma-a-a-sza!... — odezwał się głos nieda-
leki, jak echo, i znów powtórzyło się wołanie.

— Lajosz!... — krzyknęła jeszcze resztą głosu —
ratuj!...

Walka nie ustawała. Napastnik gryzł już pra-
wie zębami.

Za chwilę kilka głosów odezwało się w po-
bliżu.

— Lajosz!... — stęknęła Masza, bo siły opadły
ją już zupełnie. Nie mogła się bronić, chwytano
ją prawie omdlenie.

— Masza, a gdzie ty?... — odezwał się ten sam

głos tuż obok i Henryk dostrzegł przez rozpalone żrenice kilka męskich postaci. Tyle miał jeszcze świadomości, że pojął, iż przybyła jej pomoc.

Był teraz bezsilny.

Zerwał się z niej i stanął na chwiejnych nogach.

Masza skoczyła na ziemię nagle, jak ryś. Odzież miała potarganą i włosy rozwiane od szamotania. Stała dysząc, jak po długiej ucieczce. Lecz w tejże chwili dopadła do oniemiałego Henryka i wymierzyła mu głośny policzek.

Uderzony odpowiedział dzikiem, zgrzytliwym przekleństwem i kopnął ją nogą całą siłą.

— Psiakrew, cygańska suko!...

Masza potoczyła się na bok.

Wtem jeden z rosłych cyganów zamierzył się kosturem, chwilę wytrzymał go w górze — i spuścił z całą siłą na Henryka.

Szczęściem sękaty kij nie trafił w głowę, lecz spadł, jak piorun, na plecy.

Henryk uczuł dotkliwy ból, zachwiał się i o mało nie upadł.

Nie tracąc przytomności odskoczył na bok, sięgając do kieszeni.

Rozjuszeni cyganie nie zauważyli tego ruchu, dzika natura zbudziła się w nich, jako zwierzęcy instynkt i podskoczyli ku niemu.

Henryk cofnął się nagle kilka kroków, dobył

rewolwer i zmierzył w największego cygana, zamierzającego się znowu do uderzenia.

Sekunda — — i padł strzał...

Jęknął przeraźliwem echem po lesie, aż las się zatrzęsł i rozdudniał wokół głuchym grzmo-tem.

Cygan zachwiał się na nogach, rozkrzyżował bezwładnie ręce, puszczając kij — i runął, jak kłoda na iglaste posłanie lasu.

Przerażenie chwyciło wszystkich.

Zachrypiły jęk zerwał się z ziemi, jak poraniony ptak.

Henryk spojrział na powalonego, nieopuszczając wyciągniętej do strzału ręki. Włos zjeżył mu się na głowie i nagły strach ścisnął za serce.

— Zabiłeś człowieka!... — przebiegła mu myśl przez mózg, jak błyskawica — uciekaj!... uciekaj!...

Serce na moment zamarło mu w piersiach. Począł uciekać, strzelając za siebie w górę, aby odstraszyć ewentualną pogoń.

Biegł na oślep przed siebie, ale jeszcze pewna świadomsza myśl tkwiła mu w głowie, bo trafił opodał na swego wierzchowca.

Odwiazał go gorączkowo od sosny i chciał do- sięść. Popuszczone popręgi zluźniły siodło, które przy wsiadaniu obróciło się i spadło pod brzuch konia. Nie miał czasu go ubrać z powrotem, odpiął rzemienie co prędzej i dosiadł konia na oklep.

Ścisnął go kolanami i jak wichur ruszył na przelaj ku wsi.

— Zabójstwo... ręka sprawiedliwości... kryminal!... — huczało mu w głowie urywanymi szepcami. — Jeszcze dziś uciekaj za granicę... uciekaj co tchu... jeszcze dziś!...

Myśli te goniły za nim, jak rozkrakane stada wron.

Podrażniony koń gnał, jak oszalały. Przesadzał rowy i wszelkie przeszkody, które widoczne były przy jasnej, miesięcznej poświacie.

IX.

Upłynął maj i połowa czerwca dopełniała się w kalendarzu natury.

Stan choroby Ossockiego polepszył się znacznie, natomiast następstwa silnego zapalenia mózgu stawały się coraz wyraźniejsze, świadcząc o postradanym umyśle.

Zrywał się z łóżka, jakby wciąż gorączkował jeszcze, rzucał słowa i zdania bez najmniejszego związku, mówił całemi godzinami do siebie, to zwracał się do obecnych z dziwnemi pytaniami, przeklinał kogoś i zemstował, to milczał długo, uparcie, wpatrywał się nieruchomo w jaki punkt tępym, bezmyślnym wzrokiem.

Żrenice przybladły mu rozplyniętym niebieskawym kolorem, w którym już widniał najwyraźniej oblęd.

Patrzyły się one z szeroko otwartych powiek, jak dwie gałki, jakimś bojaźliwym wyrazem, niepewnym i jakby czającym się w domniemanej trwodze, lub w jakiejś strasznej rezygnacyi, która nie dba na nic już i przyjmuje wszystko z tą apa-

tyczną bezmocą, jaka widnieje w zawiedłym liściu, którym najmniejszy wiew wiatru powiewa, a który nie ma siły i woli do najsłabszego oporu.

Tkwil jeszcze w nich jakiś głęboki zamysł, jakby nad jedną rzeczą, nie schodzący z nich prawie, i niby zrosły z tem wyblakłym wejrzeniem.

Ogólne osłabienie organizmu, przepalonego długotrwałą gorączką, nie pozwalało mu zejść jeszcze z łoża, a kilkurazowe usiłowanie ucieczki w obłędnym ataku powaliło go na ziemię, świadcząc o wyczerpanych siłach.

Czuwano zatem nad nieszczęśliwym prawie bezustannie, wypełniając możliwie wszystkie dzwaczne jego pomysły, co choremu sprawiało widocznie pewną ulgę i uspokojenie.

Atmosfera domu Ossockich, przedtem spokojna i miła, zmieniła się teraz na szpitalną i ciężką.

Zygmunt kręcił się po pokoju całymi dniami chmurny i milczący. Poznać było po jego osobowości i zaciętej twarzy, że jakieś tłoczące myśli obsiadły mu mózg i nie ustępowały zeń ani na chwilę.

Stał się zamknięty w sobie i dziwnie ociężały. Nieszczęście ojca niepokoiło go z dniem każdym coraz bardziej, bowiem napady waryacyi powtarzały się coraz częściej, nie pozwalając mu prawie wychylać się z domu. Do tego niepokoju przyłączyło się jeszcze drugie zmartwienie. Planował przed chorobą ojca udać się w niedługim czasie

na posadę i miał ich już kilka do wyboru — aż przyszła straszna przeszkoda...

Z domu wyjechać nie mógł, bo na to nie pozwalał stan ojca, którego na pieczy tylko matki zostawić nie mógł, zaś o oddaniu go do zakładu obłąknych, ani nie myślał. Na to synowskie serce pozwolić mu nie mogło, wołał się więc już poświęcić, zaś myśl o wyjeździe odłożył na czas późniejszy, kiedy może choroba złagodnieje, choć częściowo, i chory stanie się mniej niebezpieczny i spokojniejszy.

W całym tym chaosie myśli, myśl o Kwiecie stawiała się coraz konieczniejsza i z każdym dniem wpijała się w mózg coraz uparciej i wszechwładniej.

Zygmunt, ile mógł, starał się tę myśl odegnąć, lub choćby trochę przyciszyć, ale usiłowania jego spełzały zawsze na niczem.

Czuł już teraz to w sobie najzupełniej, że ją kocha.

Gdyby jeszcze wyjechał na czas długi, możliwe, że łatwiej dałoby się wyzbyć despotyczną myśl o niej, ale tu to było niemożliwe. Widywał ją często, bo Kwietę przychodziła prawie codziennie nad wieczorem, więc zżywał się z nią i przyzwyczajał do niej, co rozogniało miłość i budziło gwałtowną tęsknotę i brak czegoś ogromny, gdy jej przy nim zabrakło.

Przychodziła sama, bez matki, bo ta, od czasu

ostatniej wizyty u Ossockich, przeleżawszy kilka dni w łóżku z powodu omdlenia, teraz nie wychodziła nigdzie, spędzając dni przeważnie u siebie w pokoju. Kwietą przynosiła jej teraz wiadomości o panu Ossockim, ale i to częste oddalanie się córki z domu poczęło wydawać się panu Maciejowi podejrzane, dla zgody jednak domowej patrzył się na to jeszcze przez palce.

Zygmunt oczekiwał zawsze jej przybycia, jak objawienia, przynoszącego szczęście i słodkie ukojenie, bo przy każdym spotkaniu umiała przemówić do niego tak mile uspokajająco, że ból, jaki rozgnieździł mu się w piersiach, łagodniał i topniał, jak pod dotknięciem opiekuńczych anielich skrzydeł.

✧ Bo usta kobiety-aniola mają tę moc, która jak czarodziejskie balsamy, owiewa zbolale serce, uciśzy je, jak niemowlę, ukoi i upieści i słów słodyczą ukołysz, niby najpięściwsza przędza pieśni...

Bo słowa kochającej kobiety-kwiecia mają tę siłę przemożną, co duszę smutną kładzie na serca swego kielichu i ogniem swojej spopiela smutek, ciepłem swoim ogrzeją — — i zapomina człowiek o wszystkim, co spokój bierze i rani serce...

W rozmiłowanem wejrzeniu kobiety topnieje ból i żal, miłość bierze w objęcia ukojenie z przesłodkim wiewem dobrej nadziei...

Po każdej rozmowie z Kwietą Zygmunt to czuł, wchłaniał jej dobre słowa, jak nektar uci-

szenia, a blask rozmiłowanych jej źrenic obsiewał go przemilą mgłą szczęśliwości.

Choć myśli szeptały mu uporczywie i natrętnie, że ona jego nie będzie, że weszła jeno w drogę jego żywota, niby bogini czaru, co rozkochuje i szczęścia da zakosztować — a później znika zwo-dniczo na zawsze — — — mimo to, wdzięczny jej był za one chwile troski i słodkich spojrzeń.

Zapominał przy niej, że jest zło i rozpacz cierpienna, że ona wprowadzić go może w otchłań zaguby i ukrzyżuje bólem przez swoją bytność i wspólne poznanie — na całe życie... Zapominał, że to fata morgana, co zwodzi niemiłosiernie, na moment przygasa pragnienie obietnicą wody i cienia, by później ze stokroć większą zajadłością powalić na przepalony piach pustyni, suchotą wnętrza potrząsnąć, jak nadętem kłębowiskiem rzeźniczych jelit, żarem piasku zasypać omdlałe oczy i usta, łaknące onym miałem piekącym zadusić do ostatniego skurczu...

Lecz wiedział również, że miłość jej to nie ułuda pustynna, co kłamie widokiem oazy, ale że miłość ta jest wierna i nie zwodnicza, wiedział, że to — prawdziwa miłość.

I mimo, że przychodziły mu myśli czarne, czyniące Kwietę zabójczynią jego spokojnego życia, że ją uważał czasami za tę fata morgana upragnień swojego serca, rozgorzałego miłością,

że widział przepaść pomiędzy nią a sobą — — mimo to, patrząc w jej oczy i te lica, zwracane na niego w wielkiem umiłowaniu — — — zapominał o wszystkim.

Odczuwał spokój i ucieszenie w tem zapomnieniu ukojonem, a wówczas zdradzały się myśli śmielsze, nie baczące na nic, bezwzględne, że ona Kwietą, ten anioł dobroci i szczęścia — jest i będzie jego na zawsze.

W takich myślach przesiadywał przy łożu ojca nieruchomy, jak statua posągu, dopóki nie zbudził go głos chorego. Wówczas wstawał, podał coś ojcu, lub go uciszył — i siadał znowu na dawnem miejscu, zwołując z powrotem stada rozpierzchłych myśli.

Nad wieczorem zwykle chory zasypiał snem czujnym i bojaźliwym, wtedy Zygmunt zostawiał przy łożu matkę, a sam wychodził na krótką przechadzkę.

Zwykle o tej porze spotykał się z Kwietą, wychodząc niekiedy naprzeciwno.

Czas spędzali przeważnie w ogródku Zygmunta, w cienistej, z gałęzi brzozowych pozbijanej altanie, otoczonej półkolem młodych kasztanów, w których koronach ginał jej dach, jak stożkowata głowa w gęstwie zieleni.

I dziś było koło godziny szóstej wieczorem, gdy Zygmunt, wychodząc z podwórza, spotkał się z Kwietą.

Oczy ich, jak zawsze, spotykały się płomieniem spojrzeniem, w którym, prócz wielkiego rozlewu miłości, czaił się również melancholijny wyraz smutku, nacechowany jakąś cichą zadumą.

Uścisk dłoni oprzytomniał żywiej wewnętrzną ciszę, zbudzał gorętszą drgawkę czucia, rozszerzając klatki piersiowe nieokreślonem wrażeniem, jakby na pół dławiącą błogością, która ciepło po ciele rozlewa i przyspiesza niespokojne wahadło serc.

— Pan dziś weselszy, jak wczoraj — prawda? Widać to po pańskiej twarzy...

— Gdy widzę panią, zawsze mi lżej i weselej... — odpowiedział prawie półszeptem, nie puszczając jej dłoni z uścisku.

Kwiera patrzyła nań toniłą szafirowych źrenic, jakby wyczuć pragnęła z jego duszy prawdziwość onych słów, które wionęły na nią, jak słodkie ucałowanie szczęścia.

— I będzie pan codzień weselszy, panie Zygmuncie? Po co się martwić, gdy to nie zmieni nic, jak tylko zdrowie rujnuje i zamęcza człowieka. Żeby pan wiedział, jak się zmienił od ostatnich czasów, tak pan zmizerniał — naprawdę, poco to wszystko? — w głosie jej drgała wielka troskliwość i prawdziwe współczucie.

— Żeby to dało się tak powiedzieć duszy, wyperswadować jej, że to ujemnie oddziaływa i zabija nawet, ale niestety... Tak się nie da. Pra-

wdziwie trzeźwa myśl nie idzie zawsze w parze z uczuciem, a gdy się już ma to czucie, to zwalczyć, je się nie da. Należytem wytłumaczeniem danej rzeczy — odpędzi się ból i zmartwienie na pewien czas, ale znów wróci natrętnie, rozwiemożni się w sercu z spotęgowaną zajadłością — i usiłowanie idzie na marne... A walczyć i zapominać na chwilę i cierpieć znów — to męka. Lepiej już stać się apatycznym i z pewną rezygnacją przyjmować, co zrządzi los.

— Czy z pana zawsze był taki pesymista, jak teraz, panie Zyguncie?

— O, nie, pani się myli, pesymistą nie byłem i nie jestem. Przeciwności zrządzenia nie działają znów na mnie tak silnie, bym im ulegał bezwzględnie i wierzył w ono fatum, że tak być musi, a nie inaczej — owszem, mam na to tyle odpornej siły w sobie i woli, że walki z losem nie lękam się zupełnie. Zawsze jestem gotów postawić czoło wszelkim przeciwnościom z tą wiarą, że wyjdę zwycięzcą. Pani myśli, panno Kwieto, że obecny wypadek rodzinny zwyciężył mnie moralnie i wtrącił w zupełną rezygnację? Nie. On mię tylko zmartwił i pokrzyżował poniekąd me ułożone plany.

Wśród tej rozmowy weszli do altany.

Usiedli w pobliżu siebie na plecionej z wikliny laweczce, a Zygmunt nie przerywając rozmowy, ciągnął dalej:

— Ostatecznie mniejsza już o plany, ale ojca mi żal ogromnie. Ile ten człowiek przeszedł w młodości, ile wycierpiał, ile zawodów zniósł — naprawdę, jak rzadko kto. I teraz, jakby dla dopełnienia kruży nieszczęścia dotychczasowego żywota przyszło już chyba ostatnie nieszczęście: obłąd. Zaprawdę, jak los z niektórych drwi okrutnie... Miota nimi przez całe życie, jak bezużyteczną plewą, aż zagubi...

Kwieta, nie przerywając, słuchała w skupieniu, opuściwszy oczy ku ziemi. Ogromnie lubiła słuchać, gdy Zygmunt mówił.

— Przypuszczam, — ciągnął dalej — iż przyczyną tego nieszczęścia był ten nieszczęsny pojedynek. Ojciec musiał przeziębic mózg w czasie tej ulewy, bo zaraz na drugi dzień uczuł gorączkę w głowie — i ta zwała go na łóżko. Naprawdę, przez takiego człowieka tyle zła — to okropne! Ha, — mówił po małej przerwie — co to za dziwny człowiek: szalał niby za panią i równocześnie uwodził cygankę... Poranił śmiertelnie ojca, który przybywa na ratunek córki — i przed grozą sprawiedliwości ucieka zagranicę!... — zaciął usta z jakimś szyderczym politowaniem i zamilkł, głaszcząc nerwowo nieduże wąsy.

Kwieta nie dopytywała go o szczegóły tego zajścia — cała ta afeta była już nadto głośną w okolicy. Wiedziała również, że poraniony cy-

gan zmarł na drugi dzień i został pochowany w Wołkowicach.

Na zeznania cyganów, którzy byli świadkami rozegranej tragedii, rozpoczęło się śledztwo, niestety, sprawca ulotnił się zawczasu, zostawiając niesławę rodzinie i zagradzając sobie bezpieczny powrót do kraju.

Fakt zabójstwa począł powoli przebrzmiewać już, a o Henryku wiadano tyle, że prawdopodobnie uciekł do Szwajcaryi.

— Ach, to podły człowiek... — odezwała się Kwietka — a tyle maski było w jego zachowaniu, iż niktby nie przypuszczał, na co odważyć się mógł. A jednak ja go trochę poznała...

Tu opowiedziała swoje zajście z Ruczewskim na stawie, co w Zygmuncie rozpałiło wewnętrzne oburzenie, które, jak mógł, starał się uspokoić.

— Mówiono, iż podobno miał być z panią zaręczony? — zapytał, siłąc się na spokojny głos, bo zazdrość jakaś piekielna zawyla mu w duszy momentalnie na samo wyobrażenie, iż ten człowiek odważył się sięgać po tę Kwietę i plamić jej ręce chutliwym pocałunkiem.

— Ach, dobrze, że mi pan przypomniał, jużem dawno chciała powiedzieć to panu, a wtenczas, tego fatalnego dnia, nie było sposobności. To nieprawda, panie Zygmuncie! Zaręczeni nie byliśmy nigdy, to tylko plotki ludzkie... Wprawdzie Ruczewscy dążyli do tego, i ojciec mój niby się zga-

dzał na to, ale w gruncie rzeczy nie myślał o tem wcale. Nie mówiono mi o tem nigdy, ani stawiano podobną propozycję ze strony rodziców, ale jak zauważyłam nieraz ze słów matki, ojciec miał w tem jakiś cel, o którym dotychczas nie wiem. Mama zarzucała ojcu nieszlachetność takiego postępowania, co było powodem małych nieporozumień — i na tem się zwykle kończyło. Ja narzeczoną Ruczewskiego? och, nigdy! — wstręt tego przypuszczenia przebiegł zimnym dreszczem po ciele Kwiety.

Za chwilę obróciła oczy na Zygmunta z całą potęgą umiłowania, jakby przyświadczyć chciała tem spojrzeniem, że ta miłość tylko dla niego gorzeje w jej sercu, że on pierwszy rozniecił pożar tego uczucia — i że ono dla niego płomić się będzie zawsze.

-- Pan mi uwierzy, panie Zygmuncie? — zapytała po chwilce, nie spuszczając zeń uporczywego wzroku.

-- Więcej, jak sobie, wierzę, panno Kwieto! Ale, Boże, dlaczego ja się panią o to pytał? Bo czyż mam jakiegokolwiek prawo wnikać w życie pani?

Słowa te zadrżały mu na wargach, jakby je smutek serca wytrząsnął z wnętrza na usta w zwątpieniu wielkiem, któremu nawet nadziei odmówiono.

— Panie Zygmuncie... — wyrzekła tym samym

głosem i umilkła, jakby nagle wahanie wstrzymało jej dalsze słowa.

— Proszę?

‘Nie miała odwagi wyjawic myśli, co jak nóż, utkwiała jej w mózgu tem boleśniej, że nie mogła jej zwierzyć. Nie odpowiedziała nic, tylko oczyma przyłgnęła doń przepastnie i przysłoniła je rzesami za chwilę, opuszczając główkę ku pierśsiom.

Zygmunt zbliżył się do niej, obiedwie jej dłonie ujął łagodnie i przycisnął kolejno do ust — to obie razem, a usta poczęły szeptać równocześnie.

-- Wiem... wiem to wszystko... czuję twą myśl — i kocham cię, kocham do szaleństwa, alem ci tego zwierzać nie powinien — boś ty nie dla mnie... nie!... Kwieto, Kwieteczko kochana... najdroższa... Ty bóstwo szczęścia... Ty marzenie przesłodkie -- Kwieteczko...

Jakby siłą pchana jakowás pochyliła się ku jego piersi i szyję oplotła mu ramiony, przyciskając twarz do jego rozpalonego policzka.

— Kocham ciebie nad wszystko... nad cały świat... nad życie własne... Zygmunt!...

Zapomniał, że synem organisty, a ona magnatka, miłość odebrała mu tę myśl — ta miłość, która nie widzi zapór, co nie uznaje konwenansów, ale wybiera serce jedno z tysięcy — i umiłuje je bezwzględnie, koniecznie!...

Ta miłość, co z pałacowych wygod idzie na chleb twardy i znojny...

Co pyszne komnaty opuszcza dla lepianki, bo w tej żywie umiłowane serce...

Co się poświęca za cenę życia nawet...

Która wyrzeka się wszystkiego, krom siebie tylko...

Zapomniał, że jemu kochać jej nie wolno w oczach ludzi, że to gwiazda, po którą on śmiałek sięgać nie powinien — bo zginie w pragnieniu niespełnialnem, i jako proch zmarnieje w tej chęci — — — on teraz o tem zapomniał.

Lecz kochał i ten skarb upragniony miał teraz na swej piersi, i tulił do serca w szczęśliwości, jak z więzi demonów wyzwoloną królową — — to wiedział...

Wszystko inne było mu teraz czczeniem i ni-cością!

— Mój... ty mój... — wpadał mu w uszy przesłodki szept, jak powódź rozlanej rozkoszy.

Jak płatkami kwiecia, obsypywał jej lice pocałunkami, pochylił się ku śnieżnej szyi, przywarł ustami do ciepła miluchnego ciała i balsam jego pił... pił...

Zniewolona gorącą miłością nie broniła mu się wcale, ale przyjmowała jego pieśczęty z całem poddaniem się tej rozkoszy, owianej mgłą jakowegoś półłku, co słodycz wlewał ognistą, prawie piekącą.

Czar, jakiego pierwszy raz w życiu kosztowała, oddziałał na nią, jak odurzający narkotyk, myśli przygasił wszystkie, prócz onej — że on ją kocha — — dreszczami roztrząsał ciało i ubezwładnił tę postać, która cisnęła się do niego w półomdleniu ogromnej błogości, w upragnionej pieśszocie kochania...

Spoczęła mu w objęciach całym ciężarem pięściwego ciała, oczy przymknęła, jak w śnie, tylko dłonie, któremi gładziła mu twarz, zdradzały, że to nie sen, ale przesłodka upojenie, co nektarami omdlewa i pragnie... i pieści... i tuli...

A on w tej burzy uczuć zatapiał gorące usta w efebie ciała, to nurzał w jedwab włosów, znów główkę ujął w dłonie — i łasił się do niej policzkami, brał drobne rączki i całował namiętnie każdy paluszek... To nagle powracał do ust, rozchyłał je, jakby wilgoci ich upragnion — i ssal z tego kielicha miodnego, aż do utraty tchu... długo...

Słodko zmęczona dźwignęła kibić z jego objęcia i, pochylając się na poręcz ławki, podniosła rzęsy... Wzrok ich się spotkał, jak dwie istoty opromienione wspólnie przeżyta rozkoszą.

Kwiecie w kącikach ocz ukazały się, jak zia-renka pereł, dwie łezki szczęścia. Wezbrana pierś nie mogła pomieścić tej szczęśliwości rozburzonej wulkanicznie — skryształizowała się w łzy i czy-niła ulgę ogromowi onego szczęścia.

Zygmunt nie dostrzegł ich, bo zaraz przytuliła twarz do jego ramienia, a pierś rozszerzyła się jej głębokim oddechem, jakby miejsce czyniła czuciu, co rozplomiło się błogością po całym wnętrzu.

— Zygmunt, ty będziesz mój?... — wybiegło jej z ust samowolnie, niby wysłannik kochającego szczęścia.

Krótkie, ciężkie wahanie ukazało się nagle w twarzy Zygmunta. Teraz przeliczne moce obsiadły mu mózg — to trzeźwiejsze myśli i ogrom miłości, szczęścia...

— Kwieteczko... jam twój... twój duszą i sercem... całym życiem — — ale mi ciebie nie dadzą... Ty wiesz kto jestem... Nie dadzą oni mi ciebie, nie... Ja biedny, nic nie mam prócz tych rąk, tej głowy i tego serca, co pokochało ciebie... Dla ciebie wyszukają magnata, księcia, bo los wyposażył cię hojnie, po królewsku...

— Panie Zygmuncie, jam pana... twoja... twoją będę do śmierci!... Ucieknę za tobą i pójdę wszędzie, jak cień twój własny, na kraniec świata... a później wrócimy tu, do Olszowca... — wy mówiła to z taką łatwością, jak dziecko, które nie pojmuje życia i trudu. Fantazja jej podniecona zakosztowanym czarem stała się płochą, wszechmożliwą. Nie rozumiała życia, jego bólu i nieliczonych przeciwności.

Po chwilce milczenia Zygmunt objął ją ramie-

niem i począł tłumaczyć, jak bywa na świecie, jakie przeszkody stawia los i jakie tortury ludzkość dla siebie wymyśliła.

Mówił jej teraz o miłości i o wszystkim, co tworzy życie. Mówił o ludziach i przesądach, o nędzy i dostojeństwach, o zaprzędaniu i ideale, o szczęściu i głuchem cierpieniu — mówił, mówił...

I duszy jej odsłaniały się nowe, nie widziane obrazy, słodkie, jak sama rozkosz i gorzkie, jak odwar piołunu... Miłe w lubości ciszy i straszne w zawierusze...

Po raz pierwszy słuchała opowieści życia i świata, jaką on jej rozsnawał.

Bystry jej umysł, rozwinięty więcej, jak przeciętną literaturą, jak i własną kombinacją, pojmował jego słowa chciwie i przyswajał je sobie z właściwym pojęciem i zrozumieniem.

A on mówił, zachwycił się, to potępiał, współczuł i przeklinał...

Siedziała przy nim nieruchomo, jako pacholę, słuchające opowieści dziadka.

I jeszcze doskonalszy stawał się jej w myśli ten Zygmunt, ogromnie inny od wszystkich znanych jej mężczyzn.

Czuła stanowczość swojej miłości tem większą, im bardziej silił się on na wytłumaczenie niemożliwości ich związku.

Czuła tem większy głód należenia do niego w spólnym udziale życia, im większą odsłaniał

jej przepaść wpoprzek uczuciu stojącej rzeczywistości.

Widziała jego ogromną miłość i wielkie zaparcie się siebie — — tę miłość wyczuwała z każdego słowa, jakie jej zwierzał w smutnem umiłowaniu — i tem więcej zlewała się z jego istotą i spływała w jedno tętno, jedno pragnienie: być jego.

I mimo, że serce krwawiło mu się od własnych słów, że ból dotkliwy kłuł piersi tysiącami tępych szpilek — mówił, mówił jej jeszcze wciąż, choć miłość kontrastem przeczyła jego zdaniom.

Poznać było, że cierpiał — i kochał do niepamięci.

Wzrokiem spijała mu to z twarzy i wyczuwała sercem.

I ostateczną złożyła w duszy przysięgę, że będzie jego, lub straci życie.

Potęga umiłowania stopiła się z nim razem, nie wiedzieć kiedy — w tych dniach zapewne nielicznych, że lgnęła dziś do niego, jakby już wieki byli razem, z całą serdecznością, bez najmniejszego objawu jakiegokolwiek obcości.

— Więc ty nie masz siły, Zygmuncie? Tobie, mężczyźnie, brak hartu i tej woli, że tak być musi jak pragniesz i żądasz? Ciebie odstrasza ten marny konwenans, ten zgangrenowany przesąd?... Słuchaj, nie dadzą mię tobie przez miłość, to porwij mię, jako dawny rycerz i unieś, gdzie dusza

twoja zapragnię — a nie chcesz, to kochanką twoją zostanę do śmierci najwierniejszą, Zygmunt?... — rumieniec oblał jej twarz purpurą, zawstydzila się słów, jakich nie zrodziła poważna myśl, ale przemocne zacięcie miłości, która za cenę wszystkiego rzuca się w kochane objęcia i szuka w nich słodkiego ukojenia — lub śmierci.

Nie zrodziło tych słów zepsute serce — ale kryształ wulkanicznego kochania, nie zmysłowa namiętność — ale jedyne pragnienie: być z nim i jego zawsze.

Zygmunt w pierwszym momencie przyjął te słowa w zdumieniu, ale ton i stanowczość jej powiedzenia ugruntowały w nim ostateczne przekonanie o jej bezwzględnej, niezachwianej miłości.

I wstyd mu było w myśli, że ona kobieta okazała ten hart postanowienia, od którego on uchylić się mógł przez wzgląd na osobę trzecią, a to jej ojca... Że nie starczyła mu za wszystko jej miłość i jakby niewolnicza uległość oddanego serca.

Jakby dla zamaskowania swego zmieszania porwał ją ponownie w objęcia całą mocą uczucia i na wszystko zdecydowanej miłości — i począł tulić do piersi, jak skarb najdroższy, jedyne.

Obudziła w nim swojemi słowy gotowość choćby do ofiary z swojego życia — teraz zaprzysiął sobie, że choćby świat cały wydał mu walkę — to ona jego być musi i nią zostanie!...

Przez zaliścione kratki altany wpadły ukradkiem przez rzadsze zasłony promienie zachodzącego słońca.

Jasną czerwienią zawisły na winnych festonach, szkarłatem oblały gromadkę kasztanów i dach altany gontowy, uśmiechnęły się na pożegnanie do młodej pary co pieśń serc szeptała sobie miłośnicie... Twarze opromieniły im zalotnie — i przyłgnęły do nich na chwilę, jakby podsłuchać pragnęły tajemnicze słowa, jakie zwierzali sobie właśnie...

X.

Zaraz po kolacyi Kwietka udała się do sypialni matki, korzystając z nieobecności ojca, który zwykle o tej porze przeglądał księgi, przyniesione przez zarządcę do kancelaryi.

— Cóżes ty taka uszczęśliwiona dziś?... — zapytała Dolańska, gdy Kwietka rzuciła się jej na szyję i poczęła całować, jak nieraz, gdy była wielce z czego ucieszona.

-- Ach, mamusiu, droga mamusiu... żebyś ty wiedziała jaka ja szczęśliwa — jak nigdy dotąd — och, jak ogromnie!... — całym zasobem czułości obwisała na matce i gradem nowych pocałunków obsypywała twarz, szyję i ręce, co matkę aż zaniepokoiło poniekąd.

— No, mówże, jakie szczęście cię spotkało? — niecierpliwiła się już.

— Powiem, powiem ci mateczko... wszystko powiem, ale chodź, usiądźmy tu na otomanie — ach, mamusiu... — gwałtem wzięła matkę za rękę i usiadły razem na niskiej, tureckiej otomanie.

Dolańska zauważyła już w czasie wieczerzy, że Kwietka ma nadzwyczajny humor, co zastanowiło nawet ojca, który lubił bardzo, gdy córka była wesoła, ale dzisiejsze jej usposobienie było dalsze od zwykłej wesołości, bo prócz onej, bił jeszcze z jej oczu jakiś ciekawy blask, żywy i migotliwy — to znów zamyśliła się na krótką chwilę, jakby żywe przypomnienie zakosztowanej rozkoszy stawało jej w myśli w całej pełni i hypnotyzowało czarem.

I zapewne ten krótki zamyśl, mający krewieństwo z małym wahaniem przed miłym grzeszkiem, nie był niczem innym, jak tylko przez myśl przywoływaną wizją przeżytych niedawno chwil — i ich przesłódką objawieniem.

— Mameczko — zaczęła Kwietka, łaszcząc się do matki pieścizotliwie — słuchaj, czy jest coś radośniejszego, jest większe szczęście nad miłość, nad taką wielką, prawdziwą miłość?...

Na twarzy Dolańskiej ukazało się zdumienie.

— Dlaczego o to pytasz, dziecko, skąd ci to przyszło do głowy?

— Ach, ty nic nie wiesz... Ja jestem taka strasznie kochana nad życie... nad wszystko, mamusi — złota — och, jak ja jego kocham — jak szaleńcem!...

— Kogo?... mów, mówże już przecież... — niecierpliwiła się na pół przestraszona zwierzeniem córki, jak i jej nagłą zmianą.

— Zygmunta!...

— ?

— Zygmunta!...

— Ossockiego?

— Tak! On taki dobry, taki szlachetny, taki kochany!... — mówiła prędko, nie pozwalając zdumionej matce przyjść do słowa. — Dziś zwierzyliśmy sobie miłość... dziś wieczorem — och... mammo, ty nie wiesz, jakie to szczęście kochać jego... Boże, a on mi nic nie powiedział, dopiero dziś, a kochał mię już dawno... mammo, mamusi!... — przytuliła się do matki całą siłą, dusząc ją prawie opłotem ramion.

— Kwieto, uspokój się, bądź poważna i mów spokojnie, ciszej... — reflektowała córkę, sama nie mogąc wyjść z wrażenia, jakie uczyniło na niej ono zeznanie.

— Kiedy cicho nie mogę tego powiedzieć... jabym całemu światu na głos o tem krzyczała, bo pomieścić się we mnie nie może to szczęście, takie jest wielkie i niecierpliwe, takie szalone!...

Dolańska nie wiedziała w jaki sposób odezwać się do córki — jednym słowem — czuła się bezradną. Nie przypuszczała, ażeby znajomość tych młodych zmienić się mogła w gorącą miłość, chociaż zauważyła u Kwiety wielkie interesowanie się Zygmuntem i ustawiczne wspomnianie o nim — myślała jednak, iż powodowała to więk-

sza sympatya i to, że Zygmunt dał się lubieć ogromnie.

Zastanowiła ją nieco obecność córki wówczas przy pojedynku i nadzwyczajna troskliwość o zdrowie Zygmunta, ale i do tego nie przywiązywała większej wagi; tłumaczyła to sobie raczej, że wyrażna niechęć, okazywana Ruczewskiemu, przechylała ją na stronę Zygmunta, tembardziej, że został obrażony w jej oczach, jako gość i dawny towarzysz zabaw — — chciała mu zatem okazać przez to wynagrodzenie i wdzięczność, co właśnie mogła wyjawiać w tej troskliwości i szczególniejszej sympatii.

Zresztą mogła mieć w tem cel drugi: dokuć Ruczewskiemu za jego śmiałe zachowanie się na stawie i okazanie mu prawdziwej niechęci.

Tak sobie to przedstawiała i była nawet zadowoloną, bo Ruczewskiego niecierpiała sama z wszelkich względów.

Że Zygmunt zaś odważyłby się na miłosne wynurzenia jej córce, o tem nie myślała nigdy, choćby dlatego, że знаła go jako człowieka niezmiernie ambitnego, który, widząc niemożliwość jakiegoś planu, mogącego go wtrącić w podejrzenia, choćby niewinne i niezależne od jego osobistości — wolałby raczej wyprzeć się wszystkiego, niż się narażać na przypuszczalną obmowę.

Wprawdzie nieraz, gdy myśl o Piotrze Ossockim zanadto porwała ją w ręce bolesnych wspo-

nień, gdy podnieciła w piersi niegasnącą rozpacz, która, jak nieustępliwy czerw gryzła ją zawsze — wówczas przychodziły jej do głowy przeróżne przypuszczenia i chęci, dotyczące Kwiety i Zygmunta.

Połączyć kiedyś tych dwoje młodych uważała za swoje największe szczęście i płacenie długu, chociaż w części, cierpieniu Piotra, przez związek ich dzieci. Była to myśl, nawet częsta, chociaż sama widziała niepodobieństwo takiego planu, choćby ze względu na swego męża.

Na rzeczy inne nie zważałaby wcale, wiedząc najlepiej, co jest prawdziwym szczęściem.

Mimo, że zeznanie Kwiety przestraszyło ją w pierwszej chwili, przecież uczuła wielkie wewnętrzne zadowolenie, że oni się kochają.

I przyszło jej równocześnie na myśl, że miłość ta musi być u Zygmunta ogromna, jeżeli na nic nie bacząc, ośmielił się ją zwierzyć.

Lecz zaraz przyszła myśl druga: to mąż...

On nie pozwoliłby nigdy — nie... znała go dobrze.

I na samo przypuszczenie, że między dziećmi ich — nieszczęśliwców miałoby powstać nowe, jakby w pokolenie idące, nieszczęście — serce jej się wzdrygnęło, jak pod dotknięciem szorstkiej, nienawistnej dłoni.

-- Żebyś ty wiedziała, mamusiu droga — odezwiała się w tej chwili Kwietka — jaki on niesły-

chanie dobry, jakby sam anioł... Ach, jego oczy — to szczęście, niebo... Całe życie chciałabym się patrzeć w te oczy...

Tu Dolańskiej przyszedł na myśl oczy Piotra... Tak, i Zygmunt miał takie same...

— Kwieteczko, w jaki sposób pan Zygmunt powiedział ci o swej miłości? — zapytała po chwili, chcąc się dowiedzieć wszystkiego, co zaśzło. Liczyła na niewinną otwartość córki i spoglądała na nią z dziwnym wyrazem ócz, w których widniała nowa zgryzota, i odróżniło się równocześnie wielkie zadowolenie.

Kwiera usunęła się na dywan, objęła matkę za kolana i, kładąc na nich szczęśliwą główkę, poczęła opowiadać urywanemi słowy dzieje paru tygodni. Mówiła z dziecinną wprost szczerością, nie pomijając żadnego faktu, ani słowa Zygmunto-
wego. W jej szeroko otwartych oczętach jaśniała radość i widniał objaw niezmiiernej szczęśliwości.

A gdy doszła do zwierzeń Zygmunta i jego pocałunków, zarumieniła się, jak wiśnia, i namiętnemi, gorącemi słowy dokończyła opowiadania. Zamilkła, chowając twarz w dłonie, jakby oczekiwała wyroku słów matki.

A ona po jakimś namyśle powstała wolno z otomany, objęła córkę ramieniem i, przyciskając główkę do piersi, szepnęła jej nad uchem:

— Kochajcie się... Niech Bóg błogosławi tą miłość... — gorące usta przyłożyła do czoła córki. —

Kochajcie się w tajemnicy, dzieci no złota... nikt o tem wiedzieć nie śmie, nikt — a przedewszystkiem twój ojciec. Zamilcz — i kochaj w skrytości, a może Bóg choć tu okaże się miłosierny... — coś jej jeszcze szepnęła, to radziła i, ucałowawszy powtórnie, poleciła odejść na spoczynek.

Zostawszy sama, stała milcząca czas jakiś, potem podeszła do klęcznika i, podniósłszy oczy na, od starości poczerniały, obraz Zbawiciela, poczęła się modlić żarliwie.

Jakby dla uzupełnienia błagań zebrzącej duszy, w kątach ocz ukazały się jej świetliste łzy.

I miały one coś wspólnego w sobie z rozpaczłą modlitwą i łzami, jakie kiedyś lały się tam, w Borkach, w komnatce rodzicielskiego domu...

— — — — —
— — — — —

Usczęśliwiona matczynemi słowy, weszła Kwietka do swego sypialnego pokoju.

Lampa nakryta zielonym abażurem paliła się już na stole, rzucając wokół miłe, nastrojowe światło.

Nie rozbierając się wcale, rzuciła się na łóżko, jak młoda łania, co baraszkuje ucieszenie pod wpływem wielkiego zadowolenia.

Ruch ten uczyniła nagle i jakby z wyćwiczoną wprawą.

Białemi dłońmi nakryła oczy i równocześnie imię ukochanego wybiegło jej z rozchyłonych ust,

niby ogromny zasób szczęścia długo więzionego w piersiach, a które wreszcie wyrwało się niepostrzymanie, namiętnie.

Powieki przywarły silnie, jakby lepiej chciała się wgłębić myślą w jasność momentalnie powstałych obrazów, których treścią i słońcem — był Zygmunt.

Radość żywiołowa rozpałała jej serce pożarem, któremu, zdawało się, za ciasno było w piersiach, bo co chwilę równoważył się głębokim oddechem, to naglił płuca do szybkiego wciągania powietrza, jakgdyby sam pragnął się ostudzić i uspokoić nieco.

Niespodziewane słowa matki czepiły się jej mózgu, jako przesłodka zapowiedź szczęścia, lub pierwszy snop promieni dozwolonej miłości.

To, że się zwierzyła, i że ktoś o jej miłości wie napępniało ją błogiem uczuciem i jakimś niewysłowionym spokojem. Rozmiłowane bowiem serce pragnęło zwierzeń, a moc tego kochania byłaby krzyczała całemu światu o swoim szczęściu i jego nieprzemierzonej słodyczy.

Istota tego dziewiczego serca porwana po raz pierwszy wicherą nieprzeżywanych wrażeń, rozlała się jej po mózgu, jak wulkaniczna lawa, rzucając w całe ciało, niby ogniste groty, rozkoszne dreszcze.

— Zygmunt... — wyszeptały znów usta pieściwe, dłonie odjęła od ocz, a ciemne rzęsy powiek odchyliły dwa ognie szafirowych ocząt.

Żrenice te nie widziały teraz nic wokół, bo uniosły ją gdzieś w najdalsze regiony rozmarzenia, skąd on, Zygmunt, pochłaniał ją wzrokiem przepastnie, całą topielą ukochania.

Wejrzenie to spływało na nią, jak słodycz największej pieszczoty, roztopiało po wnętrzu niekosztowane nektary — i ciągnęło ją ku niemu.

Jak w toni bezkresnego jeziora, zatopila się w jego twarzy przywołanej do podnieconych myśli, patrzyła w nią, jak w punkt największych upragnień, lubowała się nią i pieściła i spływała w jedność roztopem zachłannego pocałunku.

Jakieś niespokojne dreszcze poczęły przebiegać jej po ciele i prężyć piersi.

Czuła, że jakaś siła przemożna ściska jej pącze piersi coraz bardziej, prawie do namiętnego bólu, że jakiś płomień wewnętrzny, płynący od serca wstrzymuje dech i nieokreślonem dławieniem rozgnieżdża się w gardle dusząco — — otoczyła więc dłońmi piersi i cisła je do siebie, niby w trwodze, by nie uleciały, albo nie pękły z powodu uczucia, jako dojrzały owoc z nadmiaru soczystości.

Ręce rozkrzyżowała w uniesieniu jakowegoś zamysłu słodkiego — bo oto wykwit jasnego rumieńca wypalił się jej na płatkach policzków — i śmiał się cudowną karnacją karminu, rozpływając się ku białej, obnażonej szyi pastelowym różem.

Skończenie piękna była w tem rozmarzeniu i bezwładności ciała, w tem, niby misteryum pragnącego serca — i w tych sniwych myślach.

Dusza rozprzędła się jej tysiącami miłosnych włókien. Tą przędzą misterną omotała świat swoich marzeń, opajęczyła się nią, jak jedwabistą siecią — i zawisała w niej, niby w hamaku, uwitym z tęczowych barw i rumianego uśmiechu zorzy.

Modlitwą i głodem miłości zakraśniały jej usta, jak wiśnie, i tą subtelną czerwienią pałały w oczekiwaniu jego ust, ich rozkosznego wessania się, nierozłączalnego spicia się w siebie wspólnie, w jedną istotę czucia, w jedno wstrzymanie oddechów, w jedno omdlenie i jeden sen...

— Och, Zygmunt... Zygmunt... — zajęczało jej serce w piersi skowyt, jakby straszliwym krzykiem o coś, co śmierć przebłaga i zdobywa zarazem największe szczęście.

Ten szept namiętny i pragnący zdał się być gromem wołania w tonie i czuciu, jakie w nim drgało w każdym głosowym wibrze — i poznać można było, że to szczęście i rozkosz wewnętrzna sprawia jej nawet dotkliwy ból.

Rozchylone usta przytuliła, a raczej przygniotła do poduszki, ziejące upagnieniem.

Natura jej zdradziła obecnie, że jest żywiołowa w uczuciu.

Miłość powstała w jej sercu zaledwie w kilku

dniach — nagle, i padła, jako płonąca głównia na wybuchowy materiał jej serca, które życia nie rozumiało jeszcze w całej pełni, nie знаło jego ponęt, ale już odczuwało je na pół świadomie — instynktem swoich praw, co się budzić zaczęły z chwili na chwilę.

Ten wir porwał ją odrazu, bo wrył się w grunt wysubtelniony wrodzonym czuciem.

I teraz poczał nim mlec orkanem coraz to nowszych wrażeń.

Naturą uświadomiona dusza pragnęła obecnie miłości i w niej się zatapiała, jak w grzywy fal.

Ofiarą stała się tej mocy zupełną, z całym oddaniem i uwielbieniem.

Życie wydało się jej teraz olbrzymim światem z róż i największej szczęśliwości. W każdym atomie tego świata czuła Zygmunta, z każdej róży płynęło ku niej jego spojrzenie.

A nieskalana dziewiczość jej czucia i wyobraźni potęgowała w sobie każde wrażenie do absurdalnych granic.

Kochać chciała, choćby za cenę życia — pragnienie to wypaliło się w jej duszy, jak nieodwołalna konieczność.

Burza tych pragnień porwała ciało w jeden wir miodnych zachwytów i słodycz wewnętrznych dreszczy.

Jak przepalona ziem pragnie odwilży i deszczu, tak dusza jej modliła się o duszę Zygmunta,

wchłaniała ją w siebie mocą czucia, potęgą miłości.

Świat inny przestał dla niej istnieć zupełnie — bo światem jej stał się on, w przestrzeni marzeń i rzeczywistości.

Zachłonięta w tych myślach, jak w najgłębszych topielach, tarła gorącą twarzą o poduszkę, nie mogąc znieść i pomieścić w sobie tych fal ogromnego szczęścia, co uderzały w jej serce i mózg, jak rozbestwiona ulewa...

A tam w organistowskim ogródku siedział w altanie Zygmunt, siłą miłości przykuty do tego miejsca, gdzie przed niedawną chwilą patrzył w oczy żywemu szczęściu, gdzie ciężar koniecznych zwierzeń zrzucał z serca — i gdzie z zaklęciem przygarnął do siebie umiłowane dziewczę — nie bacząc na to, co powie świat i jak to sądzić będą paragrafy sankcjonowanych konwensów...

Wiedział, że każda sfera ludzi ma swoje specyficzne jarzmo, w którym płuży niewolniczo, jako bezradne stworzenie — i wiedział również, że dziś wydał temu polipowi walkę.

Zły był na siebie, iż były chwile, co lękał się onych zapasów, chcąc przyodziewać miłość milczeniem tajemnicy, ale dziś wstąpiła weń jakaś zdecydowana siła, dla której nie mogło być zapór, bo była sprzysiężeniem woli i największego upragnienia.

Błogosławił obecnie Kwietę za jej twórczą iskrę, co rozpalila w nim tę moc.

Oparty o brzezinową kratkę altany, sprzeplataną gęstwą chłodnawych liści — — śnił marzeniem olbrzyma.

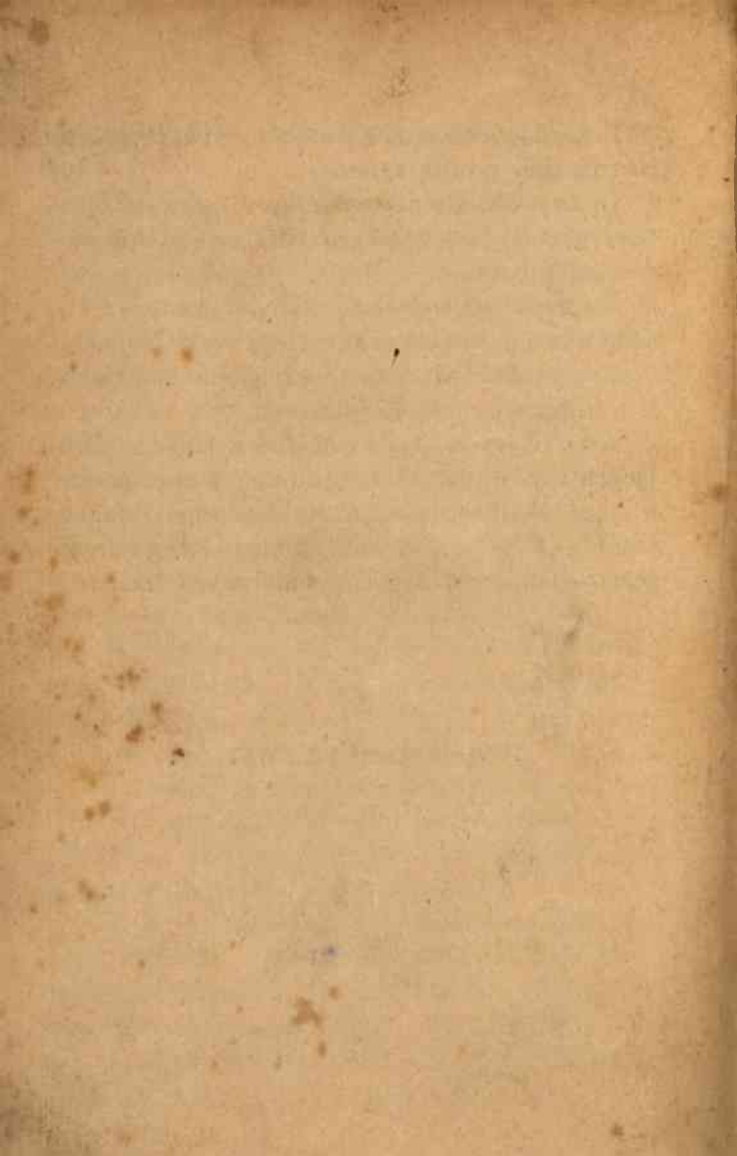
Tworzył najśmielsze plany, gruntował je w mózgu i pieczętował przysięgą wykonania.

Noc otuliła go ciszą i przylgnęła doń, jakby w serdecznem zasłuchaniu.

A on wrywał się co chwilę z koliska wirujących myśli, ulatał duszą do dworskiego pałacu, u nóg Kwiety rozścielał się słońcem oddanego serca — — — i lkał niem z objawionego szczęścia perłami rozkosznych, słodczych łez...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

BIBLIOT. K.
UMCS
LUBLIN







Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 19249

1

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000173258